

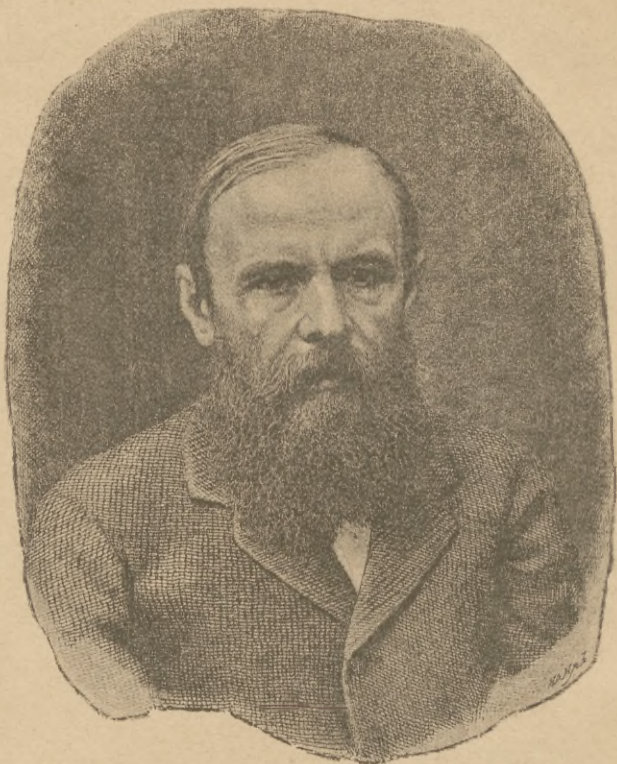
1. Powyższości 13. Chudejowny. № 3

V. S.

Wspomnienia z martwego domu

(W katordze)

Stary Kadziestny
Kaslow, z blizniem 15.



TEODOR DOSTOJEWSKI.

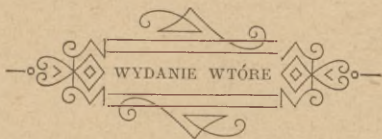
Biblioteka Akcy Akademii L. 31.
TEODOR DOSTOJEWSKI

Wspomnienia z martwego domu

(w Katordze)

przełożył i wstępem zaopatrzył

Dr Józef Tretiak



W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1901.



68513

882-3+882(051)
II 68513
/

UWAGA TŁUMACZA

Niektóre mniej zajmujące dla polskiego czytelnika lub mniej charakterystyczne ustępy zostały w tym przekładzie opuszczone.

W S T Ę P.

(Kilka słów od tłumacza).

Teodor Dostojewski (urodzony 1821, umarł 1881) tworzy wraz z Iwanem Turgieniewem (1812—1883) i żyjącym do dziś Lwem Tołstojem trójkę głównych koryfeuszów powieściopisarstwa rosyjskiego. Wszyscy trzej zdobyli sobie europejską sławę. Ważniejsze utwory Dostojewskiego, o którego chodzi nam tu w szczególności, przełożone zostały na języki: niemiecki, francuski, angielski, szwedzki. I inne literatury, jak włoska, fińska, norweska, duńska, czeska, serbska i węgierska przyswoiły sobie po jednej lub po parę powieści tego pisarza. Na polski język przełożono dotychczas jedną tylko powieść Dostojewskiego pod tytułem »Zbrodnia i kara« (*Prestupljenje i nakazanje*).

Powieściopisarska sława Dostojewskiego dozna zapewne w przyszłości rozmaitych kolei, a i dziś nawet w Rosyi Dostojewski obok chwalców bezwzględnych znajduje surowych dla siebie krytyków. Ale jest jeden utwór Dostojewskiego, któremu stanowczo można przepowiedzieć długowieczną trwałość, którego sława nie zblednie, ale i owszem wzrastać tylko może: są to »Wspomnienia z martwego domu«. Autor nazwał je powieścią — niesłusznie. Prawda, są one niezmiernie zajmującym opowiadaniem, jak najbardziej zajmująca powieść, ale właściwej intrygi powieściowej nie mają, i wszystko w nich od pierwszego do ostatniego rozdziału, jest nie fikcją powieściową, ale najprawdziwszą z życia wyrwaną rzeczywistością. Fikcją jest tylko krótki wstęp, w którym autor nie chcąc utworowi swemu nadać wyraźnie charakteru własnych wspomnień, przebiera się w postać fikcyjnego Piotra Aleksan-

drowicza Gorianczikowa, który zabił żonę w paroksyźmie za-zdrości i przebył za to dziesięcioletnią katorgę. Dlatego też ów wstęp, jako balast nieużyteczny, odrzucony został z obe-nego tłumaczenia.

Nie fikcyjny Gorianczikow, ale sam autor przebył ka-torgę, opisaną we »Wspomnieniach z martwego domu«. — W piątym dziesiątku tego stulecia, pomimo gniotących wszelką samodzielność myśli rządów Mikołaja, obudził się żywy ruch w inteligencyi rosyjskiej, ruch społeczny, wymierzony przede-wszystkiem przeciwko poddaństwu ludu wiejskiego. Młodzież tworzyła związki, które za pomocą silnej propagandy miały działać w tym kierunku. Do jednego z takich związków na-leżał młody Dostojewski, znany już jako powieściopisarz, który zwrócił na siebie uwagę najznakomitszego krytyka rosyjskiego, Bielińskiego, i który za to należenie został w roku 1849 are-sztowany, oddany pod sąd, pozbawiony praw szlachectwa i skazany na cztery lata katorgi w ostrogu Omskim.

Katorga była w życiu Dostojewskiego wypadkiem, decy-dującym o całej jego przyszłości literackiej. Ona mu naprzód dała bezpośredni materyał do dzieła, które go odrazu wynio-sło wysoko nad poziom współczesnej literatury rosyjskiej; ona dostarczyła mu motywów do różnych powieści późniejszych i nadała tym powieściom przeważnie charakter kryminalisty-czny; ona go zbliżyła z ludem rosyjskim i dała w nim po-czątek kierunkowi, znanemu pod nazwą *narodniczestwa*; ona wreszcie była dlań szkołą, pracownią, wielkim gabinetem najrozmaitszych typów psychologicznych i najrozmaitszych ob-jawów patologicznych. W tej szkole, w tym gabinecie Dosto-jewski miał dobrą sposobność wykształcić w sobie do wyso-kiego stopnia ów dar analizy psychologicznej, właściwy rosyj-skim pisarzom i stanowiący główną ich siłę.

Ale Dostojewski był naturą chorobliwą, był histerykiem, epileptykiem i ta chorobliwość wycisnęła piętno swoje na wielu jego utworach powieściowych, jak »Zbrodnia i kara«, »Bracia Karamazowy« i inne. Tylko we »Wspomnieniach z martwego domu« ani śladu chorobliwości. Jest to obraz mąk i cierpień, przedstawiony z ciepłem uczuciem zdrowego serca, ale zara-zem z jasnością i spokojem niezamąconego cierpieniem umy-słu. To też nie wywiera on — jakby się lękać należało — przygniatającego wrażenia. Schodzimy na dno przepaści, przy-patrujemy się torturom moralnym i fizycznym, przejmujemy się grozą i oburzeniem, ale nie doznajemy upadku ducha:

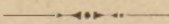
wynosimy to pokrzepiające przekonanie, że natura ludzka jest silną i zdolną przystosować się do najcięższych warunków, przetrwać najcięższe próby.

Trzeba sobie wyobrazić człowieka młodego, szlachetnego, wykształconego i chorobliwie nastrojonego, który jest już autorem, rojącym o wielkiej sławie literackiej, oderwanego od rodziny, przyjaciół i właściwej sobie sfery, rzuconego na samo dno społecznej nędzy i niewoli, w mrowisko przestępców różnego rodzaju, w którym szlachetne jednostki są wyjątkami, a potworni zbrodniarze stanowią większość; i trzeba sobie wyobrazić następnie, że ów człowiek, zamiast poddać się ciężarowi niedoli, i mętnym wzrokiem osłupienia spoglądać na swoje otoczenie, od pierwszej chwili wstąpienia do katongi stara się zająć stanowisko ciekawego badacza, psychologa i artysty, przedzierając się jasnym wzrokiem w ciemne i dziekie tajniki dusz otaczających i w najgłębiej upadłych naturach szukać promieni ludzkich uczuć. Jest to nurek, który spuścił się na dno morza i wyniósł stamtąd jego obraz tak dokładny, że patrząc na ten obraz zdaje nam się, żeśmy sami tam byli i sami wszystko widzieli. Dodajmy do tego, że w owym obrazie niema nic jeszcze z owej tendencji, która tak dosadnie charakteryzuje ostatnie utwory Dostojewskiego, a jest bardzo bliską panującemu dziś w Rosyi szowinizmowi. Nic, prócz czysto ludzkiej tendencji współczującego serca, nie zabarwia tego obrazu.

Dla polskiego czytelnika obraz ten ma daleko więcej znaczenia, więcej interesu niż dla Anglików, Niemców, Francuzów, Włochów, Szwedów lub Czechów, którzy posiadają to dzieło w przekładzie (Anglicy w dwu przekładach), a jednak — rzecz dziwna — pomimo mnóstwa natłumaczonych z obcych języków powieści, bardzo wątpliwej nieraz wartości, a czasem niewątpliwie bez wartości — nikomu u nas dotychczas nie przyszło na myśl przyswoić tego dzieła polskiej literaturze. Wytłumaczyć się to da po części w ten sposób, że książka, o której mówię, pojawiła się bezpośrednio przed wypadkami 1863 roku, i że te wypadki zagłuszyły wrażenie, które ona przy pierwszym swem pojawieniu się wywarła; ale dlaczego potem jej nie przełożono? Trudno odpowiedzieć; przyczyną była chyba dążność ignorowania literatury rosyjskiej, a jak w Warszawie, to może także i miejscowe przeszkody, które niekiedy nawet przekładów rosyjskich dzieł cenzuralnych nie dopuszczają do druku.

Dla polskiego czytelnika — nie mówiąc o stronie artystycznej, o żywości przedstawienia, plastyce obrazowania, prostocie i jedrności stylu — »Wspomnienia z martwego domu« pod dwojakim względem przedstawiają szczególny interes. Żadna inna powieść, żadna inna książka nie wtajemnicza tak głęboko w charakter ludu rosyjskiego, nie daje poznać tak z bliska jego stron dodatnich i ujemnych, jak owe »Wspomnienia«. Prawda, że towarzystwo katorżne składało się po większej części z wyrzutków społecznych, z różnego rodzaju zbrodniarzy, ale w tych ludziach, o których sam autor powiada, »że byli to najzdolniejsi, najsilniejsi z całego ludu naszego«, typowe zdolności i właściwości psychiczne tego ludu występują najwybitniej. Tym sposobem przed czytelnikiem polskim otwiera się świat zupełnie mu nieznan, a który przecież tak żywo powinien go obchodzić; świat nie fantazją stworzony z oderwanych kształtów i cząstkowych wrażeń, jak to bywa w powieściach, ale żywcem z rzeczywistości przeniesiony w sferę sztuki.

Drugi wzgląd jest niemniej ważny, a dla wielu zapewne będzie ważniejszym od pierwszego. W mikrokosmie katorżnym, w którym wszystkie warstwy społeczne i wszystkie kraje imperium rosyjskiego są reprezentowane, występuje i garstka Polaków, politycznych przestępców, stanowiąca osobny światek, nie mający nic wspólnego z resztą katorgi, ale wobec prawa zrównany z nią do jednego poziomu. To co przeżył Dostojewski w katordze, przeżyli i oni i — jak sam świadczy — jeszcze więcej, jako bardziej obcy sferze, w którą się dostali. Polaków wspomina autor niejednokrotnie i cały jeden rozdział prawie wyłącznie im poświęca. Jest to więc dokument historyczny, dotyczący dziejów nie tylko rosyjskiego, ale i polskiego społeczeństwa ze środka bieżącego stulecia.



I.

M a r t w y D o m.

Nasz dom więzienny stał na krawędzi fortecy, tuż pod wałem fortecznym. Popatrzysz, bywało, przez szczeliny ostrokołu na świat Boży, czy nie zobaczysz tam czegośkolwiek? i widzisz tylko skrawek nieba i wysoki wał ziemny, porośły burzanem, a po tym wale tam i napowrót, dniem i nocą, chodzi straż wojskowa, i zaraz pomyślisz, że przejdą całe lata, a ty tak samo będziesz podchodził do częstokołu i zobaczysz ten sam wał, taką samą straż na wale i ten sam małeńki skrawek nieba, nie tego nieba, które nad więzieniem, ale innego, dalekiego, wolnego nieba. Wyobraźcie sobie wielki dziedziniec, dwieście kroków długi, a półtora sta szeroki dziedziniec w kształcie nieregularnego sześciokąta, cały otoczony częstokołem z wysokich pali, mocno i głęboko w ziemię wbitych, szczelnie przystających do siebie krawędziami, utwierdzonych poprzecznymi belkami i z góry zaostrzonych: oto zewnętrzna rama więzienia. W jednej ze stron tej zagrody jest mocna brama, zawsze zamknięta, dniem i nocą strzeżona: otwierano ją tylko, aby puścić więźniów na roboty. Za tą bramą był jasny, wolny świat, tam żyli ludzie, jak wszędzie. Ale po tej stronie ostrokołu ów świat wydawał się marzeniem fantastycznym. Tutaj był świat osobny, do żadnego innego niepodobny, tu były swoje odrębne prawa, swoje stroje, zwyczaje, obyczaje: dom żywcem pogrzebanych, życie — jakiego

nigdzie nie znaleźć i ludzie szczególnie. Ten to osobliwy zakątek zamierzam opisać.

Wchodząc do ogrodzenia, widzicie w jego wnętrzu kilka budynków. Po obu stronach wewnętrznego dziedzińca ciągną się dwa długie domy; to są »kazarmy« czyli koszary. Tu mieszkają aresztanci, rozmieszczeni według tego, do jakiego rzędu przestępców należą. Dalej, w głębi dziedzińca jeszcze jeden budynek drewniany: to kuchnia, podzielona na dwa oddziały. Dalej jeszcze budynek, gdzie pod wspólnym dachem mieszczą się piwnice, spichrze i szopy. Środek dziedzińca niezabudowany, tworzy równy i dość wielki plac. Tu szykują się aresztanci, tu następuje ich wywoływanie i sprawdzanie rano, w południe i wieczór, a niekiedy i częściej, co zależy od podejrzliwości strażników i ich umiejętności prędkiego liczenia. W koło, pomiędzy budynkami a ostrokołem, zostaje jeszcze dość wolnej przestrzeni. Tutaj, pod tylnymi ścianami budynków, niektórzy więźniowie, posępniejsi i więcej stroniący od ludzi, lubią chodzić w czas nieroboczy, zakryci od oczu ludzkich i dumać swoje dumy. Spotykając się z nimi podczas takich przechadzek, lubiłem wpatrywać się w ich ponure, piętnowane twarze i zgadywać, o czym oni tak dumają? Był jeden z zesłanych, którego ulubionem zajęciem w czasie wolnym było liczenie palów. Wszystkich palów było półtora tysiąca, wszystkie liczył i miał na uwadze. Każdy pal w jego rachunku oznaczał dzień; każdy dzień odliczał po jednym palu i tym sposobem po ilości niedoliczonych pali mógł wiedzieć, jak długo mu jeszcze potrzeba zostawać w katordze. Wiele lat wypadało mu jeszcze czekać, ale w więzieniu było dość czasu na nauczenie się cierpliwości. Widziałem raz, jak żegnał się z towarzyszami aresztant, który przebył dwadzieścia lat w katordze i nakoniec wychodził na wolność. Byli tacy, którzy pamiętali, jak wchodził do więzienia młody, o nic się nie troszczący, nie myślący ani o swojej zbrodni, ani o karze. Wychodził siwy starzec, z twarzą ponurą i smutną. Milcząc obchodził wszystkie nasze kazarmy, modlił się przed

obrazami, a potem nisko, w pół zginając się, kłaniał się swoim towarzyszą i prosił, aby go źle nie wspominali. Pamiętam także, jak pewnego aresztanta, który był przedtem zamożnym właścicielem sybirskim, wezwano raz pod wieczór do bramy. Pół roku przedtem otrzymał on wiadomość, że żona jego wyszła za mąż i mocno to odczuł. Teraz ta żona właśnie podjechała do bramy, wywołała go i dała mu jałmużnę. Pomówili z sobą ze dwie minuty, zapłakali i pożegnali się na wieki. Widziałem twarz jego, kiedy wracał do kazarmy... Tak, tutaj można było nauczyć się cierpliwości.

Gdy zmierzch zapadał wprowadzano wszystkich nas do kazarmów i zamykano na całą noc. Ciężko mi było zawsze wracać z dziedzińca do naszej kazarmy. Była to długa, niska, duszna sala, mdło oświetlona łożówkami, z ciężkim, zabijającym zapachem. Nie pojmuję teraz, jak w niej przeżyłem lat dziesięć. Do spania na tak zwanych »narach«¹⁾ miałem tylko trzy deski; to było całe moje miejsce. Na tych »narach« w naszej tylko izbie mieściło się trzydziestu ludzi. W zimie zamykano nas wcześniej; trzeba było ze cztery godziny czekać, dopóki wszyscy zasną. A do tego gwar, hałas, śmiechy, przekleństwa, dźwięk łańcuchów, śwąd i kopczenie, głowy golone, piętnowane twarze, łatanne ubiory — wszystko napiętnowane, zbezczeszczone. Tak, człowiek dużo wytrzymać może. Człowiek jest istotą do wszystkiego przywykającą, i myślę, że to najlepsze jego określenie.

Mieściło się nas w ostrogu²⁾ prawie stale około półtrzecia sta ludzi. Jedni przybywali, drudzy kończyli karę, inni umierali. I kogo tu nie było! Myślę, że każda część, każda gubernia Rosyi miała swoich przedstawicieli. Byli inoplemieńcy, było między skazańcami kilku nawet kaukaskich góralsi. Podzieleni byli według stopnia przestępstw, a więc według liczby lat kary, naznaczonych za przestępstwo. Trzeba przypuścić, że

¹⁾ Drewniany pomost do spania pod ścianami. (*Przyp. tłum.*)

²⁾ Zwykła nazwa podobnych więzień w Rosyi. (*Przyp. tłum.*)

nie było takiego przestępstwa, któreby tam nie miało swego przedstawiciela. Podstawę całej ludności więziennej stanowili cywilni przestępcy (silno katorżni — zamiast *zsilno katorżni* — jak się sami naiwnie nazywali). Byli to przestępcy pozbawieni zupełnie wszelkich praw, odcięte od społeczeństwa strzępy, z twarzą napiętnowaną, na wieczne świadectwo, że są wyrzutkami społecznymi. Przysyłano ich do ciężkich robót na ośm do dwunastu lat, a potem rozsyłano gdziekolwiek po wszech Sybirskich, jako posileńców. — Byli i przestępcy wojskowi, niepozbawieni praw swego stanu, jak w ogóle w rosyjskich rotach aresztanckich. Przysyłano ich nie na długo, a kiedy termin kary nadszedł, odsyłano tam, skąd przyszedli, do sybirskich, liniowych batalionów, jako żołnierzy. Wielu z nich wnet powracało do ostrogu za powtórne ważne przestępstwa, ale już nie na krótko, tylko na lat dwadzieścia. Ten oddział nazywał się »wiecznym« (po rosyjsku *wsiegdasznim*). Ale i »wieczni« nie byli jeszcze zupełnie pozbawieni praw stanu. Nakoniec był jeszcze jeden oddział najstraszniejszych przestępców, przeważnie wojennych, oddział dość liczny. Nazywał się »osobnym oddziałem«. Przysyłano tu przestępców z całej Rosyi. Oni sami uważali siebie za wiecznych i nie wiedzieli, czy jest jaki termin ich kary. Według prawa powinni byli dwa lub trzy razy pracować więcej, niż inni. Trzymano ich w ostrogu, dopóki nie zostaną otwarte na Syberyi najcięższe roboty katorżne. »Wam do terminu, a nam wzdłuż po katordze« — mówili oni do innych uwięzionych. Słyszałem potem, że oddział ten został zniesiony. Prócz tego zniesiony został w naszej fortecy i cywilny porządek i urządzoną została jedna powszechna wojenno-aresztancka rota. Rozumie się, że razem z tem zmienił się zarząd. Opisuję tu zatem rzeczy minione, dawniejsze...

Dawno to już było. Wszystko to teraz przedstawia mi się jak we śnie. Pamiętam, kiedy wszedłem do ostrogu. Było to już wieczorem, w miesiącu styczniu. Zmierzchało się; lud więzienny wracał z robót. Gotowano się do sprawdzania. Wą-

saty podoficer otworzył nakoniec przedemną drzwi do tego dziwnego domu, w którym miałem przeżyć tyle lat, przenieść tyle ciężkich wrażeń. O tych wrazeniach, nie doznawszy ich w rzeczywistości, nie mógłbym mieć nawet dalekiego i niejasnego pojęcia. Naprzykład, w żaden sposób nie mógłbym sobie tego wyobrazić: co jest strasznego, męczącego w tej okoliczności, że przez całe dziesięć lat mojej katorgi nie będę ani przez chwilę sam jeden. Na robocie zawsze pod konwojem, w domu z dwustu towarzyszami i ani razu, ani razu sam. Zresztą, czy do tego tylko miałem się jeszcze przyzwyczaić!

Byli tu zabójcy przypadkowi i zabójcy z rzemiosła, rozbójnicy i hersztowie rozbójników. Byli prości rzeźmieszkowie i włóczęgi, tacy, co przywłaszczali sobie znalezione pieniądze i tacy, co się do nich dobierali. Byli i tacy, o których trudno było coś powiedzieć: za co też mogli się tu dostać. A tymczasem każdy z nich miał swoją powieść, mętłą i ciężką, jak głowa po wczorajszym chmielu. W ogóle o swojej przeszłości mówili mało, nie lubili opowiadać i widocznie starali się zapomnieć o tem, co było. Znałem wśród nich zabójców do tego stopnia wesołych, tak nigdy nie zamysławiających się, że można było iść o zakład, że sumienie nigdy nie robiło im żadnego wyrzutu. Ale były i posępne twarze, prawie zawsze milczące. W ogóle o życiu swoim rzadko kto opowiadał, a i ciekawość nie była w modzie, we zwyczaju, nie była rzeczą przyjętą. Tak chyba czasem ktoś z braku zajęcia rozgada się, a drugi obojętnie i pochmurnie słucha. Nikt tu nikogo nie mógł swoim opowiadaniem zadziwić. »My — naród piśmienny«, mawiali oni często z jakimś dziwnem zadowoleniem z siebie. Pamiętam, jak razu jednego rozbójnik pijany (w katordze można się było czasem upić), zaczął opowiadać, jak zarznął pięcioletniego chłopczyka, jak go zwabił naprzód jakąś zabawką, zaprowadził potem do pustej szopy i jak go tam zarznął. Cała kazarma, która śmiała się dotychczas z jego żartów, zakrzyczała jak jeden człowiek i zbój musiał zamilknąć. Ale kazarma zakrzyczała nie z oburzenia, ale dlatego,

że nie trzeba mówić o tem, że o tem mówić nie wypada. Winienem dodać, że to byli rzeczywiście ludzie piśmienni i to nie w przenośnym, ale w zwykłym znaczeniu słowa. Z pewnością więcej niż połowa ich umiała czytać i pisać. W jakimkolwiek innym miejscu, gdzie lud rosyjski zbiera się w większych masach, oddzielcie gromadę z 250 ludzi; znajdzie się tam połowa piśmiennych? Słyszałem potem, jak z podobnych objawów wnioskowano, że piśmienność prowadzi lud do zguby. Jest to błąd; zupełnie inne działają tu przyczyny, chociaż nie można się na to nie zgodzić, że piśmienność rozwija w ludzie ufnosć w swoje siły. Ale to przecież nie jest wadą.

Oddziały odróżniały się ubiorem. Jedni mieli kurty w połowie ciemnobure, w połowie szare i spodnie tak samo: jedna noga szara, druga bura. Pewnego razu na robocie mała dziewczyna, sprzedająca kołaczki, podszedłszy do aresztantów, wpatrywała się długo we mnie i potem nagle zaśmiała się. »Fe, jak nieładnie, zawołała, i szarego sukna nie starczyło i czarnego sukna nie starczyło«. Byli i tacy, u których cała kurtka była szara, tylko rękawy ciemne. Głowy golono także w różny sposób; jedni mieli pół głowy ogolonej wzdłuż czaszki, inni w poprzek.

Za pierwszym rzutem oka można było zauważyć w tej dziwnej, więziennej rodzinie pewien wybitny, wspólny charakter. Nawet najbardziej samodzielne, oryginalne osobowości, mimo woli panujące nad innymi i te starały się zastosować do powszechnego tonu, jaki panował w ostrogu. W ogóle trzeba wiedzieć, że wszystek ten lud więzienny — wyjąwszy niewielu ludzi nieustannie wesołych, na których za to ciążyła powszechna pogarda — był to lud ponury, zawistny, straszliwie próżny, chełpliwy, obraźliwy i do najwyższego stopnia przywiązany do formy. Zdolność niczemu się nie dziwić, uchodziła za największą cnotę. Wszystkim nieskończenie wiele chodziło o to, jak się pokazać w oczach innych. Ale nieraz największy zuchwalec z bystrością błyskawicy zmieniał się w największego

tchórza. Było kilku istotnych siłaczów; ci byli prości i min nie stroili. Ale rzecz dziwna! i między tymi siłaczami, byli ludzie niesłychanie, niemal chorobliwie próżni. W ogóle próżność, dbałość o pozór, były na pierwszym planie. Większość była zepsuta i strasznie spodlona. Plotki i obmowy nie ustawały: było to piekło, otchłań gehenny. Ale przeciwko wewnętrznym ustawom i powszechnie przyjętym zwyczajom ostrogu nikt nie śmiał powstawać; wszyscy im ulegali.

Zdarzały się charaktery silnie wybitne, z trudnością ulegające, ale i te ulegały. Przychodzili do ostrogu i tacy, którzy już zbyt wiele pozwalali sobie na świecie, zbyt nadużyli wolności rąk, tak, że pod koniec popełniali przestępstwa, jakby bez celu, jakby w gorączce, w szaleństwie; często z ambicji, do najwyższego stopnia rozbudzonej. Ale choć tacy nieraz bywali postrachem i grozą dla całych okolic, u nas ich prędko osadzano na miejscu. Oglądając się w około, nowicyusz spozstrzegał prędko, że tu inaczej niż gdzieindziej, że tu niema kogo zadziwiać i nieznacznie pokorniał i do ogólnego tonu się stosował.

Ten ton ogólny stanowiło na zewnątrz jakieś poczucie własnej, odrębnej godności, którem przejęty był nieomal każdy mieszkaniec ostrogu. Rzekłbyś, że stanowisko takiego skażca katorżnego było jakimś stopniem urzędowym i to zaszczytnym. Ani śladu wstydu i skruchy. Prawda, było pewne zewnętrzne korzenie się, urzędowe, spokojne rezonowanie: »My ludzie zgubieni!« — mawiali — »nie umieli żyć wolni, teraz kop zieloną ulicę«. — »Nie słucał ojca i matki, posłuchaj teraz skóry na bębnie«. — »Nie chciałeś żyć złotem, teraz bij kamienie młotem«. Wszystko to często powtarzało się w rodzaju nauki moralnej, w rodzaju zwykłych przysłówi, nigdy na seryo. Były to tylko słowa. Bodaj czy choć jeden z nich przyznawał się w duszy do bezprawia. Niechno kto z niekatorżnych sprobuj wytknąć aresztantowi przestępstwo, zgromić go za to (choć zresztą robić wyrzuty przestępcy nie zgadza się z charakterem Rosyanina) — obelgom nie bę-

dzie końca. A byli mistrzami w obelgach. Łajali się subtelnie, kunsztownie. Lżenie było do stopnia nauki podniesione: starali się dojąć nie tyle krzywdzącem słowem, ile krzywdzącem znaczeniem, duchem, ideą, a to czyniło obelgę subtelniejszą, jadowitszą. Nieustanne kłótnie sprzyjały rozwojowi tej nauki. Wszystek ten lud pracował pod kijem, więc był próżniaczy i psuł się coraz bardziej; kto nie zepsuty przybywał do katorgi, to tu musiał zepsuć się. Wszyscy się tu zebrali nie z własnej woli; wszyscy byli obcy sobie.

— »Czart trzy pary łapciów znosił, nim zebrał nas w jedną kupę« — mówili o sobie; a stąd plotki, intrygi, babskie namowy, zawiść, swary, złość były zawsze na pierwszym planie w tem życiu czyścowem. Żadna baba nie zdołała być taką babą, jaką bywali niektórzy z tych zbójów. Powtarzam, byli wśród nich ludzie silni, charaktery przywykłe przez całe życie łamać i rozkazywać, zahartowane, nie znające strachu. Tych mimowoli szanowano. Oni zaś ze swej strony, chociaż czuli byli na swoją sławę, ale w ogóle starali się nie dokucać innym, nie wdawali się w obelżywe kłótnie, zachowywali się z niezwykłą godnością, postępowali rozsądnie i prawie zawsze posłuszni byli władzy — nie dla zasady posłuszeństwa, nie z poczucia obowiązku, ale jakby na podstawie jakiegoś kontraktu, jakby wskutek zrozumienia wzajemnych korzyści. Zresztą i władza z nimi obchodziła się ostrożnie. Pamiętam, jak jednego z takich aresztantów, człowieka nieustraszonego i stanowczego, znanego naczelnikom ze zwierzęcych usposobień, wezwano raz dla ukarania za jakieś wykroczenie. Dzień był letni, czas nieroboczy. Sztabowy oficer, najbliższy, bezpośredni zwierzchnik ostrogu, przyjechał sam do kordegardy, ażeby być obecnym przy egzekucyi. Ten major był fatalną dla aresztantów istotą; doprowadził ich do tego, że trzęśli się przed nim. Srogi był do okrucieństwa, »rzucał się na ludzi«, mówili katorżnicy. Najbardziej lękali się oni jego przenikliwego, rysiego wzroku, przed którym nie można było nic ukryć. Zdawało się, że widział, nie patrząc.

Wchodząc do ostrogu, już wiedział, co się dzieje na drugim jego końcu. Aresztanci nazywali go ósmiookim. System jego był fałszywy. Swojem wściekłem, złem postępowaniem budził tylko jeszcze większą złość w ludziach i tak pełnych złości, i gdyby nie miał nad sobą komendanta, człowieka szlachetnego i rozsądnego, miarkującego niekiedy jego dzikie wybryki, to jego rządy sprowadziłyby wiele nieszczęść. Nie rozumiem, jak mógł zakończyć służbę szczęśliwie; wystąpił z wojska, jest żywy, chociaż zresztą był pod sąd oddany.

Aresztant pobladał, kiedy go wezwano. Zwyczajnie milcząc, bez wahania kładł się pod różgi, w milczeniu znosił karę, a po egzekucyi wstawał, jakby się nic nie stało, obojętnie i filozoficznie spoglądając na złą przygodę. Z nim zresztą postępowano zawsze ostrożnie. Tym razem jednak, nie wiem dlaczego, uważał, że słusność po jego stronie. Pobladał i ukradkiem, tak, że nikt z konwoju nie widział, zdołał wsunąć w rękaw szewski nóż, ostry, angielski. Nożów i wszelkich ostrych narzędzi nie wolno było mieć w ostrogu pod straszną odpowiedzialnością. Rewizye były częste, niespodziane i nie na żarty, ale że trudno znaleźć u złodzieja coś, co on pragnie bardzo ukryć, i że noże i inne narzędzia były ciągle potrzebne w ostrogu, to ich nigdy nie brakło. A jeśli znaleziono i odebrano, to natychmiast zjawiały się nowe. Cała katorga rzuciła się ku ostrokołowi i z przyspieszonym tętnem serc patrzyła przez szczeliny między palami. Wszyscy wiedzieli, że Pietrow tym razem nie zechce poddać się różgom i że major zginie. Ale w rozstrzygającej chwili nasz major siadł na dorózkę i odjechał, poruczywszy egzekucyę innemu oficerowi. »Sam Bóg ocalił go« — mówili potem aresztanci. Co się tyczy Pietrowa, to on najspokojniej zniósł karę. Jego gniew zniknął z odjazdem majora. Aresztant jest posłuszny i spokojny do pewnego stopnia, ale jest granica, której nie trzeba przekraczać. Nawiasem dodam, że nic niema ciekawszego od tych strasznych wybuchów zniecierpliwienia i zuchwalstwa. Niejeden znosi cierpliwie przez kilka lat najsrozsze kary, okazuje

pokorę i naraz wybucha przy jakiejś drobnostce, prawie bez powodu. Można by to nazwać szaleństwem, a przecież tak się dzieje.

Powiedziałem już, że w ciągu kilku lat nie dostrzegłem w tych ludziach najmniejszej oznaki skruchy, ani śladu żalu za zbrodnie i że większa ich część w głębi duszy czuła się zupełnie niewinną. Jest to fakt. Niewątpliwie próżność, złe przykłady, zuchowatość, fałszywy wstyd, wiele się przyczyniają do tego. Z drugiej strony, kto może powiedzieć, że sięgnął do głębi tych serc zatrutych i odczytał w nich to, co tam się przed światem ukrywa! Ale przecież przez tyle lat można by było choć cokolwiek zauważyć, uchwycić; dostrzedz w tych sercach choćby jednego rysu, któryby świadczył o wewnętrznej trosce, o cierpieniu. Ale nie było tam tego, stanowczo nie było. Tak, zbrodnia nie może być pojmowaną z gotowych, z góry oznaczonych punktów widzenia i filozofia zbrodni jest nieco zawilszą, niż ludzie sądzą. Naturalnie, więzienia wspólne i system robót przymusowych nie poprawiają przestępców; one tylko są karą i zabezpieczają społeczeństwo od dalszych zamachów złoicy na jego spokój. W przestępcy zaś ostróg i najcięższa praca katorżna rozbudzą tylko nienawiść, pragnienie wzbronionych przyjemności i niesłychaną lekkomyślność. Ale mam silne przekonanie, że sławny system więzienia w osobnych celach osiąga tylko złudne, pozorne rezultaty. Wysysa on żywotne soki z człowieka, denerwuje, osłabia duszę, czyni ją wylekłą i potem tę moralnie wysuszoną mumię, półobłąkańca, przedstawia jako wzór poprawy i skruchy.

Niewątpliwie, przestępca, który powstał przeciw społeczeństwu, nienawidzi go i prawie zawsze upatruje słusność po swojej stronie, a winę po stronie społeczeństwa. Przytem on już doznał kary od niego, a wskutek tego zdaje mu się, że się oczyścił, że się skwitował. Nakoniec można na rzecz patrzeć z takiego stanowiska, że omal nie wypadnie usprawiedliwić zbrodniarza. Ale jakiegokolwiek mogą być punkty wi-

dzenia, każdy zgodzi się na to, że są takie zbrodnie, które zawsze i wszędzie, według wszelkich praw, od początku świata uważane są za zbrodnie niezaprzeczone i będą się za takie uważać, dopóki człowiek jest człowiekiem. Tylko w ostrogu słyszałem opowiadania o najstraszniejszych, najprzeciwiejszych naturze postępkach, o najpotworniejszych zabójstwach; opowiadania, którym towarzyszył niepowstrzymany, dziecinnie wesoły śmiech opowiadającego.

Szczególnie nie wychodzi mi z pamięci pewien ojciec. Pochodził on ze szlachty, mieszkał przy ojcu sześćdziesięcioletnim, względem którego był czemś w rodzaju marnotrawnego syna. Prowadził się najgorzej, wplątał się w długi. Ojciec ograniczał go, napominał; ale ojciec miał dom, miał futor, domyślano się, że ma pieniądze i — syn zabił ojca, pragnąc dziedzictwa¹⁾. Zbrodnię odkryto dopiero w miesiąc po jej spełnieniu. Sam zabójca doniósł policji, że jego ojciec niewiedomo gdzie się podział. Cały ten miesiąc przeżył w niewyudanej rozpuście. Nakoniec w jego nieobecności policja znalazła ciało zabitego. Na dziedzińcu, przez całą jego długość, był wykopany kanał dla odprowadzenia nieczystości, przykryty deskami. Ciało leżało w tym kanale. Trup był odziany, siwa głowa odcięta i przystawiona do tułowia, a pod głowę zabójca podłożył poduszkę. Syn nie przyznał się; pozbawiono go szlachectwa, rangi i zesłano na dwadzieścia lat do ciężkich robót. Przez cały czas mojego z nim pożycia był w najdoskonalszym, najweselszym usposobieniu. Był to rozpuszczony, lekkomyślny, w wysokim stopniu nierozsądny człowiek, chociaż wcale nie głupiec. Nie dostrzegłem w nim nigdy jakiegokolwiek skłonności do okrucieństwa. Aresztanci gardzili nim, nie dla zbrodni, o której nawet nie wspominali, ale za lekkomyślność, za to, że nie umiał zachować przyzwoitych pozorów. W rozmowach wspominał czasem o swoim ojcu.

¹⁾ W dalszym ciągu jest sprostowanie tego faktu. Skazaniec, jak się później okazało, nie był zabójcą. (*Przypisek tłumacza*).

Raz, mówiąc ze mną o tem, że w jego rodzinie zdrowy organizm był dziedzicznym, dodał: »oto mój ojciec, do samej śmierci nie skarżył się na żadną dolegliwość«. Taka zwierzęca nieczułość, jest naturalnie niemożliwą. Tu jest coś fenomenalnego, jakiś błąd organizacyi, jakaś cielesna i moralna potworność, jeszcze nieznaną nauce, nie zwykłą zbrodnią. Ja też nie wierzyłem tej zbrodni. Ale ludzie z jego rodzinnego miasta, którzy powinni byli znać wszystkie szczegóły tej historii, opowiadali mi całą sprawę. Fakty były tak jasne, że trudno było nie wierzyć. Aresztanci słyszeli raz, jak on krzyczał w nocy we śnie: »Trzymaj go, trzymaj! W głowę go tnij, w głowę, w głowę!«

Prawie wszyscy aresztanci mówili i bredzili nocą. Obelgi, złodziejskie terminy, noże, topory słyhać było w tem nocnem bredzeniu. »My naród bity«, mawiali, »u nas wewnątrz odbite, i dlatego krzyczymy po nocach«.

Rządowa katorżna robota forteczna nie była zajęciem, ale obowiązkiem. Aresztant odrabiał zadaną pracę dzienną, albo spędzał na robocie oznaczone prawem godziny i szedł do ostrogu. Na robotę spoglądano z nienawiścią. Bez swego własnego, osobnego zajęcia, któremu by się można było oddać z całą duszą, z całym wyrachowaniem, człowiek w ostrogu żyćby nie mógł. Bo i jakim sposobem wszyscy ci ludzie, rozwinięci, którzy mocno życia użyli i mocno żyć pragnęli, przemocą sprowadzeni w jedną gromadę, przemocą oderwani od społeczeństwa i życia moralnego, jak inaczej mogliby się oni zżyć z sobą, z własnej woli i ochoty? Z samego próżniactwa rozwinęłyby się tutaj takie zbrodnicze popędy, o których nie-jeden przedtem nie miał pojęcia. Bez pracy, bez prawem uznanej własności człowiek nie może żyć, rozpuszcza się, przemienia się w zwierzę. I dlatego to każdy w ostrogu, wskutek naturalnej potrzeby i jakiegoś instynktu samozachowawczego, miał swoje rzemiosło i zajęcie. Długi dzień letni cały zapełniony był robotą kazienną, krótka noc ledwie dawała czas do wyspania się. Ale zimą aresztant, podług przepisów, jak

tylko zmrok zaczyna padać, powinien być zamknięty w ostrogu. Cóż robić w długie, nudne godziny zimowego wieczoru? I dlatego prawie każda kazarma, nie uważając na zakaz, zamieniała się w wielki warsztat. Właściwie praca, zajęcie nie było wzbronione, ale surowo wzbraniano mieć przy sobie narzędzia, a bez nich praca niemożliwa. Ale praca odbywała się w największej cichości i zdaje się, że władza w niektórych razach patrzyła na to przez palce.

Wielu aresztantów przybywało do ostroga nie umiejąc, ale uczyli się tu od drugich i potem wyszedłszy z więzienia byli dobrymi majstrami. Zależć tu można było szewców robiących buty i trzewiki, krawców, stolarzy, ślusarzy, rytowników, złotników. Był jeden żyd, Izaak Bumstein, jubiler a zarazem lichwiarz. Wszyscy oni pracowali i zarabiali grosz jakiś. Zamówienia otrzymywano z miasta¹⁾. Pieniądz jest brzęczą swobodą, a stąd dla człowieka, zupełnie pozbawionego wolności, dziesięć razy droższy. Niech mu one tylko brzęczą w kieszeni, on już w połowie zadowolony, choćby ich nie mógł tracić. Ale pieniądze można zawsze i wszędzie wydawać, tem bardziej, że owoc zakazany jest podwójnie słodki. A w katordze można było mieć nawet wódkę. Fajki były najsurowiej zabronione, ale wszyscy palili. Pieniądze, tytoń ratowały od skorbutu i innych chorób. Praca zaś ratowała od zbrodni; bez pracy aresztanci pojedliby się wzajem, jak pająki w szklance. Pomimo tego i praca i pieniądze były zabronione, a choć pieniądze starannie były ukryte, wpadały przecież czasem w ręce poszukujących. Oto po części dlaczego nie oszczędzano ich, a prędko przepijano; oto dlaczego sprowadzano wódkę do ostrogu. Po każdej rewizji winny nie tylko tracił wszystko, co u niego znaleziono, ale bywał zwykle boleśnie ukarany. Ale natychmiast po każdej rewizji na miejsce utraconych sprowadzano nowe rzeczy i wszystko szło po da-

¹⁾ Miastem, gdzie Dostojewski przesiedział cztery lata w katordze, jest Omsk. (*Przypisek tłumacza*).

wnemu. I władza wiedziała o tem, i aresztanci nie narzekali na kary, chociaż takie życie podobne było do życia ludzi, mieszkających na Wezuwiuszu.

Kto nie miał rzemiosła, wynajdował sobie inne zajęcie, dochód przynoszące. Bywały sposoby dość oryginalne. Niektórzy naprzykład trudnili się handlarstwem, jako przekupnie, a sprzedawały się niekiedy takie rzeczy, których za ostrokołem więziennym nietylko nie przyszło nikomu do głowy sprzedawać i kupować, ale nawet uważać tego za rzeczy. Ale katorga była bardzo biedna i nadzwyczajnie przemyślna. Ostatni strzępek miał jakąś wartość i mógł się na coś przydać. Wskutek ubóstwa i pieniądze w katordze miały zupełnie inną cenę, niż na wolności. Za dużą i skombinowaną pracę płacono groszami. Niektórzy z powodzeniem uprawiali lichwiarstwo. Aresztant, który się zadłużył i nie miał ani grosza, niósł ostatnie swoje rzeczy do lichwiarza i otrzymywał od niego kilka miedzaków na szalony procent. Jeśli nie wykupił tych rzeczy w terminie, lichwiarz sprzedawał je niezwłocznie, na nic nie mając względu; lichwiarstwo tak się rozwinęło, że przyjmowano w zastaw nawet kazienne rzeczy, naprzykład bieliznę, obuwie i t. p., potrzebne aresztantowi w każdej chwili. Ale przy takich zastawach sprawa brała czasem inny obrót: ten, który dał zastaw i otrzymał pieniądze, natychmiast szedł do starszego podoficera, najbliższego zwierzchnika więziennego, donosił o zastawie rządowych rzeczy i wnet odbierano je od lichwiarza, nie odnosząc się nawet do wyższej władzy. Rzecz ciekawa, że nieraz nie było nawet z tego powodu kłótni; lichwiarz w ponurem milczeniu oddawał, czego żądano, i zdawało się, że sam spodziewał się takiego rozwiązania. Być może, iż czuł w duchu, że nieinaczej postąpiłby na miejscu zastawiacza. I dlatego, jeżeli lżył niekiedy potem, to bez gniewu, a tylko jakby dla spełnienia obowiązku.

W ogóle wszyscy kradli wzajem u siebie straszliwie. Prawie każdy miał swój kufer z zamkiem dla schowania rządowych rzeczy. Pozwalano na to; ale kufrы nie ratowały.

Myśle, że cytelnik łatwo sobie wyobra-
zi, ^s jacy rzeczy byli tam stojąc. U
mnie jeden aresztant, człowiek srogi
mi oddał (mówi to ^{przez} przesady) „
kradł biblie, jedyną książkę która
wolni było ^u mnie ^u katordzé; tegoż
dnia przyznał mi się do stodziejstwa
ale nie przez skruchę, tylko z żalu
nademną, gdy widział, jak drugi jej
szukał”. Byli tacy, którzy handlowa-
li wódką i prochu się wzbogacali. O te
speculary powiem kiedyś osobno, to jest
godna uwagi. W ostragu było wielu
kontrabandzystów, więc nie dziwne
je, wódka, pruniow^s rewirji i koczow^s,
jón, dostawała się do ostragu. A kon-
trabanda jest ^s niezgodnego rodzaju
przebiegiem. Był łatwo to naprawi,
leżał porozumieć, że u niektórych kon-
trabandystów pieniądze, ryble, sprząta
role pośrednia, stają na drugim pla-
nie? A tamczasem tak właśnie było.
Kontrabandysta oddaje się swemu za,

jeciu z namietnosci i powstania. Jest
 w nim praca poeta. On wyszedł
 stania na karte, wystawia sie na groz,
 nie niebezpieczeństwo, wignia podste p^o
 tworzy pomysły, wyplatuje sie z najtrud-
 niejszych sytuacji. czasem nawet
 drzota jakby pod uplywem wach uczenia.
 Jest to namietnosć rownie silna jak
 karciarstwo. Znamy w ostragu pewne
 go arestanta, starucha obrymiej
 postawy, ale tak dobrego, cielnego, poker
 mego, ze trudno bylo zrozumiec, skąd
 on wziął sie w ostragu. Tak mato
 w nim byt straci, tak byt uprzejmy,
 ze przez cały czas pobytu w katowice
 z nikim sie nie pokłócił. Ale przez
 duit z nad rachowolnej granicy skasa-
 ny byt do katowice ra kontrabande i
 naturalnie nie mógł spraci sie polku,
 sie i przemiat wodka. Jesi rasę karaw
 go ra to, i jak sie su lat wozat i
 rusk przemienienia wodka byt bardzo
 nieduzy; handel wodka uszegacat

tylko przedwiekowie. Ale skirny ten
 naturalny^s kochat utwka dla scuki.
 Blakiny byt jak baba, i iloi rasy by,
 wat, zaklinat sie i rasekat sie wie
 usie kontrabandy. Mezime pokonywat
 pokusy nieraz przez cety wieziny, ale
 w koncu nie mogt sie spric... Dzieki
 takim to scobistociam wigody wie^s wa,
 ktor w ostrogu woski. — Takowice
 byto jeszcze jednor prodt^s dochodu, ktore
 wie w bogacato mprawdnie arestantow
 ale byto stalo i dobroczynne. Ato wie t
 jat unisnie. Wyssa warstwa naszego
 spaterowstwa niema wystracenia i temu,
 jak sie spiechnia »mieszczywymi« kup,
 cy mieszcami i cety nasz lud pro,
 sty. Jat unisna jest tu nieustanna i
 prawie zawsze w postaci chleba^s tak
 swanyek sajek¹⁾ i kotacy, daloko psa,
 drzej picioria. Bez ty jat unisny
 w wielu^s wiezjach byto by barzko wie,
 ko arestantom, niezgodnie tym, co
 jeszcze byli pod sadlem i ktorych da,

1) Sajki, butki pszenne z gęsto zamieszonego ciasta.

lekr i cislj; trzymaja wie skracanych.
 Jaturina a religijna skrupulacjami
 druzi sie mielaj orientacis na rowne
 nasei. Jesli naprzyklad kilka kotacy sie
 odpowrada licie orientacis, to kotace
 kraja sie na rowne nasei, nasem nawet
 na sise nasei i kardy wicisi musi
 strymac przypadajca na siozi matke.

Pamietam, jak pierwszy raz straj
 matem jat murine piwniecia. Byto to
 wrotes po majem przyjeciu do wstoga.
 Poracatem a tanzej roboty, sam jeden
 a iotniemem konwojowym. Na drozke
 spotkalem idzce naprociwko mnie
 matke i corka, dwiercyuka lat dwisic-
 cin, puekna jak aniolek. Widiadem jui
 ze ras przedtem. Matka byla wolona
 po iotniemem. Jej mar, wrody iotniem
 byl pod sadem i umart w szpitalu
 aresztanciem, kiedy i ja tam leiatem
 chory. Zona i corka przychodily przegnac
 sie z nim; she gonilo ptakaly. Ebla,
 krywaj mnie, dwiercyuka a dnuwioni,

ta się i poręptata się do matki; mat-
ka zatrzymała się, odsunęła w bok,
ku ścianie kopijki i dała ją dziewczynie.
Ta zaś ruszyła się w pogon za matką. —

» Skasa, nieuczestliwy, wsi w innie s'krytu,
sa« — wstata, rąbiegając mi drogę i
wsuwając w rękę groszyk. Właż tam go
i dziewczynka wróciła do matki ra-
potnie zadowolona. Ten groszyk obłego
chowała.

II. Pierwszy miesiąc.

Pierwszy miesiąc i węgiele prętek
mojego życia w ostrym zjawie mi stały
w wyborze. Daleko niewyrażając na-
jęcia mi we wspomnieniu poimę-
nie lata tego życia. Sklebia, zda się,
niechętnie zacierają się, ale są się je-
dne z drugimi, zastawiając za sobą
jedno wspólne wyobrażenie: chwil ciężkich,
jednostajnych, duszących... — Ale s'wzrost,
korsem prężyć w pierwszych dniach

katolici predstavili mi se jaká'cos, co
se veseraj zoharyt. Před to natural,
na. — Tamistom vyprávě se prý sa,
mem ustápiem u to rycie "udery",
to mi to, se mi u mem jakoby me
zualátem raracep nadzvyčajneg,
allé včasivij móvige, včespráčenan
gr. Vyvstá to na to patrátom, žui
predtem jakby migat u moji vy-
brazi, goly idac na Syberie, stara tem
se odgaduce moji prýstě by. Ale
niebravem množstvá najdrivnijšych
niespodrianeck najprávrnijšych faktit
práve na každym kroku sa neto mi
uderač, i dopiero práve, po druhym
polycie u ostrogu, zrovnátem u petni
caž vyžátkovšč, caž niespodrianeč to
gr rycia i ccaž tricej divitěm se je,
nu. Skuse se prýstě, se to radšivě,
nie tovarušijit mi přes caž čas ka-
torgi; nie mogtem sig z uně, sigdy po-
godit. — Píruse včasivie moji prý
včasivie do ostroga byto mogitě naj,

pracy kraj swe, najwstrętniej sze; powinnu to,
go jednuk - ruda skirna - wydatkowi sie, ie
w ostrogu daleko katury zyc, wielku to so,
bie w drodze na Syberje wyobraziat. Trestan,
ci chwieci w kajdaniach, chcieli jednuk
swobodnie po całym ostrogu, fajali sie spiewa,
li piesni, pracowali dla siebie, palili fajki
nawet pili wódke (chwieci takich bylo nie,
wielu) a niektórzy w uszy uprawiali kar,
marstwo. Sama robota wyolata mi sie nie
tak ciężka, katrisina i dopiero dolne pods,
nięj porzucatem, ie zęj ciężar, żej katrisinie
płoga nie na tem, ie jest trudna i ciężka,
ale na tem, ie to praca przymusowa i
barrackowa, pod kijem. Ustos wolny pracuje
niezawadnie więcej czasem i uczami
niezgodnie latem; ale pracuje dla siebie
pracuje w rozumnym celu, i zemu niezawad
niej, nie katrisinemu robotnikowi w pracy
przymusowej i nie przymuszanej mu żadnej
korzyści. Przynato mi raz na myśl, ie gdy
by chcieli o to, aby utworzka superwie przy
gnębić, znicostwić, ukarać go najstraszliwiej,

Tak, żeby najgorssy z tej wdrygał się przed
 tą karą i z góry dźwił przed nią, to uale,
 roboty tyłk wadać jej charakter, zupełny
 niewyżosci i niedroscusci. Jakkolwiek
 terasnijsze roboty, katorzine nie mają dla
 więźniów interesu, undne sa dla nich, to
 jednak same w sobie mają cel rozumny;
 arasant coli cęty, kopie ziemie tykuję,
 buduje. w tej pracy jest sens i cel jakiś.
 Ale gdyby go naprzykład zmusić do pra-
 kowania wody z jednego cebra w drugi, a
 z drugiego w pierwszy, tunc piasek, pra-
 wie kupa ziemi z jednego migra w dru-
 gie i odwrotnie - to myśleć arasant
 po kilku dniach udusiłby się, albo by
 tak naboił, żeby już choć umnie, i w ten
 sposób wydobyć się z tego porażenia, wsty-
 du i waki. Poruwać się w taka kara sa,
 niewiary sie w torture i bytaby wiec
 racina, poruwać nie via gueta by sadne
 go colu. Ale w pewna dosa takię tortury,
 niedroscusci, poruwać i wstydu jest wiec
 aby chie w każdej pracy wymuszonej, to i

katorżnia, praca jest 27. niewinnie bardzo, nęka od każdej strony, dlatego uważam, że jest zrywaną.

Zresztą ja wstąpiłem do ostrogu w zimie, w miesiącu styczniu i nie miałem jeszcze pojęcia o letniej pracy, pięćkroć cięższej. W zimie zaś w naszej fortecy rządowych robót było w ogóle mało. Aresztanci chodzili na Irtysz, rozrywać stare rządowe barki, pracowali w warstatach, odrzucali od rządowych budynków śnieg, nawiany buranami, palili, tłukli alabaster i t. d. Dzień zimowy był krótki; praca kończyła się prędko i cały nasz lud wracał wcześniej do ostrogu, gdzie nie miałby nic wcale do roboty, gdyby mu się nie zdarzało mieć jakiej własnej roboty. Ale własną pracą zajmowała się może tylko trzecia część aresztantów; inni zbijali baki, włóczyli się po wszystkich kazarmach ostrogu, łajali się wzajem, snuli intrygi, wyprawiali historye, upijali się, jeżeli tylko skądkolwiek choć trochę nasunęło się pieniędzy; po nocach zgrywali się do ostatniej koszuli, ale wszystko z nudy, z próżniactwa, dla zabicia czasu. Później poznałem, że w życiu katorżnym, oprócz pozbawienia wolności i pracy przymusowej, jest jeszcze jedna męka, bodaj czy nie cięższa od innych. Tą męką — »przymusowe wspólne pożycie«. Wspólne pożycie jest niewątpliwie i w innych miejscach, ale do ostrogu dostają się ludzie, z którymi nie każdemu chciałoby się zżywać, i jestem pewny, że każdy katorżnik ucuwał tę mękę, chociaż może po większej części nieświadomie.

I strawa z początku wydała mi się dość znośną. Aresztanci zapewniali, że tak dobrej niema w aresztanckich rotach Rosyi europejskiej. Nie będę o tem wyrokował, bom tam nie był. Wielu przytem mogło mieć własną żywność. Wołowina płaciła się u nas funt po groszu, latem trzy kopijki. Ale własny wikt mieli tylko ci, u których ciągle były pieniądze; większość katorgi jadła strawę kazienną. Zresztą aresztanci, chwając się swoim wiktem, stosowali te pochwały tylko do chleba i błogosławili ten zwyczaj, że u nas chleb wspólny, i nie wydaje się na wagę. Ta waga ich przerażała: przy wydawaniu na wagę trzecia część więźniów byłaby głodna; przy wspólnym zaś chlebie wszystkim wystarczało. Chleb nasz był szczególnie

smaczny i słynał z tego w mieście; przypisywano to dobremu urządzeniu pieców w ostrogu. Co się tyczy kapuśniaku, ten był wcale niepokazny. Gotowano go w jednym wielkim kotle, zasypywano zlekka krupami i szczególnie w dni powszednie był on cienki i chudy. Przerażało mię wielkie mnóstwo tarakanów w tej potrawie; ale aresztanci nie zwracali na to bynajmniej uwagi.

Przez pierwsze trzy dni nie chodziłem na robotę; tak postępowano z każdym nowoprzybyłym: pozwalano mu odpocząć po drodze. Ale nazajutrz po przybyciu musiałem wyjść z ostroga, aby się dać przekuć. Kajdany, które dotychczas nosiłem, były nie podług formy, łańcuchowe, *mielkozwon* (drobny dzwon), jak je nazywali aresztanci. Noszono je zewnątrz, na ubraniu. Kajdany zaś przepisane dla ostrogu, a zastosowane do robót katorżnych, składały się nie z ogniw krągłych, ale z czterech prętów żelaznych, prawie na palec grubych, połączonych z sobą trzema pierścieniami. Trzeba je było zakładać pod spodnie. Do środkowego ogniwa przywiązywał się rzemień, a ten z kolei był przymocowany do rzemieńnego pasa, którym opasaną była koszula.

Pamiętam pierwszy poranek w kazarmie. W kordegardzie u wrót ostroga uderzono w bęben, jako hasło do wstawania, i w dziesięć minut potem podoficer straży więziennej zaczął otwierać kazarmy. Aresztanci zaczęli się budzić. Przy mdłym świetle łożówki podnosili się z nar swoich, drżąc z zimna: wstawali ze snu po większej części milczący, z ponurem wejrzaniem, poziewali, przeciągali się, marszczyli piętnowane czoła. Niektórzy żegnali się, inni szukali już zaczepki.

Zaduch był straszliwy. Świeże powietrze zimowe uderzyło we drzwi, jak tylko je otworzono, i w kazarmie zakłębiło się od pary. U wiader z wodą stał tłum aresztantów; po kolei brali dzban, nabierali wody w usta, i tą wodą myli twarz i ręce. Woda przygotowaną już była z wieczora, przez tak zwanego *parasznika*. W każdej kazarmie według przepisów był jeden aresztant, wybrany przez towarzyszy dla posług;

nazywał się »parasznik« i nie chodził na robotę. Jego zajęcie polegało na utrzymywaniu czystości w kazarmie, na myciu i szurowaniu nar i podłogi, przynoszeniu i wynoszeniu nocnego cebra, na dostarczaniu świeżej wody po dwa wiadra, rano dla mycia się, w dzień dla picia.

Z powodu dzbana, który był tylko jeden, zaczęły się niezwłocznie spory.

— Gdzie leziesz, rybia głowo! — burknął jakiś ponury, wysoki aresztant, chudy i ogorzały, z dziwnymi wypukłościami na ogolonej czaszce, odpychając drugiego, grubego i przysadzistego z wesołą i rumianą twarzą: — *pastoj* (poczekaj)!

— Poco wrzeszczysz! *Za pastoj* (kwaterunek) u nas trzeba płacić! sam się przewalaj! Patrz go, wyciągnął się jak monument. To jest, widzicie, kamraci, nie ma w nim żadnej fortykultiapności.

»Fortykultiapność« wywołała pewien efekt: wielu zaśmiało się. Tego tylko potrzeba było wesołemu grubasowi, który widocznie był w kazarmie czemś w rodzaju dobrowolnego błazna. Wysoki aresztant popatrzył na niego z najgłębszą pogardą.

— Słomiana krowa! — powiedział jakby do siebie — odpaś się na aresztanckim czystiaku¹⁾. Cieszy się, że na Wielkanoc dwanaście prosiąt będzie miał na stole.

Tłuszcioch nareszcie rozgniewał się.

— Ale ty, cóżes to za ptaszek — zawołał, nagle poczerwieniawszy.

— A właśnie, że ptaszek.

— Jaki?

— Taki.

— Jakiż taki?

— Jednem słowem taki.

— Ale jaki?

¹⁾ Czystiakiem nazywał się chleb z czystej mąki, bez jakiegokolwiek domieszki.

Wpili się oczyma w siebie. Tłuscioch czekał odpowiedzi i ścisnął kułaki, jakby gotów natychmiast rzucić się do bójki. Myślałem, że naprawdę nastąpi bójka. Wszystko to było dla mnie nowością i ciekawie patrzyłem na tę scenę. Później przekonałem się, że wszystkie podobne sceny były bardzo niewinne i odgrywały się, jak w komedyi, dla uciechy publiczności; do bójki zaś prawie nigdy nie dochodziło.

Wysoki aresztant stał spokojnie i wspaniale: czuł, że na niego patrzą i czekają, czy się zbłąźni odpowiedzią, czy nie; czuł, że trzeba było utrzymać się przy swoim, dowieść, że jest rzeczywiście ptakiem i powiedzieć, jakim mianowicie ptakiem. Z niewypowiedzianą pogardą spojrział z ukosa na swego przeciwnika, starając się na domiar obrazy popatrzeć na niego przez ramię, z góry na dół, jak na owad jakiś i wymówił powoli i wyraźnie:

— Kagan!

Znaczyło to, że on jest ptak kagan. Grzmiąca salwa śmiechu powitała pomysłowość aresztanta.

— Padlec ty, ale nie kagan! — zaryczał tłuscioch, poczawszy, że pobity został na wszystkich punktach i wpadł w ostateczną wściekłość.

Ale jak tylko zwada stawała się groźną zuchów natychmiast osadzono na miejscu.

— Co tam za wrzask podnieśli! — zawołała na nich cała kazarma.

— A wy już lepiej pobijcie się, niżeli tak drzeć gardło — krzyknął ktoś z kąta.

— Poczekaj, pobiją się! — zabrzmiała odpowiedź z tłumu. — U nas lud dzielny, zaczepny; siedmiu jednego nie boimy się...

— A i oba są dobrzy! Jeden za funt chleba dostał się do ostroga, drugi śmietanę babie z garnka wyjadł, i chwycił za to knuta.

— No, no, no! Dosyć tego — zawołał inwalid, który mieszkał w kazarmie dla utrzymywania porządku i sypiał w kącie na osobnym tapczanie.



— Woda, dzieci! Newalid Piotrowicz zbudził się! Newalidowi Piotrowiczowi, rodzonemu bratu!

— Brat... Co ja tobie za brat? Rublaśmy razem nie przepili, a brat! — mruzczał inwalid, naciągając szynelę na rękawy.

Gotowano się do sprawdzenia; zaczęło świtać; w kuchni skupił się gęsty tłum aresztantów, przez który trudno się było precisnąć. Aresztanci w swoich półkożuszkach i dwubarwnych czapkach gromadzili się koło chleba, który krajał im jeden z kaszowarów (kucharzy). Kaszowarów obierała spółka aresztancka, do każdej kuchni po dwóch. U nich też przechowywał się nóż kuchenny do krajania chleba i mięsa, jedyny na całą kuchnię.

Po wszystkich kątach i za stołami rozsiedli się aresztanci w czapkach, półkożuszkach i podpasani, gotowi wyjść natychmiast na roboty. Przed niektórymi stały drewniane kubki z kwasem. Do kwasu drobiono chleba i popijano z kubków. Gwar i hałas był nieznośny; ale niektórzy przywoicie i z cicha rozmawiali po kątach.

— Staruszkowi Antonyczowi chleb i sól, jak się masz! — powiedział młody aresztant, sadowiąc się obok zachmurzonego bezzębego aresztanta.

— No, jak się masz, jeżeli nie żartujesz — odpowiedział powitany, nie podnosząc oczu i usiłując zżuć chleb swojemi bezzębnymi wargami.

— A ja, Antonycz, byłem pewny, żeś ty już umarł; doprawdy.

— Nie, ty naprzód umrzyj, a ja po tobie...

Usiadłem koło nich. Z prawej strony obok mnie rozmawiali dwaj poważni aresztanci, starając się widocznie jeden wobec drugiego zachować jak najwięcej powagi.

— U mnie, nie bój się, nie ukradną — mówił jeden z nich: — ja, bracie, sam boję się, żeby czego nie ukraść.

— No i mnie też gołą ręką nie bierz: oparzę!

— I po co masz parzyć. Taki sam »warnak«¹⁾, jak inni; innej nazwy nie mamy... obierze ciebie i nawet się nie ukloni. Tu, bracie i moja kopiejka się umyła. Onegdaj sama przysłała. Gdzie się z nią podziąć? Zacząłem prosić Fiedki-oprawcy, tego, co to miał dom na przedmieściu, od Salomonki parszywego, od żyda kupił, co się potem powiesił.

— Wiem. On u nas w trzecim roku był szynkarzem, a nazywa się Gryszka — ciemny szynk, znam go.

— A właśnie, że nie znasz; to drugi ciemny szynk.

— A jeżeli nie drugi! Ty już wszystko wiesz doskonale. A ja ci tyle świadków przyprowadzę...

— Przyprowadzisz? Ty skąd, a ja czyj?

— Czyj! Bijałem ciebie nieraz i nie chwalebę się, a ty jeszcze: czyj!

— Ty biłeś! kto mnie pobije, ten się jeszcze nie urodził, a kto bił, ten w ziemi leży.

— Dżuma benderska!

— Żeby cię zaraziła zaraza sybirska!

— Żeby się z tobą szabla turecka rozmówiła!

I poczęły się sypać obelgi.

— No, no, no! Zaindyczyli się! — zakrzyczano dokoła. — Na woli nie umieli żyć, a tu radzi, że się do czystego chleba dobrali...

Natychmiast rozejmą. Łajając się, językiem rąbać wolno; stanowi to po części rozrywkę dla wszystkich. Ale do bójki nie zawsze dopuszczają, i chyba tylko w wyjątkowym razie przeciwnicy się pobijają. O bójce donoszą majorowi; pocznie się badanie, przyjedzie sam major, — jednym słowem wszyscy na tem źle wyjdą, i dlatego to do bójki aresztanci nie dopuszczają. Wreszcie i sami przeciwnicy łajają się bardziej dla rozrywki, dla ćwiczenia się w stylu. Nieraz sami siebie oszukują, zaczynają z najgorętszym gniewem, ze wściekłością i... patrząc na nich, myślisz: ot, ot rzucą się na siebie; a tym-

¹⁾ *Warnak* — nazwa ludowa skazanego do katongi.

czasem nie podobnego się nie dzieje: doprowadzą kłótnię do pewnego punktu i natychmiast rozchodzą się. Wszystko to mnie z początku niezmiernie dziwiło. Umyślnie tu przytoczyłem próbkę najzwyczajszych rozmów katorżnych. Nie mogłem z początku zrozumieć, jak można łączyć się dla przyjemności i znajdować w tem zabawę. Zresztą, trzeba i to wziąć na uwagę, że działała tu i próżność. Dialektyk, mistrz w obelgach cieszył się poważaniem; omal że nie oklaskiwano go, jak aktora.

Jeszcze od wczorajszego wieczora spostrzegłem, że na mnie patrzą krzywo. Pochwytiłem już kilka wrogich spojrzeń, rzuconych w moją stronę. Ale byli i tacy aresztanci, którzy skakali koło mnie, podejrzewając, że przyniosłem z sobą pieniądze. Natychmiast raczyli wyświadczać mi rozmaite przysługi: uczyli mię, jak nosić nowe kajdany; dostali dla mnie, rozumie się za pieniądze, kuferek z zamkiem, ażebym miał gdzie schować rządowe rzeczy, które mi już wydano, i trochę bielizny, którą z sobą przyniosłem. Nazajutrz ciż sami ukradli go u mnie i przepili. Jeden z nich później był mi zupełnie oddany, choć nie przestawał mię okradać przy pierwszej następującej się sposobności. Robił to bez wszelkiego zawstyżenia, prawie nieświadomie, jakby z obowiązku, i niepodobna było gniewać się na niego.

Prócz innych rzeczy nauczyli mię, że trzeba mieć swoją herbatę, że nieźleby było sprawić sobie imbryk do herbaty, a tymczasem wystarali się o cudzy i rekomendowali mi kucharza, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi przyrządzał co mi się podoba, jeżeli zechcę jeść osobno i kupować sobie żywność... Naturalnie pożyczyli u mnie pieniądze, i pierwszego dnia po trzy razy przychodzili do mnie z prośbą o pożyczkę.

W katordze na ludzi ze stanu szlacheckiego patrzą w ogóle niechętnie, a nawet wrogo.

Nie uważając na to, że ci pozbawieni są już wszelkich praw stanu i zupełnie zrównani z innymi aresztantami — aresztanci nie uznają ich nigdy za swoich towarzyszy. Dzieje

się to nie wskutek jakiegoś wyraźnego, świadomego uprzedzenia, ale zupełnie nieświadomie, zupełnie szczerze. Oni sami uznawali nas za szlachtę, pomimo, że lubili drażnić nas naszą degradacją.

— Nie, teraz już darmo, teraz inaczej. Bywało Piotr przez Moskwę *priot* (pędzi), a teraz Piotr *wierionki wjot* (sznury kręci) i t. p. spotykały nas dogadywania.

Z przyjemnością patrzali na nasze cierpienia, które staliśmy się przed nimi ukrywać. Szczególnie dostawało się nam z początku przy robocie, za to żeśmy nie mieli tyle siły, co oni, i żeśmy nie mogli im dorównać w robocie. Niema nic trudniejszego, jak pozyskać ufność ludu, i to takiego jeszcze ludu i zjednać sobie jego miłość.

W katordze było dziesięciu ludzi ze szlachty. A naprzód pięciu Polaków. O nich powiem kiedyś osobno¹⁾. Katorżnicy strasznie nie lubili Polaków, więcej nawet, niżeli skazańców z rosyjskiej szlachty. Polacy (mówię tylko o przestępcach politycznych) byli względem nich jakoś dziwnie subtelnie, obrażająco grzeczni, zupełnie dla nich zamknięci i ani trochę nie mogli ukryć swojego ku nim wstrętu, co aresztanci bardzo dobrze pojmowali i płacili im podobną monetą.

Ja musiałem przeszło dwa lata przeżyć w ostrogu, zanim udało mi się pozyskać przychylność niektórych katorżników. Ale w końcu większa ich część polubiła mię i uznała za »dobrego« człowieka.

Z rosyjskiej szlachty oprócz mnie było czterech. Jeden — niskie i dziwnie podłe stworzenie, strasznie zepsute, szpieg i donosiciel z rzemiosła. Słyszałem o nim jeszcze przed dostaniem się do ostroga i zaraz w pierwszych dniach zerwałem z nim wszelkie stosunki. Drugi — to ten ojcobójca, o którym już wyżej mówiłem. Trzecim był Akim Akimycz (Joachim Joachimowicz); bodaj czym widział kiedy takiego

¹⁾ Przy końcu »Wspomnień« jest cały rozdział poświęcony prawie wyłącznie Polakom. (*Przypisek tłumacza*).

cudaka, jakim był Akim Akimycz. Postać jego silnie się zarysowuje w mojej pamięci. Był wysoki, chudy, tępego umysłu, niesłychanie mało wykształcony a lubiący rezonować, wreszcie akuratny, jak Niemiec. Katorżnicy śmiali się z niego, a niektórzy bali się nawet wchodzić z nim w stosunki, lękając się jego przyczepek i kłótności. Odrazu zaczął być z nimi za pan brat, łąkał się z nimi, nabet bił się. Uczciwy był fenomenalnie. Jak tylko zauważył jaką niesprawiedliwość, natychmiast wdał się w sprawę, chociaż go wcale nie dotyczyła. Naiwny do najwyższego stopnia: naprzykład kłócąc się z aresztantami, wypominał im nieraz, że są złodzieje, i z całą powagą przekonywał, że nie powinien kraść. Służył on na Kaukazie, jako praporszczyk. Zaznajomiłem się z nim od pierwszego dnia i zaraz mi opowiedział swoją historję.

Zaczął służyć na Kaukazie w piechocie, jako junkier, długo czekał na awans; wreszcie mianowano go oficerem i wyprawiono do jakiegoś fortu jako naczelnika. Pewne sąsiednie ksiąŜątko kaukaskie, zostające w pokojowych stosunkach z rządem rosyjskim, podpaliło jego fort i napadło nań w nocy, ale napad nie powiódł się. Akim Akimycz chwycił się podstępnie i udał, że nie wie, kto był sprawcą napadu. Winę zwałono na niepodległych Czerkiesów i po miesiącu Akim Akimycz zaprosił do siebie po przyjacielsku owego księcia w gošcinę. Zaproszony przyjechał, nie złęgo nie podejrzewając. Akim Akimycz uszykował swój oddział, publicznie wobec niego zgromił schwytanego gošcia, dowodząc mu, że jest haniebną rzeczą podpalać fortecę; następnie odczytał mu szczególową instrukcyę, jak się ma zachowywać na przyszłość, jako sprzymierzeniec rządu, a na zakończenie kazał go rozstrzelać, o czem niezwłocznie doniósł swej władzy ze wszystkimi szczególowami. Za to wszystko oddano go pod sąd i skazano na śmierć, ale wyrok złęgodzono i zesłano na Syberję na lat dwanaście do katorgi drugiego rzędu w fortecach. On zupełnie zgadzał się na to, że postąpił nieprawidłowo, mówił mi, że wiedział o tem i przed rozstrzelaniem księcia, że po-

kojowego przestępcę należało sądzić według praw zwyczajnych; ale jakkolwiek wiedział o tem, w żaden sposób nie mógł zrozumieć swojej winy.

— Ale proszę was! Przecie on podpalił moją fortecę? Cóż? czy miałem mu się za to pokłonić? czy co? — mówił mi, odpowiadając na moje zarzuty.

Ale aresztanci, pomimo iż wyśmiewali głupkowatość Akima Akimycza, szanowali go przecież za jego akuratność i biegłość w rzeczach praktycznych.

Nie było rzemiosła, którego by nie znał Akim Akimycz. Był stolarzem, szewcem, malarzem, pozłotnikiem, ślusarzem i wszystkiego tego nauczył się w katordze. A wszystko robił jako samouk: spojrzy raz na jaką robotę i zaraz to samo zrobi. Robił skrzynki, koszyki, latarki, dziecinne zabawki i sprzedawał w mieście. Tym sposobem miał zawsze pieniądze i używał ich natychmiast na bieliznę dodatkową, na jakąś miększą od zwykłych poduszkę, zaopatrzył się w składany materac. Umieszczony był w jednej ze mną kazarmie i wiele przysług wyświadczył mi w pierwszych dniach mojej katorgi.

Wychodząc z ostroga na robotę, aresztanci szykowali się przed kordegardą w dwa rzędy; przed nimi i za nimi stawali w szeregu konwojowi żołnierze z nabitą bronią. Zjawili się tu: oficer inżynieryi, konduktor i kilku niższych urzędników inżynieryi, dozorców nad robotami. Konduktor rozdzielał aresztantów na partye i posyłał gdzie potrzeba na robotę.

Razem z innymi udałem się do warsztatu inżynieryi. Był tu niziutki budynek z kamienia, stał na wielkim dziedzińcu, zawalonym różnymi materyałami. Była tu kuźnia, był warsztat ślusarski, stolarski, malarski i inne. Akim Akimycz chodził tu i pracował w malarni, warzył oliwę, robił farby i malował stoły i meble na kolor orzecha.

Oczekując przekucia, rozmawiałem z Akimem Akimyczem o pierwszych wrażeniach doznanych w ostrogu.

— Tak-s¹⁾ szlachty oni nie lubią — zauważył mój interlokutor — szczególnie politycznych, zjeśby radzi. Nic dziwnego. Naprzód pan jesteś człowiek innego rodzaju, do nich niepodobnego, a powtóre oni wszyscy przedtem byli albo pańscy poddani, albo z wojennego stanu. Sam więc osądź, czy mogą oni polubić pana? Tutaj, ja panu powiem, żyć trudno. A w rosyjskich²⁾ areztanckich rotach jeszcze trudniej. Ot u nas są ludzie stamtąd i nie mogą się nachwalić naszego ostrogu, rzekłbyś, z piekła dostali się do raju. Nie w robocie nieszczęście. Mówią, że tam w pierwszym oddziale zwierzchność niezupełnie wojenna, a przynajmniej w inny sposób, niż u nas, postępuje. Tam, mówią, zesłany może żyć z rodziną. Ja tam nie byłem, ale tak mówią. Nie golą tam, w mundurach nie chodzą, chociaż zresztą to dobrze, że u nas i goleni i w urzędowym stroju; zawsze to więcej porządku i przyjemniej dla oka. A jednak im się to nie podoba. A proszę też popatrzeć, co to za zbieranina. Jeden z kantonistów, drugi z Czerkiesów, trzeci z rozkolników, czwarty prawosławny *mużyczok* (chłopek), rodzinę, dzieci ukochane zostawił we wsi rodzinnej, piąty żyd, szósty cygan, siódmy niewiadomo kto, i wszyscy to oni muszą, bądź co bądź, zżyć się z sobą, zgodzić się jeden z drugim, jeść z jednej misy, spać na jednych narach. A i wolność tu jaka: dodatkowy kąsek można zjeść tylko ukradkiem, każdy grosz trzeba chować w cholewę, i wszędzie i zawsze: ostróg i ostróg... Mimowoli w głowie się zawróci.

Ale ja już o tem wiedziałem. Przedewszystkiem chciałem się rozpytać o naszego majora. Akim Akimycz nie robił tajemnicy i pamiętam, że wrażenie, które odniosłem z jego opowiadania, nie było zupełnie przyjemne.

¹⁾ Dodawanie *s* na końcu wyrazu dla większej dobitności właściwie Rosyanom szczególnie warstw mniej ukształconych.

(Przypisek tłumacza).

²⁾ To jest w europejskich. (Przypisek tłumacza).

Ale sądzono mi było jeszcze dwa lata przeżyć pod jego władzą. Wszystko, co mi o nim Akim Akimycz opowiadał, okazało się zupełnie prawdziwym, z tą różnicą, że wrażenie, które rzeczywistość wywiera, jest zawsze silniejszym od wrażenia, wywołanego prostym opowiadaniem. Straszny to był człowiek, a straszny dlatego, że był naczelnikiem z władzą prawie nieograniczoną nad dwustu duszami ludzkimi. Sam w sobie był to tylko nieporządny i zły człowiek, i nie więcej. Na aresztantów spoglądał jak na swoich przyrodzonych wrogów i to był pierwszy i główny błąd jego. Miał rzeczywiście pewne zdolności, ale wszystko, nawet to, co było w nim dobrego, przedstawiało się w jakiejś spaczonyj postaci. Niezdolny panować nad sobą, gniewny, wpadał do ostroga, czasem nawet w nocy, i jeśli spostrzegł, że aresztant spi na lewym boku lub na wznak, karał go nazajutrz: »pamiętaj, żebyś spał na prawym boku, jakem rozkazał«. W ostrogu nienawidzono go i bano się jak dżumy. Twarz miał purpurową, gniewną. Wszystkim wiadomo było, że był całkowicie zależny od swego *dieńszczyka*, Fiedki. Najwięcej ze wszystkiego kochał swego pudła, Trezorkę, i omal nie oszalał ze smutku, gdy Trezorka zachorował. Mówią, że beczał nad nim, jak nad rodzonym synem; odpędził jednego weterynarza i swoim zwyczajem omal, że się z nim nie pobił, a usłyszawszy od Fiedki, że w ostrogu jest aresztant weterynarz - samouk, który leczy bardzo szczęśliwie, natychmiast przywołał go do siebie.

— Pomóż mi! Ozłocę ciebie, wylecz Trezorkę! — zwołał do aresztanta.

Był to chłop Sybirak, przebiegły, mądry, w istocie bardzo zręczny weterynarz, ale prawdziwy *mużyczok*.

— Patrząc ja na Trezorkę — opowiadał potem aresztantom, dość zresztą dawno po tej wizycie u majora, kiedy już cała sprawa była zapomnianą; — patrząc: leży pies na kanapie, na białej poduszce; i widzę dobrze, że zapalenie, że trzeba by krwi puścić i pies by się wylizał, dalipan że tak? Ale tuż myślę sobie: a co będzie, jak nie wyleczę, jak zdechnie?

Nie, mówię, wasze wysokobłagorodje, późno mnie wezwali, gdyby tak wczoraj, albo pozawczoraj, tobym psa wyleczył: a teraz nie mogę, nie wyleczę...

Tak więc zdechł Trezorka.

Opowiadano mi ze szczegółami o zamachu na majora. Był w ostrogu pewien aresztant, który już od kilku lat tu siedział i znany był z cichego zachowania się. Zauważono też, że prawie nigdy z nikim nie rozmawiał, i miano go za niespełna rozumu. Był to człowiek piśmienny i przez cały rok ostatni ciągle czytał biblię, czytał dniem i nocą. Gdy wszyscy zasypiali, o północy wstawał, zapalał woskową, cerkiewną świecę, włożył na piec, otwierał książkę i czytał do rana. Pewnego dnia poszedł do podoficera i oznajmił mu, że nie chce iść na robotę. Doniesiono majorowi; zakipiał cały i natychmiast sam przyleciał. Aresztant rzucił się na niego z przygotowaną zawczasu cegłą, ale nie trafił. Schwytano go, oddano pod sąd i ukarano. Wszystko to odbyło się bardzo prędko. W trzy dni potem umarł w szpitalu. Umierając, mówił, że nie miał do nikogo złości, chciał tylko pocierpieć. Nie należał zresztą do żadnej sekty rozkolników. W ostrogu wspominano o nim z szacunkiem.

Nakoniec zmieniono mi kajdany. Tymczasem w warstacie zjawili się z kolei kilka przekupek, sprzedających kołaczki, tak zwanych *kałasznice*. Były między nimi małe dziewczątka. Chodziły one z kołaczami aż do wieku dojrzałego; matki piekły, a one sprzedawały. Dorósłszy, nie przestawały chodzić, ale już bez kołaczy; tak prawie zawsze bywało. Były tam i nie dziewczęta. Za kołacz płaciło się grosz i prawie wszyscy aresztanci kupowali.

Zwróciłem uwagę na pewnego aresztanta, już siwego, ale rumianego, i z uśmiechem żartującego z *kałasznicami*. Przed samym ich przyjściem okręcił był dokoła szyi czerwoną perkalową chustkę. Jakaś gruba i ospowata kobiecina postawiła swój kram na jego stole roboczym. Między nimi zawiązała się rozmowa.

— Cóżście wczoraj tu nie przychodziły? — przemówił aresztant z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— O tak! byłam tutaj, a was jak miotłą zamiótł — odpowiedziała rezolutna kobiecina.

— Nas wezwali, abyśmy nieodmiennie byli na swoim miejscu... A do mnie onegdaj wszystkie wasze przychodziły.

— A któż taki?

— Maryaszka przychodziła, Chawroszka przychodziła, Czekunda przychodziła, Dwugroszowa przychodziła...

— Cóż to znaczy? — spytałem Akima Akimycza — czyżby naprawdę?...

— Bywa to — odpowiedział wstydliwie spuściwszy oczy, był to bowiem człowiek bardzo skromny.

Niewątpliwie zdarzało się to, ale nader rzadko, i połączone było z wielkimi trudnościami. W ogóle więcej było ochotników do wypicia, niż do takich rzeczy, pomimo całej naturalnej uciążliwości zamkniętego życia.

Do kobiet trudno było dostawać się. Potrzeba było wyszukiwać czas, miejsce, umawiać się, naznaczać schadzkę, szukać samotności, co było rzeczą trudną, nakłaniać konwojowych, co było jeszcze trudniej, tracić — stosunkowo do więziennych środków — mnóstwo pieniędzy. A przecież udawało mi się potem być niekiedy świadkiem scen miłosnych. Pamiętam, pewnego razu latem byliśmy we trzech w jakiejś szopie na brzegu Irtysza dla palenia w piecu fabrycznym; konwojowi byli ludzie dobrzy. Nakoniec zjawiły się dwie »suflery«, jak je nazywają aresztanci.

— No, co się tak zasiedziały? Pewno u Zwierkowych? — powitał ich temi słowy aresztant, do którego przyszły, a który już dawno na nie oczekiwał.

— Ja zasiedziałam się? Sroka na kołku dłużej siedzi, niż ja u nich siedziałam — odpowiedziała wesoło dziewczica.

Była to najbrudniejsza dziewczica na świecie. Ją to zwano Czekundą. Z nią razem przyszła Dwugroszowa. Tę trudno już nawet opisać.

— I z wami już dawno nie widziałem się — ciągnął dalej Don Juan aresztancki, zwracając się do Dwugroszowej — cóż to tak wyglądacie, jakbyście schudli?

— A być może. Dawniej tom była gruba, a teraz jakbym igłę połknęła.

— Ciągłe z żołnierzami?

— Nie, to już wam o nas źli ludzie napletli; a zresztą cóż? Przysłowie mówi: choćby bez żebra chodzić, a żołnierzyka lubić.

— A wy ich porzucicie, a nas kochajcie; u nas są pieniądze...

Dla uzupełnienia obrazu trzeba sobie wyobrazić tego lowelasa ogolonego, w kajdanach, w stroju aresztanckim łałanym i pod konwojem.

Pożegnałem się z Akimem Akimyczem i dowiedziawszy się, że mogę wrócić do ostroga, wziąłem konwojowego i poszedłem do domu. Aresztanci już się schodzili. Naprzód wracali z roboty ci, co mieli zadaną na dzień robotę. Jedynym sposobem zmusić aresztanta do gorliwej pracy, jest: zadać mu pracę dzienną. Rozmiar zadanej pracy bywał czasem ogromny, a przecież i w takim razie kończyli go aresztanci dwa razy prędzej, niż gdyby im kazano pracować zwykłym trybem do uderzenia w bęben. Skończywszy zadaną robotę, aresztant bez przeszkody szedł do domu i nikt go już nie zatrzymywał.

Obiad jedzą nie razem, ale jak się zdarzy, zależnie od tego, kto wcześniej przyszedł, a i w kuchni nie zmieściliby się wszyscy. Pokosztowałem kapusty, ale nie przywykły do niej, nie mogłem jej jeść i zaparzyłem sobie herbaty. Siedliśmy na końcu stołu. Ze mną był jeden towarzysz, równie jak ja, ze szlachty.

Aresztanci przychodzili i wychodzili. Było zresztą dość miejsca; jeszcze się wszyscy nie byli zebrali. Gromadka złożona z pięciu ludzi usiadła oddzielnie za wielkim stołem. Kucharz nalał im w dwie miski kapuśniaku i postawił przed nimi na stole cały rondel gliniany ze smażoną rybą. Obcho-

dzili jakąś uroczystość i jedli swoje potrawy. Na nas spojrzeli z ukosa. Wszedł jeden z Polaków i usiadł przy nas.

— W domu nie byłem, a wiem wszystko — zawołał na cały głos jakiś aresztant, wchodząc do kuchni i ogarniając wzrokiem wszystkich obecnych.

Miał lat z pięćdziesiąt, był muskularny i chudy. Z twarzy przeświecała złośliwość i wesołość zarazem. Szczególnie zwracała na siebie uwagę jego dolna warga, gruba i obwisła, i nadawała niezmiernie komiczny wyraz twarzy.

— No, zdrowo nocleg odbyli! Cóż nie pozdrawiacie? Naszem kurskiem! — dodał, sadowiąc się obok obiadujących własnym kosztem — chleb i sól! Witajcież gościa!

— Ale my, brat, nie kurscy.

— Więc tambowskiem.

— I nie tambowscy. Od nas bracie, nie ci się nie dostanie. Ty idź do bogatego chłopca i tam pros.

— W brzuchu dziś u mnie, bracie, Iwan Obżartuch i Marya Głodomorówna; a gdzie ten bogaty chłop mieszka?

— A ot Gazin, bogaty kmieć; do niego ruszaj.

— Hula dziś, bracia, Gazin, pije bez pamięci; cały worek przepija.

— Dwadzieścia rubli ma w kieszeni — zauważył drugi. — Dobrze to, bracia, być szynkarzem.

— Cóż, nie przyjmiecie gościa? No, to będę kaziennie połykał.

— Ty idź, poproś herbaty. Ot tam panowie piją.

— Jacy panowie? tu niema panów; tacy sami teraz, jak my — wrogo odezwał się jakiś aresztant w kącie siedzący. Dotychczas nie przemówił był ani słowa.

— Napiłbym się herbaty, ale wstyd mi prosić; my z ambicyą! — powiedział aresztant z grubą wargą, dobrodusznie patrząc na nas.

— Jeżeli chcecie, to wam dam — zwróciłem się z zaproszeniami do aresztanta, który się przymawiał. — Cóż, macie ochotę?

— Czy mam ochotę? Ale i jaką jeszcze ochotę! — I podszedł do naszego stołu.

— Widzisz go, w domu łapciem kapuśniak łykał, a tu do herbaty się dobrał; pańskiego picia się zachciało — przemówił chmurny aresztant.

— A czyż tutaj nikt nie pije herbaty — spytałem. Ale on nie raczył mi odpowiedzieć.

— Oto i kołaczce niosą. Uczęstujcież i kołaczykiem.

Wniesiono kołaczce. Młody aresztant niósł całą wiązkę i sprzedawał obchodząc ostróg. Kałasznica ustąpiła mu dzieśiąty kołacz i na ten zysk on liczył.

— Kołaczce, kołaczce — wołał, wchodząc do kuchni — moskiewskie, gorące! Sambym jadł, ale pieniędzy niemam. No, dzieci, ostatni kołacz został: który z was miał matkę?

To odwołanie się do macierzyńskiej miłości rozśmieszyło wszystkich i wzięto u niego kilka kołaczy.

— A co, bracia — powiedział — wszak ten Gazin dohula się dzisiaj do grzechu! Dalipan! I w porę hulać mu się zachciało. A nuż ośmiooki przyjedzie.

— Schowają. A co, mocno pijany?

— Ale gdzie! Zły, czepia się.

— No, to dohula się do kułaków...

— O kim to oni mówią? — spytałem Polaka, który obok mnie siedział.

— To Gazin, aresztant. On tu handluje wódką. Jak tylko nazbiera pieniędzy, natychmiast przepija. Zły jest i dziłki; zresztą w trzeźwym stanie spokojny, ale gdy się upije, cały na wierzchu; na ludzi z nożem się rzuca. Wtedy go już uśmierzają.

— Jakże go uśmierzają?

— Rzuca się na niego z dziesięciu aresztantów i zaczynają bić straszliwie i biją dopóty, dopóki nie straci przytomności, to jest na wpół do śmierci. Wtedy kładą go na narach i przykrywają półkożuszkami.

— Przecież w ten sposób zabić go mogą?

— Innego by zabili, ale nie jego. Niesłychanie jest silny, najsilniejszy w całym ostrogu, i dziwnie mocnej budowy ciała. Nazajutrz rano potem wstaje zupełnie zdrowy.

— Powiedźże mi pan, proszę, rozpytywałem się dalek Polaka, wszak oni także jedzą swoje potrawy, a ja piję herbatę. A przecież patrzą na mnie, jakby z zawiścią z powodu tej herbaty. Co to znaczy?

— To nie z powodu herbaty — odpowiedział Polak. — Oni źli są na pana, żeś szlachcic i do nich niepodobny. Wielu z nich chciałoby się przyczepić do pana, obrazić go czemś, poniżyć. Jeszcze pan tu wielu dozna nieprzyjemności. Nam wszystkim tu niezmiernie ciężko, daleko ciężej pod każdym względem, aniżeli innym. Potrzeba dużo zimnej krwi, ażeby się z tem oswoić. Wiele jeszcze spotka pana nieprzyjemności i za herbatę i za oddzielną żywność, pomimo że tu bardzo wielu i bardzo często spożywa swoje potrawy, a niektórzy stale piją herbatę. Im można, a panu się nie godzi.

Powiedziawszy to, wstał i odszedł od stoła. W kilka minut potem spełniły się jego słowa.

III.

Pierwsze wrażenia.

Tylko co wyszedł M—cki (ten Polak, który ze mną rozmawiał) gdy Gazin, zupełnie pijany, wwalił się do kuchni.

Pijany aresztant, wśród białego dnia, w dzień powszedni, kiedy wszyscy obowiązani byli wychodzić na robotę, przy srogim naczelniku, który każdej chwili mógł przyjechać do ostroga, przy podoficerze, który miał nadzór nad katorżnymi i przebywał ciągle w ostrogu; przy karaulnych (to jest straży wojennej), przy inwalidach, jednym słowem, przy wszelkiej surowości więziennej — zupełnie splątywał wszelkie pojęcia o życiu aresztanckiem, które się zaczęły w mojej głowie wytwarzać. I długo trzeba mi było pożyć w ostrogu, zanim wyjaśniły mi się te fakty, tak zagadkowe dla mnie w pierwszych dniach katongi.

Powiedziałem już, że aresztanci mieli zwykle jakąś własną robotę i że to zajęcie w katordze było konieczną potrzebą życia; że oprócz tego aresztant namiętnie lubi pieniądze i ceni je nad wszystko, prawie na równi z wolnością, i że uszczęśliwiony już, jeśli mu one brzęczą w kieszeni. Przeciwnie, gdy ich niema, ogarnia go smutek, niepokój, upada na duchu, jest w rozpaczliwem usposobieniu, i wtedy gotów jest kraść, gotów na wszystko, byle ich dostać. Ale nie zważając na to, że pieniądze w ostrogu były tak wielkim skarbem, u szczęśliwca, który je posiadał, nigdy się nie zależały. Naprzód trudno je

było tak ukryć, aby ich nie ukradziono, lub nie odebrano. Jeżeli spadła niespodziewana rewizya i major doszukał się pieniędzy, natychmiast zabierał je. Co z nimi robił? czy ich używał na ulepszenie aresztanckiej żywności? to wiem przynajmniej, że jemu je oddawano. Ale najczęściej kradziono pieniądze; nikomu nie można było zaufać. Później znalazł się i u nas zupełnie bezpieczny sposób przechowywania pieniędzy. Oddawano je do przechowania pewnemu starcowi, starowiercowi, który przybył do nas ze słobód starodubowskich, i należał do tak zwanych Wietkowców... Ale nie mogę się oprzeć chęci powiedzenia o nim słów kilku, chociaż odrywam się od głównego toku opowiadania.

Był to staruszek sześćdziesięcioletni, małeńki, siwiutki. Postać jego z pierwszego wejrzenia silnie mię uderzyła. Nie był ani trochę podobny do innych aresztantów. W jego wzroku było coś tak spokojnego i cichego, że pamiętam, ze szczególną przyjemnością wpatrywałem się w jego jasne, pogodne oczy, otoczone dobrymi, w promienie układającymi się zmarszczkami. Często z nim rozmawiałem i rzadko kiedy w życiu spotykałem równie dobrą, szlachetną istotę. Przysłano go tu za nadzwyczaj ważne przestępstwo. Między starodubowskimi starobrzędowcami zaczęli się pojawiać nawróceni. Rząd silnie ich protegował i dokładał wszelkich starań, aby i innych odstępców od wiary prawosławnej nawrócić. Starzec, wraz z innymi fanatykami, postanowił »stać za wiarę«, jak się sam wyrażał. Zaczęto wówczas budować jedynowierną (t. j. prawosławną) cerkiew i oni ją spalili. Starzec, jako jeden z głównych sprawców, zesłany został do katorgi. Był zamożnym mieszczaninem, trudnił się handlem; w domu zastawił żonę, dzieci; ale ze spokojem w duszy poszedł do ciężkich robót, ponieważ w zaślepieniu swoim widział w nich »mękę za wiarę«.

Przeżywszy z nim czas jakiś, mimowoli trzeba było zadać sobie pytanie: jak ten pokorny, dobry, jak dziecko, człowiek, mógł zostać buntownikiem? Kilka razy zawiązywałem z nim rozmowę »o wierze«. Starzec nic nie ustępował ze

swoich przekonań; ale w jego odpowiedziach nie było nigdy ani cienia złości, ani śladu nienawiści. A przecież on to zburzył cerkiew i wcale nie zapierał się tego. Zdawałoby się, że ze swego stanowiska ten postępek i »męki«, które były jego następstwem, powinienby był uważać za czyn wielki. Ale jakkolwiek starałem się spojrzeć w głąb jego duszy, jakkolwiek go studyowałem, nie mogłem w nim znaleźć ani odrobiny próżności lub dumy. Mieliśmy w ostrogu i innych starowierców, po większej części Sybiraków. Byli to ludzie bardzo rozwinięci, chłopcy chytre, nadzwyczaj biegli w Piśmie świętem, trzymający się litery i na swój sposób wielcy dyalektycy; ludzie pyszni, zarozumiali, złośliwi i nietoleranci w najwyższym stopniu. Zupełnie innym był ów starzec. Oczytany w Piśmie świętem więcej może od nich, usuwał się od sporów. Usposobienie miał nadzwyczaj towarzyskie. Był wesoły, często śmiał się, nie tym grubym, cynicznym śmiechem, jakim śmiali się katorżnicy, ale jasnym, cichym, w którym wiele było dziecinnej prostoty, który wybornie przystawał do siwych włosów. Może się myłę, ale zdaje mi się, że po śmiechu można poznać człowieka i jeśli przy pierwszym spotkaniu z człowiekiem zupełnie nieznanym, jego śmiech przyjemne sprawia wrażenie, to śmiało można utrzymywać, że to dobry człowiek.

W całym ostrogu staruszek pozyskał powszechnie poważanie, którem bynajmniej nie chełpił się. Aresztanci nazywali go dziaduniem, *dieduszka*, i nigdy go nie krzywdzili. Zrozumiałem po części, jak mógł wpływ wywierać na swoich współwyznawców. Ale pod zewnętrznym spokojem, z jakim znosił życie katorżne, tkwił w nim głęboki, nieuleczony żal, który on starał się utaić przed wszystkimi. Mieszkałem razem z nim w jednej kazarmie. Pewnego razu o godzinie trzeciej w nocy, zbudziłem się i usłyszałem cichy powstrzymywany płacz. Starzec siedział na piecu (na tym samym, na którym przedtem siadywał ów modlący się nocami aresztant, który chciał zabić majora) i modlił się ze swojej pisanej książki. Płakał, i słyszałem, jak chwilami mówił: »Panie nie opuszczaj mnie! Pa-

nie, umocnij mię! Dzieci moje małe, dzieci moje miłe, nigdy to ja ich nie zobaczę!» Nie umiem wypowiedzieć, jaki smutek ścisnął mi serce.

Otóż temu starcowi z czasem prawie wszyscy aresztanci zaczęli oddawać swoje pieniądze do przechowania. W katordze prawie wszyscy byli złodziejami, ale naraz wszyscy niewiadomo skąd nabrali przekonania, że starzec nie może nic ukraść. Wiedziano, że gdzieś ukrywał wręczone sobie pieniądze, ale w takim utajonem miejscu, że nikt nie potrafił ich znaleźć. Później kiedyś mnie i niektórym Polakom wyjawiał swoją tajemnicę. W jednym z palów był sęk mały, z pozoru mocno zrosły z drzewem. Ale sęk można było wyjąć, a pod nim ukazywało się wielkie zagłębienie. Tam to dziadunio chował pieniądze i zakładał sęk napowrót tak, że nikt nigdy nie mógł domyśleć się schowanych tam pieniędzy.

Ale oddaliłem się od opowiadania. Zatrzymałem się na tem: dlaczego pieniądze nie trzymały się kieszeni aresztanta. Oprócz trudności ukrycia ich, trzeba pamiętać, że w ostrogu tak ciężko było żyć; aresztant zaś z natury swojej istota tak pragnąca swobody, a z położenia społecznego tak lekkomyślna i nierządna, że go coś ciągnie wewnątrz, aby pohulać na cztery wiatry, z szumem i muzyką, puścić cały kapitał, i choć na chwilę zapomnieć o ucisku, gniojącym serce. Dziwna to rzecz była, jak niejeden pracował nie podnosząc karku nieraz całymi miesiącami jedynie dlatego, ażeby potem jednego dnia puścić cały zarobek do ostatniego grosza, i znowu potem ugiął kark do roboty na kilka miesięcy — do nowej hulanki. — Wielu z nich lubiło sprawiać sobie nowe ubranie i to zawsze nie urzędowej formy: jakieś czarne spodnie, kaftany, sybirki. W wielkiem użyciu były perkalowe koszule i pasy z miedzianymi blachami. Strojonno się zwyczajnie w święta i strojony przechodził zawsze przez wszystkie koszary, aby się pokazać światu. Zadowolenie z dobrego ubrania dochodziło do dzieciństwa; zresztą aresztanci pod wielu względami podobni byli do dzieci. Temi jednak pięknymi rzeczami właściciel nie długo

cieszył się; znikaly one nagle, czasem tegoż wieczora szły w zastaw, oddawały się za bezcen.

Hulanka zresztą rosła stopniowo. Odbywała się zwyczajnie w dni świąteczne albo w dzień imienin hulającego. Aresztant-solenizant, wstając rano, stawiał świeczkę przed obrazem i modlił się, potem wystrajał się i zamawiał dla siebie obiad. Kupowało się wołowinę, rybę, robiły się sybirskie pelmeni ¹⁾, solenizant najadał się, jak wół, prawie zawsze sam, rzadko kiedy zapraszając towarzyszy do udziału w uczcie. Potem zjawiała się wódka: solenizant upijał się, jak bela, i nieodmiennie chodził po koszarach, zataczając się i potykając, i starał się pokazać wszystkim, że on pijany, że on »hula«, i w ten sposób zjednać sobie powszechnie poważanie. Lud rosyjski wogóle ma pewne współczucie dla pijanego; w ostrogu zaś dla rozhulanego budziło się pewne uszanowanie. W tem hulaniu arezstanckiem był pewnego rodzaju arystokratyzm.

Podochociwszy sobie, arezstant najmował zaraz muzykę. Był w ostrogu jakiś Polak, dezertter z wojska, bardzo nędznej postaci, który grał na skrzypcach i miał z sobą instrument, jedyną własność swoją. Rzemiosła żadnego nie znał i w ten sposób tylko zarabiał, że najmował się hulakom do grania wesołych tańców. Czynność, do której się zobowiązywał, polegała na tem, żeby nieodłącznie ślad w ślad chodzić za swoim pijanym pryncypałem, chodzić z kazarmy do kazarmy i z całej mocy rzępolić na skrzypicy. Na twarzy jego często malowała się nuda i zmęczenie. Ale okrzyk: »graj, pieniądze wziął« zmuszał go znowu rzępolić i rzępolić.

Aresztant, zaczynając hulankę, mógł być pewnym, że jeśli się bardzo upije, to nad nim niewątpliwie rozciągną opiekę, wczas spać ułożą, a gdyby się zwierchność zjawiała, gdziekolwiek ukryją, i to zupełnie bezinteresownie. Z drugiej strony podoficer i inwalidzi, mieszkający w ostrogu dla nadzoru, mogli być zupełnie spokojni, że pijany nie przyczyni im kło-

¹⁾ Rodzaj litewskich kołdunów. (*Przypisek tłumacza.*)

potu: nad nim czuwała cała kazarma, i gdyby zaczął rozbi-jać, buntować się, natychmiast by go uśmierzono, a w razie potrzeby nawet związano. Dlatego niższe władze w ostrogu patrzyły na pijaństwo przez palce, nie chciały zwracać na nie uwagi. Wiedziały one bardzo dobrze, że gdyby wzbroniono wódki, byłoby jeszcze gorzej. Ale skąd się brała wódka?

Kupowano ją w samym ostrogu u tak zwanych »całowalników,« t. j. szynkarzy. Było ich kilku i handel swój prowadzili nieustannie i z powodzeniem, pomimo, że pijących i »hulających« było wogóle niewiele, ponieważ hulanie wymagało pieniędzy, a aresztanckie pieniądze nie łatwo się zdobywały. Handel ten zaczynał się, rozwijał i kończył dość oryginalnym sposobem. Przypuśćmy, że jakiś aresztant niema rzemiosła i że mu się nie chce pracować (bywali tacy), ale chce mieć pieniądze, a przytem człowiek niecierpliwy, chciałby jak najprędzej dororobić się. Ma trochę pieniędzy na początek, i postanawia handlować trunkiem: przedsięwzięcie śmiałe i bardzo hazardowne. Można było za to zapłacić grzbietem, a zarazem utracić towar i kapitał. Ale całowalnik ryzykuje. Pieniądzy z początku niewiele i dlatego pierwszy raz sam przynosi wódkę do ostrogu, i rozumie się, sprzedaje ją korzystnie. Tę próbę ponawia po raz drugi i trzeci, i jeżeli nie wpadnie w ręce straży, to prędko się dorabia, i wtedy dopiero rozwija handel na szeroką skalę; staje się przedsiębiorcą, kapitalistą, trzyma agentów i pomocników, ryzykuje daleko mniej, a ciągnie coraz większe zyski. Ryzykują za niego pomocnicy.

W ostrogu bywa zawsze dużo ludzi, co się zgrali, strwonili, przehulali wszystko do ostatniej kopiejki, ludzi bez rzemiosła, nędznych i oberwanych, ale obdarzonych do pewnego stopnia śmiałością i stanowczością. Takim ludziom za kapitał pozostaje jedna tylko rzecz: grzbiet ich własny; może się on na coś jeszcze przydać, i ten to ostatni swój kapitał hulaka bez grosza postanawia puścić w obrót. Idzie do przedsiębiorcy i najmuje się do przenoszenia wódki do ostrogu; bogaty handlarz ma kilku takich robotników. Gdzieś za ostrogiem jest

człowiek — żołnierz, mieszczanin, czasem nawet dziewczka — który za pieniądze przedsiębiorcy i za stosunkowo niemałą zapłatę, kupuje w szynku wódkę i ukrywa ją w ustronnem miejscu, dokąd aresztanci przychodzą na robotę. Prawie zawsze dostawca próbuje naprzód trunku i co nadpił, dolewa niemiłosiernie wodą; — nie chcesz brać? nie bierz. Ale aresztant nie może być wybrednym; i to szczęście, że pieniądze nie całkiem przepadły, że jest wódka; jaka jest, taka jest, ale zawsze wódka. Do tego to dostawcy przychodzą, wskazani mu naprzód przez szynkarza w ostrogu przenosiciele, z wolimi kiszkami. Kiszki te naprzód przemywają się, potem napełniają się wodą, aby otrzymały pierwotną wilgotność i rozciągliwość i mogły służyć do przenoszenia wódki. Nalawszy do nich wódki, aresztant okręca je około siebie, przyczem ma sposobność okazać całą zręczność, całą złodziejską przebiegłość kontrabandzisty. Chodzi tu o jego honor; musi on oszukać i konwojowych i straż stojącą u bramy więziennej. I oszukuje: u dobrego złodzieja konwojowy, czasem jakiś rekrucik, nie dopatrzy kontrabandy. Rozumie się, że konwojowy bywa przedtem wystudyowany; bierze się też na uwagę czas i miejsce roboty. Naprzykład aresztant piec muruje, na piec wlezie: któż go dojrzy, co on tam robi? Konwojowy przecież nie polezie za nim. Podchodząc do ostroga, aresztant trzyma w dłoni pieniądz, piętnaście, dwadzieścia kopiejek srebrnych, na wszelki wypadek i czeka u bramy na gefreitra. Każdego aresztanta, który wraca do ostroga, karaulny gefreiter opatruje wkoło, rewiduje i dopiero potem otwiera mu drzwi ostrogu. Ten, który przenosi wódkę, liczy zwykle na to, że rewidowanie nie będzie zbyt ściśle i szczegółowe; ale przebiegły gefreiter doszukuje się czasem zakazanego towaru, a wtedy pozostaje ostatni środek: kontrabandzista milczkiem i tak żeby konwojowy nie widział, wsuwa gefreitrowi w rękę przygotowany pieniądz. Zdarza się, że dzięki takiemu manewrowi przechodzi szczęśliwie do ostroga i przenosi wódkę. Ale niekiedy manewr się nie udaje i wtedy trzeba rozplącić się osta-

tnim kapitałem, t. j. grzbietem. Donoszą majorowi, kapitał sieką, i sieką boleśnie, wódkę zabierają na rzecz rządu i kontrabandzista przyjmuje wszystko na siebie, nie wydając przedsiębiorcy. Ale nie wydaje nie dlatego, żeby się brzydził donosem, a jedynie dlatego, że nie widzi w nim żadnej korzyści: jegoby w każdym razie wysieczono; cała pociecha polegała by tylko na tem, że miałby towarzysza niedoli. Tymczasem przedsiębiorca jest mu jeszcze potrzebny, chociaż podług zwyczaju i z góry zawartej umowy kontrabandzista za grzbiet wysieczony nie otrzymuje od przedsiębiorcy ani kopiejki.

Co się zaś tyczy wogóle donosów, to one zwyczajnie kwitną w ostrogu. Donosiciel nie ściąga tu na siebie bynajmniej wzgardy; nie można sobie nawet wyobrazić, żeby aresztanci mogli oburzyć się na niego. Od niego nie stronią, z nim wchodzą w przyjacielskie stosunki, i gdyby ktoś chciał w ostrogu dowodzić całej brzydoty donosicielstwa, to wcaleby go nie zrozumiano. Ten aresztant ze szlachty, zepsuty i podły, z którym zerwałem wszelkie stosunki, znał się dobrze z dienszczykiem majora, Fiedką, i służył mu za szpiega, a dienszczyk wszystko, co posłyszał o aresztantach, donosił majorowi. U nas wszyscy o tem wiedzieli i nikomu nigdy nawet na myśl nie przyszło ukarać niegodziwca albo przynajmniej zganić go za to.

Ale zboczyłem z drogi. Zdarza się naturalnie, że wódka szczęśliwie dostaje się do ostrogu; wtedy przedsiębiorca odbiera przyniesione kiszki, zapłaciwszy za transport i zaczyna obliczać. Z obliczenia okazuje się, że go towar już drogo kosztuje; a więc dla lepszych zysków przelewa jeszcze raz wódkę, rozprowadzając wodą niemal na połowę i w ten sposób zupełnie się przygotowawszy, czeka na kupujących. Kupujący zjawia się w pierwsze święto, czasem w dzień powszedni: to aresztant, który przez kika miesięcy pracował jak wół roboczy, i zebrał trochę grosza, aby go przepić w dzień z góry przez siebie oznaczony. Ten dzień na długo przed swoim nadejściem śnił się biednemu robotnikowi, obraz jego unosił się w szczęśliwych marzeniach przy pracy, i swym uro-

kiem pokrzepiał ducha robotnika wśród ciężkich warunków życia więziennego. Nakoniec zorza tego dnia jasnego ukazuje się na wschodzie; pieniądze zebrane, nie skonfiskowane, nie ukradzione i aresztant niesie je do szynkarza. Ten naprzód daje mu wódki według możliwości najczystszej, t. j. dwa razy tylko rozprowadzonej wodą; ale w miarę ubywania jej z butelki, reszta natychmiast dolewa się wodą. Za kieliszek gorzałki płaci się pięć, sześć razy drożej, niż w szynku. Łatwo sobie wyobrazić, ile trzeba wypić takich kieliszków i ile za nie zapłacić, aby się upić. Ale wskutek odwyknięcia od trunków, wskutek dłuższej wstrzemięźliwości, aresztant łatwo dostaje zawrotu głowy i zwykle pije dopóty, dopóki nie przepije wszystkich pieniędzy. Wtedy przychodzi kolej na fanty: szynkarz jest zarazem i lichwiarzem. Naprzód przechodzą do niego nowo sprawione stroje nieurzędowe, potem stare szmaty, w końcu i rządowe rzeczy. Przepiwszy wszystko do ostatniego strzępka, pijanica kładzie się spać, a nazajutrz zbudziwszy się z nieuniknionym szumem w głowie, nadaremnie błaga szynkarza choćby o jeden łyk wódki dla spędzenia niesmaku. Smutnie znosi on niepowodzenie i tegoż dnia zabiera się na nowo do roboty; znów przez kilka miesięcy pracuje nie rozprostowując karku, marząc o szczęśliwym dniu hulanki, który utonął w wieczności, i powoli zaczyna się krzepić i oczekiwać drugiego dnia takiego, który wprawdzie jeszcze daleko, ale musi kiedyś nadejść z kolei.

Co się tyczy szynkarza, ten uzyskawszy z handlu ogromną sumę, jakich kilka dziesiątków rubli, sprowadza po raz ostatni wódkę, ale tym razem nie rozlewa jej wodą, ponieważ przeznaczają ją dla siebie; dosyć handlu: czas już samemu się uraczyć! Zaczyna się hulanka, picie, jedzenie i muzyka. Środki wielkie; można pozyskać dla siebie pobłażliwość najniższej i najbliższej zwierzchności w ostrogu. Hulanka ciągnie się niekiedy przez kilka dni. Rzecz naturalna, że wódka, którą szynkarz sprowadził dla siebie, prędko się przepija; wtedy hulaka zwraca się do innych szynkarzy, którzy już czekają na

niego, i pije dopóty, dopóki nie przepije wszystkiego do ostatniej kopiejki. Jakkolwiek aresztanci roztaczają opiekę nad hulającym, zdarza się przecież, że wpadnie w oczy majorowi lub oficerowi straży więziennej. Biorą go wtedy do kordegardy, odbierają pieniądze, jeżeli jeszcze ma jakie przy sobie i w dodatku biją. Otrząsnąwszy się, powraca do ostrogu i po kilku dniach ima się napowrót rzemiosła szynkarskiego.

Niektórzy z hulaków, naturalnie bardzo bogaci, sięgają marzeniami i do płci pięknej. Wielkim kosztem, potajemnie, w towarzystwie przekupionego żołnierza z konwoju, udają się z fortecy zamiast na robotę do jakiegoś ustronnego domku na przedmieściu, na końcu miasta, gdzie urządza się wspaniała uczta i gdzie rzeczywiście wielkie sumy w grę wchodzi. Dla pieniędzy płeć piękna nie gardzi i aresztantem; konwojowego zaś dobiera się zawczasu, ze znajomością rzeczy. Tacy konwojowi zwyczajnie są przyszłymi kandydatami do ostrogu. Zresztą za pieniądze można wszystko zrobić i takie wędrówki toną zwykle w tajemnicy. Należy jednak dodać, że rzadko się zdarzają; potrzeba na to dużo pieniędzy i amatorowie płci pięknej chwytają się innych środków, zupełnie bezpiecznych.

Już od pierwszych dni więziennego życia zaciekał mnie bardzo pewien młody aresztant, szczególnie ładny chłopak. Nazywał się Sirotkin. Był on pod wielu względami zagadkową istotą. Przedewszystkiem uderzyła mnie jego twarz przesliczna; nie liczył więcej nad dwadzieścia trzy lata. Należał do osobnego oddziału, to jest bezterminowego, uważany był zatem za jednego z najważniejszych wojskowych przestępców. Cichy i pokorny, mówił mało, śmiał się rzadko. Oczy miał błękitne, rysy regularne, twarz czysta, delikatna, włosy jasno-blond. Nawet półogolona głowa mało go szpeciła, taki był ładny chłopiec. Rzemiosła nie umiał żadnego, ale pieniądze miewał; niewiele, ale często. Widać było, że leniwy, chodził nieporządnie ubrany. Czasem chyba kto inny ubierze go przyzwoicie, niekiedy nawet w czerwoną koszulę i Sirotkin widocznie rad

z nowego stroju: chodzi po koszarach, pokazuje się ludziom. Nie pił, nie grał w karty, nie kłócił się z nikim. Chodzi, bywało, za koszarami — ręce w kieszeniach, spokojny, zamysłony. O czym on mógł myśleć, trudno było sobie wyobrazić. Zawołasz na niego czasem z ciekawości, zapytasz o coś, on natychmiast odpowie, i to z pewnem uszanowaniem, nie po aresztancku, ale zawsze krótko, bez wdawania się w rozmowę; patrzy zaś na ciebie jak na dziesięcioletnie dziecko. Gdy się znajdą pieniądze u niego, nie kupi sobie czegoś koniecznie potrzebnego, nie odda do naprawy kurtki, nie sprawi nowych butów, ale kupi kołaczka, pierniczka i schrupie — istny siedmioletni dzieciak. — »Ech ty, Sirotkin, wołają, bywało, na niego aresztanci: sierota ty kazańska!« W czas nieroboczy włóczył się bywało po wszystkich koszarach; prawie wszyscy zajęci swoją robotą, on niema nic do roboty. Powiedzą mu coś, prawie zawsze żartując z niego (z niego i jego towarzyszy często się wyśmiewano), on nic nie powie na to, zawróci się i pójdzie do innej kazarmy, a jeśli już bardzo biorą go na fundusz, zarumieni się.

Zadawałem sobie nieraz pytanie: za co ta spokojna, naiwna istota mogła dostać się do ostroga. Pewnego razu leżałem chory w szpitalu, w aresztanckiej izbie; Sirotkin był także chory i leżał obok mnie. Jakoś pod wieczór zawiąaliśmy rozmowę i on nagle ożywił się i opowiedział mi, jak go oddawano do wojska, jak nad nim matka, odprowadzając go, płakała i jak ciężko mu było być rekrutem. Dodał, że w żaden sposób nie mógł wytrzymać rekruckiego życia, dlatego, że tam wszyscy byli tacy surowi, gniewni, a oficerowie komenderujący zawsze byli z niego niezadowoleni.

— Jakże się skończyło? — spytałem. Za cóż ty się tu dostałeś? I jeszcze do osobnego oddziału... Ach ty Sirotkin, Sirotkin!

— Ja, Aleksandrze Piotrowiczu, rok wszystkiego byłem w batalionie, a tutaj się dostałem za to, że Grzegorza Piotrowicza, komendanta mojej roty, zabiłem.

— Słyszałem ja o tem, Sirotkin, ale nie wierzę. Gdzież ty mogłeś kogo zabić?

— Tak się zdarzyło, Aleksandrze Piotrowiczu. Bardzo mi już ciężko było.

— A jakżeż żyją inni rekruci? Rozumie się, ciężko im z początku, ale potem przywykają, i patrzysz, z rekruta robi się dzielny żołnierz. Ciebie, zapewne, matka zanadto pieściła, piernikami i mleczkiem do ośmnastu lat karmiła.

— »Matuszka«, prawda, bardzo mię kochała. Kiedy mię wzięto w rekruty, z żalu zastała i słyszałem, że nie wstawała... Ciężko mi już bardzo pod koniec zaczęło być w rekructwie. Komendantowi nie podobałem się, za wszystko mię karał — a i za co? Ja wszystkim ulegam, żyję akuratnie, wódki nie piję, niczem złem się nie zajmuję, a to już, Aleksandrze Piotrowiczu, nie dobrze, jeżeli człowiek czemuś złemu się oddaje. Wszyscy dokoła tacy niemiłosierni, niema gdzie zapłakać. Bywało, pójdę gdzie za węgiel i tam popłaczę. Otóż stoję raz na straży. Noc już, wiatr, jesień była, a ciemność taka, że choć oko wykol. I tak mi ciężko, ciężko zaczęło być. Wziąłem do nogi broń, bagnet odpiąłem, położyłem obok; ściągnąłem prawy but, lufę przystawiłem do piersi, oparłem się o nią i wielkim palcem u nogi spuściłem kurek. Patrzę, nie wypaliło! Opatrzyłem karabin, przeczyszcilem panewkę, podsypałem nowego prochu, otłukłem krzemień i znów do piersi lufę. I cóż? Proch buchnął, a wystrzału znów niema. Cóż to jest, myślę sobie! Wziąłem but, naciągnąłem, bagnet przypiąłem, milczę i przechadzam się. Wtedy to postanowiłem coś takiego zrobić: gdziekolwiek się dostać, byle nie być rekrutem. W pół godziny potem jedzie komendant, objeżdżał straże, i prosto na mnie: »Czy tak stoją na warcie?« Wziąłem karabin do ręki i wsadziłem w niego bagnet po samą lufę. Cztery tysiące pałek przeszedłem i tutaj do osobnego oddziału.

Sirotkin nie kłamał, za cóż innego zresztą przysłałoby go tutaj? Zwyczajne przestępstwa bywają daleko łagodniej

karane. Zresztą jeden tylko Sirotkin z pomiędzy wszystkich swoich towarzyszy był tak pięknym młodzieńcem. Co się tyczy innych, podobnych do niego przestępców w liczbie około piętnastu, to dziwnie było nawet patrzeć na nich; dwie, trzy twarze były znośne, reszta zaś postacie bezmyślne, potworne, niechlujne. Jeżeli mi okoliczności pozwolą, opiszę kiedyś szczegółowiej tę oddzielną gromadkę. Sirotkin zaś często przyjaźnił się z Gazinem, z tym samym, od którego zacząłem ten rozdział, wspomniawszy, że pijany wwałił się do kuchni i że jego widok poplątał wszystkie moje wyobrażenia o życiu w ostrogu.

Ów Gazin był straszną istotą. Sam widok jego przyniatał i przerażał innych. Zdawało mi się zawsze, że nie mogło być nic dzikszego i potworniejszego od jego postaci. Widziałem w Tobolsku sławnego ze swoich zbrodni rozbójnika Kamieniewa; widziałem potem Sokołowa, aresztanta z dezertarów, strasznego zabójcę. Ale żaden z nich nie wywoływał tak wstrętnego wrażenia, jak Gazin. Zdawało mi się czasem, że widzę przed sobą ogromnego, olbrzymiego pajaka, wielkości człowieka. Był to Tatar, strasznie silny, najsilniejszy z całego ostrogu; wzrostu nieco wyższego ponad średni, herkulesowej budowy ciała, z potworną, nieproporcjonalnie wielką głową. Trzymał się pochyło, patrzył z podełba. W ostrogu chodziły o nim dziwne wieści; wiedziano, że był z liczby wojskowych, ale aresztanci opowiadali sobie — nie wiem czy zgodnie z prawdą — że uciekł z Nerczyńska, że na Sybir nieraz już był zsyłany, nieraz uciekał, nieraz zmieniał nazwisko i wreszcie dostał się do naszego ostrogu, do osobnego oddziału. Opowiadano również o nim, że dawniej zarzywał małe dzieci, jedynie dla przyjemności: zaprowadzi dziecko w jakieś ustronne miejsce, naprzód straszy je i męczy, a potem nasycając się przestachem i drzeniem małej biednej ofiary, zarżnie ją cicho, powoli, z rozkoszą. Wszystko to może były wymysły, wywołane tem przyniatającem wrażeniem, jakie na wszystkich wywierał Gazin, ale wymysły te wybornie przystawały do jego postaci. A tymczasem w ostrogu, zwyczajnie,

gdy nie był pijany, zachowywał się bardzo przyzwoicie. Był spokojny, nie wszczynał z nikim kłótni, unikał ich nawet, ale jakby z pogardy dla innych, z poczucia swojej wyższości nad innymi; mówił bardzo mało i jakby z umysłu nie zadawał się z innymi. Wszystkie ruchy jego były powolne, spokojne, pełne poczucia siły własnej. Z oczu mu patrzyło, że nie był głupi i nadwyzwyczajnie przebiegły; ale w twarzy, w uśmiechu jego było coś pogardliwie szyderskiego i okrutnego.

Gazin handlował wódką i był w ostrogu jednym z najbogatszych szynkarzy. Ale parę razy do roku sam się upijał i wtedy to wychodziła na wierzch cała zwierzęcość jego natury. Poddając się stopniowo trunkowi, Gazin zaczynał naprzód zaczepiać ludzi szyderstwami najjadliwszemi, obliczonemi i jakby oddawna przygotowanemi; nakoniec opanowany trunkiem popadał w straszną wściekłość i rzucał się z nożem na ludzi. Aresztanci, znając jego olbrzymią siłę, uciekali od niego i kryli się: wtedy rzucał się na pierwszego spotykanego. Ale wkrótce znaleziono sposób i na niego. Dziesięciu ludzi z jego koszar rzucało się nagle na niego i wszyscy odrazu bić go zaczęli. Nie można sobie wyobrazić nic okropniejszego od tego bicia: tłuczono go w pierś, w dołek pod serce, w brzuch; bito mocno i długo i ustawano dopiero wtedy, gdy postradał zmysły i leżał bez czucia jak martwy. Kogo innego bić w ten sposób nie odważonoby się: tak bić, znaczyło zabić, ale nie Gazina. Po takim biciu zawijano go, leżącego bez czucia, w kożuch i kładziono na narach. — Odleży się! — I rzeczywiście nazajutrz wstawał prawie zdrów i milcząc, ponuro wychodził na robotę. I każdego razu, jak tylko Gazin zaczynał pić, wszyscy już w ostrogu wiedzieli, że dzień ten nieuchronnie zakończy się dla niego pobiciem. I on sam wiedział o tem, a mimo to upijał się. Tak się ciągnęło przez lat kilka; nakoniec zauważono, że Gazin zaczyna się poddawać. Zaczął skarżyć się na różne bole, zaczął widocznie zapadać na zdrowiu, coraz częściej chodził do szpitala... »Podał się przecież« mówili do siebie aresztanci.

Wszedł on do kuchni w towarzystwie owego nędziutkiego grajka, którego zwykle najmowali hulający, chcąc w całej pełni używać wesołości, i zatrzymał się na środku izby kuchennej, w milczeniu i uważnie oglądając wszystkich obecnych. Wszyscy zamilkli. Nakoniec ujrawszy mnie i mojego towarzysza, Gazin złośliwie i szyderczo popatrzał na nas, z poczuciem wyższości uśmiechnął się, coś jakby obmyślił w głowie i mocno się zataczając podszedł do naszego stołu:

— Za pozwoleniem waszem — zaczął mówić — z jakich to dochodów z łaski swojej raczycie się herbatą?

— Milcząc zamieniłem spojrzenie z towarzyszem, zrozumiawszy, że najlepiej jest milczeć i nie odpowiadać pijanemu. Pierwsze odparcie sprawiłoby go we wściekłość.

— Widocznie macie pieniądze? — dopytywał się dalej.

— Widocznie macie kupę pieniędzy, co? A czyście po to przyszli do katorgi, ażeby tu raczyć się herbatą? Czyście tu przyszli dla picia herbaty? No, mówcież, żeby was!...

Ale widząc, żeśmy postanowili milczeć i nie zwracać na niego uwagi, Gazin poczerwieniał i zatrząsł się ze wściekłości. Obok niego w kącie stały wielkie niecki, w których składano wszystek chleb nakrajany do obiadu lub wieczery dla areztantów. Tak były wielkie, że mieściło się w nich chleba dla połowy ostrogu; teraz stały puste. Gazin chwycił je oburącz i wznosił nad nami. Jeszcze chwila i rozmiądzłyby nam głowy. Pomimo, że zabójstwo lub tylko zamach zabójczy groził wielkimi nieprzyjemnościami całemu ostrogowi: zaczęłyby się badania, rewizye, obostrzenia, i dlatego aresztanci wszelkimi sposobami starali się nie doprowadzać do podobnych ostateczności, — pomimo tego, wszyscy teraz przycichli i wyczekiwali. Ani jednego słowa na naszą obronę! Ani jednego krzyku na Gazina! — do takiego stopnia głęboką była nienawiść ku nam! Niebezpieczne położenie nasze sprawiało im widoczną przyjemność... Ale sprawa zakończyła się szczęśliwie: tylko co chciał cisnąć na nas niecki, gdy ktoś z sieni zawołał:

— Gazin! wódkę ukradli!...

Gazin grzmotnął nieckami o podłogę i jak szalony wypadł z kuchni.

— No, Bóg wybawił! mówili między sobą aresztanci. I długo potem powtarzali to samo.

Nie mogłem się dowiedzieć później, czy wiadomość o skradzeniu wódki była prawdziwą, czy też zmyśloną, aby nas obronić.

Wieczorem, gdy już ciemno było, przed zamknięciem koszar chodziłem pod ostrokołem i ciężki smutek spadł mi na duszę, tak ciężki, jakiego przez całe moje życie więzienne nie doznawałem. Ciężko przechodzi pierwszy dzień niewoli, gdziekolwiekbyś: czy to w ostrogu, czy w kazamacie, czy w katordze... Pamiętam, najczęściej zajmowała mię wówczas jedna myśl, która potem nieodstępnie prześladowała mię przez cały czas życia w ostrogu, — myśl po części nierozwiązalna, — nierozwiązana dla mnie i teraz: o nierówności kary za jednakowe przestępstwa. Prawda, że i przestępstwa trudno stawiać na równi, nawet w przybliżeniu. Naprzykład i ten i ów popełnili zabójstwo; zważono wszystkie okoliczności w obu sprawach i w obu sprawach wypada prawie ta sama kara. A tymczasem popatrzcie, jaka różnica w przestępstwach. Jeden, naprzykład, zarznął człowieka ot tak, bez powodu, dla główki cebuli; jak powiada legenda aresztancka: »wyszedł na drogę, zarznął przejeżdżającego chłopą, a u chłopą tylko jedna cebula. — Cóż, bałka! Posłałeś mię na zdobycz, oto ja chłopą zarznąłem i wszystkiego jedną cebulę znalazłem. Durak! cebula — to przecież kopiejka! Sto dusz — sto cebul, oto masz i rubel!« — A drugi popełnił zabójstwo, broniąc czci żony, siostry, córki od lubieżnego tyrana. — Jeden zabił jako zbieg, osaczony całym pułkiem pogoni, broniąc swej wolności i życia, czasem bliski śmierci głodowej; a drugi zarzyna małe dzieci dla przyjemności rżnięcia, nasycenia się ich krwią ciepłą na rękach, ich gołębim przestreichem. I cóż? I ten i ów wstępują do jednej katorgi. Prawda, są waryacye w terminach kar, ale tych waryacyj stosunkowo niewiele,

a różnic w jednym rodzaju przestępstw niezliczone mnóstwo. Co charakter, to i różnica.

Ale przypuścemy, że niepodobna pogodzić różnic w karach z różnicami w przestępstwach, że to jest zadanie nie do rozwiązania, jakaś kwadratura koła; przypuścemy, że tak. Ale gdyby nawet tej nierówności nie było, popatrzcież na inną różnicę, na różnicę w skutkach, które kara za sobą pociąga... Oto człowiek w katordze usycha, taje jak świeczka; i oto inny, który przed wstąpieniem do katorgi nie wiedział nawet, że jest na świecie takie wesołe życie, taki przyjemny klub zuchowatych towarzyszy! Tak, przybywają do ostrogu i tacy. Oto znów, naprzykład, człowiek wykształcony, z sercem, z rozwiniętym umysłem i sumieniem. Męki, których w sercu doznaje, prędzej od wszelkich kar zadręczą go na śmierć. On sam siebie osądzi surowiej i bezlitośniej od najsurowszego prawa. A oto razem z nim ponosi jednaką karę człowiek, który przez cały czas katorgi nawet nie pomyśli o popełnionem przez siebie zabójstwie. Uważa się nawet za niewinnego. A bywają i tacy, którzy umyślnie popełniają przestępstwa, aby się tylko dostać do katorgi, uwolnić się od nierównie bardziej katorżnego życia swobodnego. Tam on żył w naj-większem poniżeniu, nie zjadł nigdy do syta, i od rana do nocy pracował na swego pryncypała; a w katordze robota lżejsza, niż w domu, chleba podostatkiem i takiego, jakiego on jeszcze nie kosztował;] w dni świąteczne mięso wołowe, a przytem jest i jałmużna, jest możność zarobienia jakiego grosza. A towarzystwo? Lud przebiegły, zręczny, wszystko-wiedzący; i oto nowoprzybyły spogląda na swoich towarzyszy z pełnym uszanowania podziwem; jeszcze nigdy takich nie widywał; uważa ich za najwyższy szczyt społeczeństwa, jaki istnieje na świecie. Czyż kara, na którą ci dwaj ludzie zostali skazani, jednakowo się im daje uczuwać? Ale zresztą poco zajmować się pytaniami nie do rozwiązania! Oto biją w bęben, czas do koszar.

IV.

Pierwsze wrażenia.

Zaczął się ostatnie sprawdzanie. Po tem sprawdzeniu zamykały się kazarmy, każda na osobny zamek i aresztanci zostawali w zamknięciu aż do świtu.

Sprawdzenia dokonywał podoficer z dwoma żołnierzami. W tym celu szykowano aresztantów niekiedy na dziedzińcu i przychodził oficer straży więziennej. Ale najczęściej ta ceremonia odbywała się domowym sposobem, w koszarach. Tak było i tym razem. Sprawdzający często robili omyłki w rachunku, wychodzili, wracali. Nareszcie biedni strażnicy doliczyli się potrzebnej liczby i zamknęli kazarmę. Mieściło się w niej blisko trzydziestu aresztantów, którzy musieli dobrze cisnąć się przy sobie na narach. Na spanie było jeszcze za wcześnie. Każdy oczywiście musiał się jeszcze czemś zająć.

Ze zwierzchności więziennej zostawał w kazarmie tylko inwalid, o którym już wspominałem. W każdej kazarmie był też starszy aresztant, wybrany na tę godność przez samego placmajora, naturalnie za dobre prowadzenie się. Bardzo często zdarzało się, że i starszych chwymano na jakiejś bardziej nagannej swawoli, a wtedy bito ich, degradowano, a na ich miejsce naznaczano innych. W naszej kazarmie godność starszego piastował Akim Akimycz, który ku mojemu zdumieniu pokrzykiwał niekiedy na aresztantów. Ci odpowiadali mu zazwyczaj szyderstwami. Inwalid był rozumniejszy od niego, do

niczego nie mieszał się, a jeżeli kiedy zdarzało się, że poruszył językiem, to tylko dla przyzwoitości, dla zachowania pozorów. Milcząc, siedział na swoim tapczanie i obciągał but na kopycie. Aresztanci prawie wcale nie zwracali na niego uwagi.

W ten pierwszy dzień więziennego życia zrobiłem spostrzeżenie, o którego prawdziwości przekonałem się później, a mianowicie, że wszyscy niearesztanci, ktokolwiek oni są, zaczynając od tych, którzy mają bezpośrednią styczność z aresztantami, jak żołnierze konwojowi, lub ze straży więziennej, a kończąc na tych, którzy z daleka tylko mają do czynienia z katorgą — że wszyscy oni mają przesadne wyobrażenie o aresztantach. Zdaje się, że nieustannie obawiają się, aby aresztant lada chwila nie rzucił się na nich z nożem. A co godniejsza uwagi, sami aresztanci czuli, że ich boją się, i to im widocznie dodawało animuszu. A tymczasem najlepszym naczelnikiem dla nich bywa ten właśnie, który się ich nie boi. W ogóle też, nie zważając na przyrost animuszu, dla samych aresztantów jest przyjemniej, kiedy ku nim mają zaufanie. Tą drogą można ich nawet zjednać dla siebie. Zdarzało się w czasie mojego więzienia, chociaż bardzo rzadko, że ktoś z naczelnych osób zachodził do ostroga bez konwoju. Trzeba było widzieć, jak to uderzało aresztantów i uderzało z dobrej strony. Taki odważny wizytator budził w nich zawsze szacunek i gdyby się rzeczywiście miało zdarzyć coś złego, toby się przy nim nie zdarzyło.

Ten strach przed aresztantami jest wszędzie, gdzie tylko są aresztanci, i doprawdy, nie wiem, skąd on właściwie pochodzi. Naturalnie, znajduje pewne uzasadnienie tak w zewnętrznej postaci aresztanta, uznanego zbrojca, jak i w tem, że każdy zbliżający się do katorgi czuje, iż cała ta gromada ludzi zebrała się tu nie z własnej ochoty i że nie zważając na wszelkie środki ostrożności, żywego człowieka nie można zrobić trupem: pozostaną w nim uczucia, żądza zemsty i życia, zostaną namiętności i potrzeba uczynienia im zadość. Ale pomimo to wszystko, jestem zupełnie pewny, że nie potrzeba

się lękać aresztantów. Nie tak to łatwo i nie tak prędko rzuca się człowiek na człowieka z nożem. Jednym słowem, jeśli możliwe niebezpieczeństwo, jeśli ono bywa niekiedy, to sądząc z tego, jak rzadko się zdarzają podobne nieszczęśliwe wypadki, można stanowczo orzec, że jest ono bardzo małym. Naturalnie, mówię tu teraz tylko o aresztantach osądzonych, z których wielu cieszy się, że dostali się nakoniec do ostroga (do tego stopnia bywa nieraz miłym nowe życie!) a wskutek tego skłonni są żyć spokojnie i cicho; a jeżeli są rzeczywiście niespokojni, to im towarzysze nie pozwolą zbyt awanturować się. Każdy katorżnik, choć bardzo śmiały i zuchwały, boi się wszystkiego w katordze. Co innego zaś — aresztant zostający pod sądem. Ten w istocie gotów rzucić się na postronnego człowieka, tak, bez powodu, jedynie dlatego naprzykład, że jutro ma wyjść dla otrzymania kary: jeśli się nowa zawiąże sprawa, to i bliska kara na czas jakiś odsunie się. Tu jest przyczyna, cel napaści, mianowicie: »odmienić swoją dolę« w jakikolwiek sposób i jak można najprędzej. Znam nawet jeden dziwny psychologiczny wypadek w tym rodzaju.

W ostrogu naszym, w wojennym oddziale, był pewien aresztant-żołnierz, nie pozbawiony praw cywilnych, skazany wyrokiem sądu na dwa lata więzienia w ostrogu, wielki fanfaron i wielki tchórz. W ogóle samochwalstwo i tchórzostwo nadzwyczaj rzadko spotykają się w rosyjskim żołnierzu. Nasz żołnierz wydaje się zawsze tak zajęty, że gdyby chciał nawet, nie miałby czasu na fanfaronadę. Ale jeśli już jest fanfaronem, to prawie zawsze nicpoim i tchórz. Dutow (nazwisko aresztanta) odbył nakoniec swoją niedługą karę i wrócił do liniowego batalionu. Ale wszyscy podobni jemu, posyłani do ostrogu na poprawę, psują się w nim ostatecznie i zwyczajnie zdarza się tak, że po odsiedzeniu kary, we dwa, trzy tygodnie znowu są pod sąd oddani i zjawiają się w ostrogu ponownie, tylko już skazani nie na dwa, lub trzy lata, ale do »wiecznego« oddziału, na lat piętnaście lub dwadzieścia. Tak się też zdarzyło i tym razem. W trzy tygodnie po wyjściu

z ostroga, Dutow coś ukradł z pod zamka; prócz tego zelżył zwierzchników i wyprawiał awantury. Oddano go pod sąd i wyznaczono surową karę. Przestraszywszy się bliskiej kary do najwyższego stopnia, jak najnędniejszy tchórz, Dutow, wilią tego dnia, kiedy go miano pędzić »przez strój«, to jest wzdłuż szeregu żołnierzy z pałkami, rzucił się z nożem na oficera warty, który wszedł do izby aresztanckiej. Rozumiał on dobrze, że tym postępkim pogorszy niezmiernie swoją sprawę, i przedłuży termin kary. Ale jego rachunek polegał na tem, że choć na kilka dni, chociaż na kilka godzin oddali od siebie straszny moment kary! Był do tego stopnia tchórzem, że rzuciwszy się z nożem nie ranił nawet oficera, a zrobił to tylko dla formy, dlatego tylko, aby okazało się nowe przestępstwo, za które musiano go na nowo sądzić.

Chwila przed karą, naturalnie, straszną jest dla skazanego i w kilka lat potem zdarzało mi się widzieć dosyć aresztantów pod sąd oddanych, w wigilię fatalnego dla nich dnia. Zwyczajnie spotykałem się z takimi aresztantami w szpitalu, w izbach aresztanckich, kiedym tam leżał chory, co zdarzało się dość często. Aresztanci w całej Rosyi wiedzą o tem, że najlitościwsi dla nich ludzie — to doktorzy. Nie robią oni różnicy między aresztantami, jak to mimowoli czynią prawie wszyscy ludzie postronni, z wyjątkiem chyba prostego ludu. Ten nigdy nie wypomina aresztantowi jego przestępstwa, jakkolwiek jest ono okropnem i przebacza mu wszystko, jako temu, który poniósł już karę i jest nieszczęśliwy. Niedaremnie lud rosyjski wszędzie nazywa zbrodnię nieszczęściem, a zbrodniarzy nieszczęśliwymi. Określenie to pełne głębokiego znaczenia, a tem ważniejsze, że utworzone nieświadomie, instynktownie. Co się zaś tyczy doktorów, to ci są prawdziwą ucieczką dla aresztantów w wielu razach, szczególnie, gdy są pod sądem i trzymani są surowiej od innych... I oto podsądny, obliczywszy prawdopodobny termin straszego dnia kary, często wchodzi do szpitala, aby choć trochę oddalić ciężką dla siebie chwilę. Kiedy zaś powraca stamtąd, prawie napewno

wiedząc, że fatalny termin nazajutrz, opanowuje go prawie zawsze silne wzburzenie. Niektórzy przez ambicję ukrywają swoje uczucia, ale niezręczny, sztuczny animusz nie zdoła zbić z tropu towarzyszy. Wszyscy rozumieją jego położenie i milczą litościwie. Znałem pewnego młodego aresztanta - żołnierza, który jako zabójca skazany był na pewną liczbę pałek. Ten do tego stopnia przeląkł się kary, że w wigilię dnia egzekucyi, postanowił napić się wódki nalanej na tabakę. Trzeba dodać, że wódka zjawia się prawie zawsze u podsądnego aresztanta przed egzekucją. Przenosi się ją na długi czas przed terminem kary, kupuje się bardzo drogo i podsądny gotów jest odmawiać sobie przez pół roku najpotrzebniejszych rzeczy, byle tylko mieć za co kupić ćwierć sztofa wódki, którą wypije na kwadrans przed egzekucją. Wśród aresztantów w ogóle panuje przekonanie, że pijany nie uczuwa tak boleśnie uderzenie knuta lub pałki. Ale wracam do opowiadania. Biedak, wypiwszy trochę tej wódki, rzeczywiście zachorował: dostał wymiotów krwią i prawie nieprzytomnego odwieziono go do szpitala. Te wymioty tak nadwerżyły mu piersi, że w kilka dni potem wystąpiły w nim objawy prawdziwych suchot, z których też umarł w pół roku potem. Doktorowie, którzy go leczyli nie wiedzieli, skąd się te suchoty wywiązały.

Ale opowiadając o często trafiającej się małoduszności zbrodniarzy przed egzekucją, powinienem dodać, że z drugiej strony niektórzy z nich zdumiewają spostrzegacza nadzwyczajną odwagą. Pamiętam kilka przykładów takiej niustraszności, która dochodziła do zupełnej nieczułości, a nie były to rzadkie przykłady. Szczególnie pamiętnem mi jest spotkanie z pewnym strasznym zbrodniarzem. Pewnego dnia letniego w izbach aresztanckich rozeszła się pogłoska, że wieczorem karać będą słynnego rozbójnika Orłowa, jednego z dezterterów, i po egzekucyi przyprowadzą do szpitala. Chorzy aresztanci, oczekując przybycia Orłowa, utrzymywali, że będzie srogo ukarany. Wszyscy byli niespokojni; a i ja, przyznać muszę, oczekiwałem zjawienia się strasznego rozbójnika z nadzwycy-

czajnem zaciekawieniem. Oddawna już cuda o nim słyszałem. Był to zbrodniarz, jakich mało, który obojętnie zarzynał starców i dzieci; człowiek ze straszną siłą woli i z dumnym poczuciem tej siły. Przyznał się do wielu zabójstw i skazany był na pędzenie »przez strój« pod pałkami. Przyprawdzono go wieczorem. W izbie szpitalnej już było ciemno i zapalono świece. Orłów był prawie nieprzytomny, strasznie blady, z gęstymi, wzburzonymi, czarnymi jak smoła, włosami. Grzbiet jego napuchły, miał krwawo-siną barwę. Całą noc chodzili koło niego aresztanci, zmieniali mu okłady, przewracali z boku na bok, dawali lekarstwo z taką troskliwością, jak gdyby był ich bliskim krewnym lub dobroczyńcą. Nazajutrz zupełnie oprzytomniał i przeszedł się parę razy po sali! Zdumiałem się: przybył bowiem do szpitala zbyt słaby i zmęczony, przebywszy odrazu całą połowę przeznaczoną dla siebie liczby pałek. Doktor przerwał egzekucję dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że przeciągnięcie jej groziło zbrodniarzowi nieuchronną śmiercią. A do tego Orłów był małego wzrostu i słabej budowy i wyczerpany długim trzymaniem podczas śledztwa w więzieniu. Komu zdarzało się widzieć kiedykolwiek podsądnych aresztantów, ten zapewne na długo zapamiętał ich zmęczone, chude i blade twarze, ich gorączkowe spojrzenia.

Ale pomimo to wszystko Orłów szybko powracał do zdrowia. Widocznie wewnętrzna energia jego duszy dzielnie pomagała naturze. W istocie, był to człowiek nie zupełnie zwyczajny. Przez ciekawość zaznajomiłem się z nim bliżej i studyowałem go przez cały tydzień. Śmiało powiedzieć mogę, że nigdy w życiu nie spotkałem człowieka silniejszego, bardziej żelaznego charakteru. Widziałem już raz przedtem, w Tobolsku, pewną znakomitość w tym rodzaju, byłego atamana rozbójników. Był to istny zwierz dziki, i stojąc koło niego, choć nie znałeś jeszcze jego imienia, czułeś przecież instynktownie, że to jakaś straszna istota. Ale w tamtym przerażała mnie duchowa otępiałość. Ciało do tego stopnia brało w nim górę nad wszelkimi własnościami duszy, że z pierwszego

wejrzenia na twarz jego widać było, iż w nim nic nie zostało prócz dzikich żądź cielesnych, lubieżności, nasycenia ciała. Jestem pewny, że Koreniow — tak się nazywał rozbójnik — upadłby na duchu i drżał ze strachu przed karą, pomimo, że zdolny był rzezać ludzi bez jednej zmarszczki na twarzy. Zupełny z nim kontrast stanowił Orłow; było to wcielenie zupełnego zwycięstwa nad ciałem. Widać było, że ten człowiek mógł panować nad sobą nieograniczenie, gardził wszelkimi mękami i karami i nie bał się niczego na świecie. Widziałem w nim tylko nieskończoną energię, żądź działania, żądź zemsty, żądź dopięcia zamierzonego celu.

Uderzony byłem przedewszystkiem jego dziwną wyniosłością. Na wszystko spoglądał jakoś niezmiernie z wysoka, nie starając się przytem bynajmniej stawać na szczydlach, ale tak jakoś naturalnie. Myślę, że nie było nikogo na świecie, któryby mógł podziałać na niego samem tylko znaczeniem swoim u ludzi. Na wszystko spoglądał z jakimś niespodziewanym spokojem, jak gdyby nie było nic na świecie, coby go mogło zadziwić. I chociaż doskonale wiedział, że inni aresztanci patrzą na niego z uszanowaniem, nie starał się bynajmniej pozować przed nimi. A tymczasem próżność i pycha właściwe są prawie wszystkim aresztantom. Był wcale niegłupi i jakoś dziwnie otwarty, choć bynajmniej niegadatliwy. Na pytania moje odpowiedział wręcz, że czeka wyzdrowienia, ażeby co prędzej otrzymać resztę kary, i że z początku, przed egzekucją, bał się, że jej nie wytrzyma. — »Ale teraz — dodał, mrugnawszy do mnie okiem — sprawa skończona. Przebędę resztę uderzeń i natychmiast odprawią mię z partją do Nerczyńska, a ja z drogi ucieknę. Z pewnością ucieknę! Byłe się tylko grzbiet co prędzej zagoił!« I przez wszystkie pięć dni niecierpliwie czekał chwili, kiedy się będzie mógł wypisać ze szpitala, ale w oczekiwaniu tem był nieraz bardzo żartobliwy i wesoły.

Próbowałem dowiedzieć się coś od niego o jego sprawach. Chmurzył się trochę na podobne pytania, ale odpowia-

dał zawsze otwarcie. Kiedy zaś zrozumiał, że dobieram się do jego sumienia, i chcę doszukać się w nim choć śladu skruchy, to spojrział na mnie tak pogardliwie i wyniosłe, jak gdybym się nagle w jego oczach zamienił w głupiutkiego malca, z którym nie można rozumnie mówić, jak ze starszymi. Coś nawet w rodzaju litości ku mnie wyraziło się w jego twarzy. Po chwili zaśmiał mi się w oczy naiwnym śmiechem, bez wszelkiej ironii, i jestem pewny, że zostawszy sam i przypominając sobie moje słowa, nieraz jeszcze wybuchał śmiechem. Nakoniec wypisał się ze szpitala jeszcze z niezupełnie wygojonym grzbietem; ja wówczas także wychodziłem ze szpitala i nam wypadło wracać razem, mnie do ostroga, jemu do kordegardy koło naszego ostrogu, gdzie go i przedtem trzymano. Żegnając się ze mną, uściśnął mi rękę; był to z jego strony znak wielkiego zaufania. Sądzę, że zrobił to tylko dlatego, że był bardzo zadowolony z siebie i z chwili obecnej. W rzeczy zaś samej nie mógł mną nie gardzić i niewątpliwie spoglądał na mnie jak na istotę uległą, słabą, nędzną, pod każdym względem niższą od niego. Nazajutrz zaraz poprowadzono go na drugą egzekucję.

Kiedy zamknięto naszą kazarmę, przybierała ona nagle odmienną postać, stawała się podobną do prawdziwego mieszkania, do domowego ogniska. Teraz dopiero aresztanci, moi towarzysze, byli zupełnie jak w domu. W dzień podoficerowie, żołnierze karaulni i w ogóle wszelkiego rodzaju zwierzchnicy mogli każdej chwili zjawić się w ostrogu i dlatego wszyscy mieszkańcy ostroga w dzień inaczej się jakoś trzymają, jakby niezupełnie uspokojeni, jakby lada chwila wyczekujący czegoś w niepokoju. Ale jak tylko zamknięto kazarmę, wszyscy natychmiast rozsiedli się na swoich miejscach i prawie każdy zabrał się do jakiegoś rzemiosła. Kazarma nagle zajaśniała światłem. Każdy miał własną świecę i własny świecznik, zwyczajnie drewniany. Ten zabrał się do szycia butów, ów do krawiectwa. Mefityczne powietrze kazarmy stawało się coraz cięższe. Gromadka hulaków przysiadłszy na nogach

w kąciku przed rozesłanym dywanem, zaczynała grać w karty. Prawie w każdej kazarmie był taki człowiek, który miał mały wytarty dywanik, świeczkę i niewypowiedzianie brudne, załuszczone karty. Wszystko to razem wzięte, nazywało się *majdan*. Właściciel majdanu otrzymywał zapłatę od grających po piętnaście kopiejek za noc. Grano zwyczajnie w *try lista*, *górkę* i inne. Wszystkie gry były hazardowe, każdy gracz wysypywał przed sobą kupę miedziaków, wszystko co miał w kieszeni, i wstawał z przycupnięcia dopiero wtedy, gdy się zgrał do szczętu lub gdy ograł towarzyszy. Gra ciągnęła się długo w nocy, a czasem trwała aż do świtu, aż do tej chwili, kiedy otwierano kazarmę.

W naszej izbie, podobnie jak we wszystkich innych kazarmach ostrogu, bywali zawsze nędzarze, żebracy, którzy się zgrali lub przepili wszystko, albo też poprostu nędzarze z natury. Mówię »z natury« i kładę przycisk na to wyrażenie. W istocie, w narodzie naszym, w jakimkolwiek otoczeniu i wśród jakichkolwiek warunków są, będą zawsze pewne dziwne jednostki, spokojne i nieraz bardzo nieleniwe, którym los z góry przeznaczył być na wieki wieczne nędzarzami. Zawsze bezdomni, zawsze obdarci, wyglądają jak przybici i czemś udręczeni i wiecznie zostają u kogoś na posługach, na posyłkach, najczęściej u hulaków lub tych, co się nagle z bogacili i wynieśli. Wszelki pomysł, wszelka inicjatywa, — jest dla nich przykrością i ciężarem. Zdaje się, że przyszli na świat na to, żeby nie robić samodzielnie, ale tylko służyć innym, żyć według cudzej woli, tańczyć, jak im zagrają; przeznaczeniem ich — spełniać cudze rozkazy. A ponad to wszystko, żadne szczęśliwe okoliczności, żadne przewroty nie zdołają ich wzbogacić: oni zawsze żebracy. Zauważyłem, że takie jednostki nie tylko spotykają się wśród ludu prostego, ale we wszystkich społeczeństwach, warstwach, partyach, dziennikach i stowarzyszeniach. To samo bywało w każdej kazarmie, w każdym ostrogu, i jak tylko układał się majdan, natychmiast jeden z takich zjawiał się do posługi. Najmowali

go zwyczajnie wszyscy gracze wogóle za pięć kopiejek srebrem na całą noc, a głównym jego obowiązkiem było stać całą noc na straży. Marzył on zwykle przez sześć do siedmiu godzin w ciemności, w sieniach, na trzydziestostopniowym mrozie i łowił uchem każdy stuk, każdy dźwięk, każdy krok na dziedzińcu. Plac-major albo karauł zjawiali się niekiedy bardzo późną nocą w ostrogu, wchodzili pocichu i łapali na gorącym uczynku i graczy i pracujących i świeczki, które można było spostrzedz z podwórza. To pewna przynajmniej, że kiedy nagle zaczynał grzmieć zamek we drzwiach, prowadzących z sieni na dziedziniec, to już zapóźno było chować rzeczy, gasić świece i kłaść się na narach. Ale ponieważ czuwającemu najemnikowi dostawało się za to porządnie od majdanu, więc i wypadki takich chwytai na gorącym uczynku bywały bardzo rzadkie. Pięć kopiejek, niewątpliwie, zapłata śmiesznie mała, nawet w ostrogu; ale uderzała mię zawsze w ostrogu surowość i bezlitosność najmujących, tak w tym, jak w innych razach. »Wziąłeś pieniądze, więc służ!« To był argument nie znoszący dalszej odpowiedzi. Najmujący — za pieniądź, który dawał najemnikowi, brał wszystko, co mógł wziąć od niego, i jeszcze uważał się za jego dobroczyńcę. Hulaka, pijany, rzucający pieniądze na prawo i lewo bez rachunku, takiego posługacza swojego oszukiwał w zapłacie; zauważyłem to nie w jednym ostrogu, nie przy jednym majdanie.

Powiedziałem już, że w kazarmie prawie wszyscy zasiedli do jakichś zajęć: prócz graczy, było nie więcej jak pięciu ludzi, zupełnie próżnujących; ci też zaraz położyli się spać. Moje miejsce na narach wypadło przy samych drzwiach. Z drugiej strony nar moich, głowa o głowę ze mną, mieścił się Akim Akimycz. Do godziny dziesiątej, czy do jedenastej, pracował on, kleił jakąś różnokolorową chińską latarkę, którą zamówiono u niego w mieście za dobrą cenę. Lатарki robił po mistrzowsku, pracował metodycznie, nie odrywając się od pracy; kiedy ją zaś ukończył, to starannie sprzątnął

wszystko, rozesłał swój materacyk, pomodlił się i przyzwoicie ułożył się do snu. Przyzwoitość, porządek posuwał do najdrobniejszego pedantyzmu i oczywiście, musiał się uważać za bardzo rozumnego człowieka, jak wszyscy ludzie tępego umysłu i ograniczeni. Nie podobał mi się od pierwszego dnia, chociaż, pamiętam, wiele tego i pierwszego dnia rozmyślałem nad nim i najbardziej temu dziwiłem się, że taki człowiek, zamiast mieć powodzenie w życiu, znalazł się w ostrogu. W dalszym ciągu wypadnie mi nieraz jeszcze mówić o Akimie Akimyczu.

Ale opiszę pokrótce skład całej kazarmy. Miałem w niej żyć wiele lat i wszystko to mieli być moi współmieszkańcy, towarzysze. Łatwo zrozumieć, że wpatrywałem się w nich z wielką ciekawością. Na lewo od mojego miejsca na narach mieściła się gromadka kaukaskich górali, zesłanych po większej części za grabież z rozmaitym terminem kary. Było tam: dwóch Lezginów, jeden Czeczeniec, trzech dagestańskich Tatarów. Czeczeniec był chmurną i ponurą istotą; prawie z nikim nie mówił i patrzył ciągle dokoła z nienawiścią, z podobną i z jadowitym, gniewnie szyderyczym uśmiechem. Jeden z Lezginów był to już starzec, z długim, cienkim, garbatym nosem, z postaci zbój skończony. Za to drugi, Nurra, od pierwszego dnia katongi wywarł na mnie najmiłsze, najprzyjemniejsze wrażenie. Był to człowiek jeszcze niestary, wzrostu niewysokiego, zbudowany jak Herkules, jasny blondyn z jasnobłękitnymi oczami, z zadartym nosem, z twarzą Czuchonki i z krzywemi nogami z powodu ciągłej jazdy konnej w poprzednim życiu. Miał całe ciało zrabane, pokaleczone bagnietami i kulami. Na Kaukazie należał do spokojnych górali, ale nieustannie pokryjomu przejeżdżał do niepodległych i stąd razem z nimi czynił napady na Rosyan. W katordze wszyscy go lubili. Był zawsze wesół, uprzejmy dla wszystkich, pracował bez szemrania, spokojny i pogodny, choć często z oburzeniem spoglądał na brzydotę i podłość aresztanckiego życia i gniewem zapalał się na każde złodziejstwo, oszustwo, pijaństwo, wogóle na każdą nieuczciwość, ale kłótni nie wszczynał,

tylko odwracał się z oburzeniem. Sam w przeciągu całej swej katorgi nie ukradł, nikomu nic złego nie wyrządził. Był nadzwyczajnie pobożny. Świącie wypełniał przepisy swej religii, odmawiał modlitwy, w posty przed mahometańskimi świętami pościł jak fanatyk i całymi nocami modlił się stojąc. Wszyscy go lubili i wierzyli w uczciwość jego. »Nurra-lew«, mawiali aresztanci, i tak mu pozostała nazwa lwa. Był on najświęciej przekonany, że po upływie naznaczonego terminu katorgi, wróci do domu, na Kaukaz, i żył tylko tą nadzieją. Myślę, że umarłby, gdyby mu tę nadzieję odjęto.

Już w dzień przybycia mego do ostrogu uderzyła mnie ta postać. Niepodobna było nie zwrócić uwagi na tę dobrą, współczującą twarz pośród złych, ponurych i szyderczych twarzy innych aresztantów. W ciągu pierwszej pół godziny po przybyciu mojem do katorgi, przechodząc koło mnie, poklepał mię dobrodusznie po ramieniu, śmiejąc mi się w oczy. Nie mogłem z początku zrozumieć, co to miało znaczyć. Po rosyjsku zaś bardzo źle mówił. Wkrótce znowu potem podszedł ku mnie i uśmiechając się po przyjacielsku, uderzył mnie po ramieniu. I potem znów jeszcze i znów jeszcze, i tak powtarzało się to przez trzy dni. Chciał on przez to wyrazić, jak się domyślałem i dowiedziałem potem, że żałuje mnie, że czuje, jak mi ciężko zaznajomić się z ostrogiem, że chce okazać mi swoją przyjaźń, dodać mi ducha i zapewnić mię o swojej opiece. Dobry i naiwny Nurra!

Dagestańskich Tatarów było trzech; wszyscy rodzeni bracia. Dwaj z nich byli już w podeszłym wieku, ale trzeci, Alej, miał nie więcej nad dwadzieścia dwa lata, a z twarzy wydawał się jeszcze młodszym. Jego miejsce na narach było obok mnie. Twarz jego prześliczna, otwarta, rozumna, a zarazem dobrodusznie naiwna, odrazu pociągnęła ku niemu moje serce i niezmiernie rad byłem, że jego, a nie kogo innego los posłał mi za towarzysza. Cała dusza małowała się na jego pięknej, można powiedzieć, prześlicznej twarzy. W uśmiechu jego było tyle zaufania, tyle dziecinnej prostoty;

wielkie czarne oczy były tak miękkie, tak uprzejme, że czułem zawsze szczególne zadowolenie, nawet ulgę w smutku i w tęsknocie, patrząc na niego. Mówię to bez przesady. W Dagestanie starszy brat jego (miał pięciu starszych braci, z których dwaj dostali się do jakichś kopalń) kazał mu wziąć szablę, siąść na koń i jechać razem z braćmi na jakąś wyprawę. Uszanowanie dla starszych w rodzinach kaukaskich tak wielkie, że młodzieniec nie tylko się nie ośmielił, ale nawet nie pomyślał o tem, aby zapytać braci, dokąd się udają. Ci zaś nie uważali nawet za rzecz potrzebną uwiadomić go o tem. Jechali na rozbój, aby zasadzić się na pewnego bogatego kupca ormiańskiego i ograbić go. Plan ich powiódł się; wycięli konwój, zabili Ormianina, a towar jego zagrabili. Ale rzecz się odkryła; wzięto ich wszystkich sześcioro, sądzono, przekonano o winie i ukarano, zsyłając na Sybir do ciężkich robót. Dla Aleja sąd o tyle tylko okazał się łaskawym, że mu zmniejszono trwanie kary; zesłany był na cztery lata.

Bracia bardzo go kochali, i to bardziej ojcowską niż braterską miłością. Był on pociechą dla nich na wygnaniu; zwyczajnie chmurni i posępni, uśmiechali się zawsze, patrząc na niego, a gdy z nim mówili (a mówili z nim bardzo mało, jak gdyby uważając go ciągle za malca, z którym niema co mówić o rzeczach poważnych) to surowe ich twarze wygładzały się i domyślałem się, że mówią z nim zapewne o czemś żartobliwym, prawie dziecinnem; wiem przynajmniej, że zawsze wysłuchawszy jego odpowiedzi, spoglądali na siebie i uśmiechali się dobrodusznie. Sam zaś on prawie nigdy nie śmiał zaczynać rozmowy z nimi, tak wielkiem było jego uszanowanie dla nich. Trudno zrozumieć, jak ten chłopak mógł przez cały czas swej katorgi zachować taką miękkość serca, wykształcić w sobie tak surową uczciwość, taką serdeczność, nie zgrubieć, nie zepsuć się. Była to zresztą natura silna i twarda, pomimo całej swej pozornej miękkości. Poznałem go potem dobrze. Był czysty, jak czysta dziewczyna, a wszelki brzydki, cyniczny, podły lub niesprawiedliwy uczynek zapalał ogień

oburzenia w jego przeslicznych oczach, które stawały się z tego powodu jeszcze piękniejszymi. Ale unikał sporów i kłótni, choć wogóle nie należał do takich, którzy pozwalają krzywdzić siebie bezkarnie, i umiał się bronić. Ale z nikim się nie kłócił; wszyscy go lubili i głaskali.

Ze mną z początku był tylko grzeczny. Powoli zacząłem wchodzić w rozmowy z nim i w kilka miesięcy nauczył się doskonale mówić po rosyjsku, do czego bracia jego nie doszli przez cały czas swej katongi. Wydał mi się nadzwyczaj rozumnym chłopakiem, nadzwyczaj skromnym i delikatnym i nawet takim, który już wiele przemyślał. W ogóle powiem zawczasu: uważam Aleja za istotę bardzo niezwykłą i wspominam o spotkaniu się z nim, jako o jednym z lepszych zdarzeń w moim życiu. Są dusze tak piękne z natury, tak bogato przez Boga obdarzone, że nawet myśl o tem, aby się mogły zmienić kiedykolwiek na gorsze, wydaje się niemożliwą. O takich ludzi można być zawsze spokojnym. I ja jestem spokojny o Aleja. Gdzie to on jest teraz?...

Pewnego razu, już dość dawno po przybyciu do ostroga, leżałem sobie na narach i myślałem o czemś ciężkiem. Alej, zawsze pracowity i zatrudniony, tym razem niczem nie był zajęty, choć do snu było jeszcze zawcześnie. Ale Mahometanie mieli wówczas jakieś swoje święto i nie pracowali. Alej leżał założywszy ręce na głowę i także o czemś myślał. Nagle spytał mię:

— Cóż, bardzo ciężko ci teraz?

Ciekawie objąłem go wzrokiem; dziwnem mi się wydało to nagle prosto z mostu pytanie ze strony Aleja, zawsze delikatnego, rozważnego, rozumnego sercem; ale wpatrzywszy się uważniej, dostrzegłem w jego twarzy tyle tęsknoty, tyle męki wywołanej wspomnieniami, że natychmiast zrozumiałem, że to jemu samemu było bardzo ciężko w tej właśnie chwili. Wypowiedziałem mu mój domysł. Westchnął i smutnie się uśmiechnął. Lubiłem jego uśmiech zawsze czuły i serdeczny. Prócz tego, uśmiechając się, pokazywał dwa rzędy perłowych

zębów, których piękności mogłaby mu pozazdrościć najpiękniejsza kobieta na świecie.

— Co, Alej, tyś pewno myślał o tem, jak to u was w Dagestanie obchodzą to święto? Pewno tam dobrze?

— Tak — odpowiedział z uniesieniem i oczy mu zaświeciły. — A skądże wiesz, że ja o tem myślę?

— Jakżebym nie wiedział! Co? tam pewno lepiej, niż tutaj?

— O! po co ty to mówisz...

— Zapewne u was, teraz kwiaty kwitną, świat jak raj?

— Och, nie mów lepiej. — Był silnie wzburzony.

— Posłuchaj Alej, miałeś siostrę?

— Miałem, a na co ci to wiedzieć?

— Jeżeli do ciebie podobna, musiała być krasawica.

— Co do mnie! Ona jest tak piękną, że piękniejszej niema w całym Dagestanie. Ach, jaka cudna moja siostra! Tyś nie widział takiej. I matka moja była piękną.

— A kochała cię matka?

— Ach! co ty mówisz! Ona pewno umarła teraz z tęsknoty za mną. Ja byłem jej ukochanym synem. Kochała mnie więcej, niż moją siostrę, więcej niż wszystkich... Dziś do mnie w nocy przychodziła i płakała nademną.

Zamilkł i tego wieczora nie powiedział już ani słowa. Ale od tego czasu szukał zawsze rozmowy ze mną, jakkolwiek sam przez uszanowanie, które nie wiem dlaczego czuł dla mnie — nigdy nie zaczynał rozmowy. Zato bardzo był rad, gdy do niego przemówiłem. Rozpytywałem się go o Kaukaz, o jego dawniejsze życie. Bracia nie bronili mu rozmawiać ze mną, było im to nawet przyjemnie. Widząc zaś, że coraz bardziej lubię Aleja, stali się daleko łaskawszy dla mnie.

Alej pomagał mi w robocie, świadczył mi, jakie mógł, przysługi w kazarmach i widać było, że sprawia mu to wielką przyjemność, gdy czemkolwiek może mi przynieść ulgę, dogodzić mi, a w tej chęci dogodzenia nie było nic poniżającego, ani śladu interesowności, tylko ciepłe, przyjacielskie uczucie dla mnie, którego on już nie ukrywał. Prócz innych,

posiadał on wiele zdolności mechanicznych: nauczył się porządnie szyc bieliznę, robić buty, a potem, ile mógł, nauczył się i stolarstwa. Bracia chwalili go, dumni byli z niego.

— Posłuchaj, Aleju — powiedziałem raz do niego — dlaczego ty się nie nauczysz czytać i pisać po rosyjsku? Czy ty wiesz, jak ci się to może przydać potem tu, w Syberyi?

— Bardzo chcę. Ale kto mnie nauczy?

— Czyż tu mało piśmiennych! Jeśli chcesz, ja cię nauczę.

— Ach, naucz, proszę cię! — i podniósł się nieco na narach i błagalnie złożył ręce, patrząc na mnie.

Zabraliśmy się do nauki zaraz następnego wieczora. Miałem rosyjski przekład Nowego Testamentu, książkę, niezabronioną w ostrogu. Bez elementarza, na tej jedynej tylko książce Alej w przeciągu kilku tygodni nauczył się doskonale czytać. Po trzech miesiącach nauki zupełnie już rozumiał literacki język. Uczył się z zapałem, z uniesieniem.

Pewnego razu przeczytaliśmy razem z nim całe kazanie »na górze«. Zauważyłem, że niektóre ustępy Alej wygłaszał ze szczególnym jakimś wyrazem i spytałem go, czy podoba mu się to, co przeczytał.

Bystro spojrział na mnie i rumieniec twarzy mu oblał.

— Ach, tak! — odpowiedział — tak, Isa święty prorok, Isa boskie słowa mówił. Jakie to piękne!

— Cóż ci się najwięcej z tego podoba?

— A to gdzie On mówi: przebaczaj, kochaj, nie krzywdź i wrogów kochaj. Ach, jak pięknie On mówi!

Obrócił się do braci, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie i z zapałem zaczął coś mówić do nich. Oni długo i poważnie rozmawiali z sobą i przytakiwali głowami. Potem z uroczyście uprzejmym, to jest z prawdziwie muzulmańskim uśmiechem, (który ja tak lubię i mianowicie lubię urozystość tego uśmiechu) zwrócili się do mnie i potwierdzili: że Isa był Boży prorok, i że on czynił wielkie cuda; że zrobił z gliny ptaka, tchnął w niego i ptak poleciał... i że to i u nich w księgach jest zapisane. Mówiąc to, mieli głębokie przeko-

nanie, że robią mi wielką przyjemność, wychwalając Isę, a Alej czuł się szczęśliwym, że bracia jego zdobyli się na zrobienie mi tej przyjemności.

Nauka pisania poszła nam również bardzo szczęśliwie. Alej wystarał się o papier (nie pozwolił mi kupić za swoje pieniądze), pióra, atrament, i w jakie dwa miesiące nauczył się doskonale pisać. Uderzyło to nawet jego braci. Duma i zadowolenie ich nie miały granic. Nie wiedzieli, jak mi za to podziękować. Na robotach, oni kolejno pomagali mi i uważali to sobie za szczęście. Nie mówię już o Aleju. Ten kochał mię może tak, jak braci. Nigdy niezapomnę chwili, kiedy wychodził z ostrogu. Wyprowadził mię za kazarmę i tam rzucił mi się na szyję i zapłakał. Nigdy mię przedtem nie całował i nigdy nie płakał. — »Tyś dla mnie tyle zrobił, tyle zrobił«, mówił do mnie — »że ojciec i matka tyleby mi nie zrobili: tyś mnie człowiekiem zrobił, Bóg ci zapłaci, a ja cię nigdy nie zapomnę...«

— Gdzież on, gdzie jest teraz mój dobry, miły Alej!...

Oprócz Czerkiesów była jeszcze w kazarmach naszych cała gromadka Polaków, która stanowiła zupełnie odrębną rodzinę, prawie nie mającą stosunków z innymi aresztantami. Powiedziałem już, że w zamian za swoją wyłączność, za swą nienawiść ku katorżnikom rosyjskim, byli oni przez wszystkich nienawidzeni. Były to natury zmęczone, chore; było ich sześciu. Niektórzy posiadali ukształcenie; o nich opowiem potem osobno i szczegółowo. Od nich to niekiedy w ostatnich latach mego życia w ostrogu otrzymywałem trochę książek. Pierwsza książka, którą przeczytałem, wywarła na mnie silne, dziwne, szczególne wrażenie. O tych wrażeniach powiem kiedyś oddzielnie. Dla mnie są one niezmiernie godne uwagi, i jestem pewny, że dla wielu będą zupełnie niezrozumiałe. Nie doświadczwszy, nie można sądzić o pewnych rzeczach. Powiem tylko to jedno: że moralne cierpienia cięższe są od wszelkich mąk fizycznych. Człowiek prosty, wszedłszy do katorgi, znajduje się w swoim towarzystwie, może nawet w bardziej rozwi-

niętem umysłowo. Utracił naturalnie wiele — rodzinę, swoich, wszystko, ale sfera pozostała ta sama. Człowiek wykształcony, podlegający według praw jednej karze z prostakiem, traci często nierównie więcej od niego. Musi przytłumić w sobie wszystkie potrzeby, wszystkie przyzwyczajenia swoje; przejść w sferę dla siebie niewystarczającą, nauczyć się oddychać innym powietrzem... Jest to ryba, wyciągnięta na piasek... I często kara, dla wszystkich według prawa jednakowa, staje się dla niego dziesięćkroć bardziej męczącą. Jest to rzecz niewątpliwa... nawet gdyby chodziło tylko o materialne przyzwyczajenia, których on rzec się musi.

Ale Polacy stanowili odrębną, jednolitą gromadkę. Było ich sześciu i mieszkali razem. Ze wszystkich katorżników w naszej kazarmie lubili tylko jednego żyda, i lubili go może za to, że ich bawił. Naszego żydka zresztą lubili i inni aresztanci, wszyscy zaś bez wyjątku śmiali się z niego. On był u nas jeden i ja teraz nawet nie mogę wspomnieć o nim bez śmiechu. Ile razy spojrziałem na niego, zawsze przychodził mi na myśl Jankiel, żydek Gogola z »Tarasa Bulby,« który rozebrawszy się, aby się udać na spoczynek ze swoją żydówką do jakiejś szafy, stał się przerażająco podobnym do pisklęcia kury. Isaj Fomicz był jak dwie krople wody podobnym do oskubanego kurczęcia. Był to człowiek już nie młody, lat około pięćdziesięciu, małego wzrostu i małej siły, przebiegły, ale stanowczo głupi. Zuchwały i arogant, był jednocześnie ogromnym tchórzem. Cały pokryty był zmarszczkami, na czole zaś i na policzkach miał piętna, które mu wyciśnięto na rusztowaniu. Nie mogłem wcale pojąć, jak on mógł wytrzymać sześćdziesiąt knutów. Do ostroga przyszedł jako obwiniony o zabójstwo. Miał u siebie receptę od jakiegoś doktora, której mu żydkowie dostarczyli zaraz po sprowadzeniu go z rusztowania. Była to recepta na masę, która miała we dwa tygodnie usuwać piętna z ciała. Użyć tej recepty w ostrogu nie śmiał i wyczekiwał dwunastoletniego terminu swej katorgi, po którym wyszedłszy *na posielenie*, miał stanowczy zamiar

skorzystania z recepty. »Inaczej nie będę się mógł żenić — powiedział mi razu pewnego — a ja koniecznie chce się ożenić«. Żyłem z nim w najlepszej przyjaźni. Był zawsze w wybornem usposobieniu. W katordze miał życie lekkie, bo był z rzemiosła jubilerem, miał mnóstwo obstalunków z miasta i tym sposobem uwolnił się od ciężkich robót. Rozumie się, że był zarazem lichwiarzem i na procenty i zastaw dawał całej katordze pieniądze. Przybył on do katorgi przedemną, i jeden z Polaków opisywał mi szczegółowo jego przybycie. Jestto arcyśmieszna historia, którą później opowiem; o Isaj Fomiczu nieraz mi jeszcze mówić wypadnie.

Reszta mieszkańców naszej kazarmy składała się z czterech starowierców, starych i w Piśmie św. biegłych, między którymi był i starzec ze starodubowskich słobód; z dwóch, trzech posępnych Małorusinów, z młodziutkiego katorznika, z delikatną twarzą i cienkim noskiem, który miał dwadzieścia trzy lata, a ośm dusz z tego świata spędził; z gromadki fałszerzy pieniędzy, z których jeden był żartownisiem, bawiącym całą naszą kazarmę, nakoniec z kilku pochmurnych i ponurych aresztantów, ogołonych i oszpeconych, milczących i zawistnych, z nienawiścią z podełba patrzących w koło siebie i mających postanowienie tak samo chmurzyć się, milczeć i patrzeć z nienawiścią przez długie jeszcze lata, przez cały ciąg swej katorgi. Wszystko to tylko mignęło przedemną w ten pierwszy, rozpaczliwy wieczór mojego nowego życia — mignęło pośród dymu i kopcia, wśród obelg i niewypowiedzianego cynizmu, w duszącem powietrzu, przy dźwięku kajdan, wśród przekleństw i bezwstydných śmiechów, położyłem się na gołych narach, położywszy ubranie pod głowę (poduszki jeszcze nie miałem), nakryłem się kożuchem, ale długo nie mogłem zasnąć, chociaż byłem zmęczony i złamany wszystkimi potwornymi i niespodziewanymi wrażeniami tego pierwszego dnia. Ale nowe życie moje dopiero się zaczynało. Wiele jeszcze czekało mię w przyszłości, o czem nigdy nie myślałem, czego nie przewidywałem...

V.

Pierwszy miesiąc.

W trzy dni po przybyciu mojem do ostrogu, kazano mi wychodzić na robotę. Bardzo pamiętnym jest mi ten pierwszy dzień robót, chociaż w ciągu dnia tego nie przytrafiło mi się nic bardzo nadzwyczajnego, przynajmniej w porównaniu z tem, co było wogóle niezwykajnem w mojem położeniu. Ale było to także jedno z pierwszych wrażeń, a ja ciągle jeszcze wszystkiemu chciwie się przypatrywałem. Wszystkie trzy pierwsze dni przepędziłem wśród najcięższych wrażeń. »Oto koniec mej wędrówki: jestem w ostrogu!« — powtarzałem co chwila: »oto przystań moja na długie, długie lata, mój ką, do którego wstępuję z takim niedowierzaniem, z takim chorobliwym uczuciem... A kto wie? Może po wielu latach, kiedy mi wypadnie ten ką opuszczać, będę go jeszcze żałował?...« dodawałem nie bez przymieszki pewnej złowrogiej uciechy, która dochodzi niekiedy do potrzeby rozdrapania własnej rany, jakby przez chęć lubowania się swoim bolem, jak gdyby rzeczywiście w odczuwaniu całej wielkości swego bólu można było znajdować rozkosz. Myśl, że mogę kiedyś pożałować tego kąta, przerażała mnie: już wtedy przeczuwałem, jak potwornie ze wszystkim oswajającą się istotą jest człowiek. Ale to było dopiero w przyszłości, a tymczasem teraz wszystko dokoła mnie było wrogie i straszne... choć nie wszystko, ale tak mi się wówczas zdawało. Ta dzika ciekawość, z jaką

oglądali mnie moi nowi towarzysze-katorżnicy, surowość ich obejścia z nowicyuszem szlachcicem, który zjawił się w ich korporacji, surowość, która niekiedy dochodziła niemal do nienawiści — wszystko to do tego stopnia zmęczyło mię, że sam już pragnąłem co prędzej roboty przymusowej, żeby co prędzej od razu poznać i zgłębić całą moją niedolę, żeby zacząć żyć tak, jak wszyscy oni, żeby wejść coprędzej w jedną kolej z nimi. Rozumie się, że wówczas jeszcze nie spostrzegałem i nie podejrzewałem wielu rzeczy, które miałem tuż pod nosem; pomiędzy objawami złowrogimi nie odgadywałem pocieszających. Zresztą widok kilku uprzejmych twarzy, z którymi w tych trzech dniach spotkałem się, na razie bardzo mię pokrzepił. Najłaskawszym i najbardziej uprzejmym dla mnie był Akim Akimycz. Między ponuremi i nienawistnymi twarzami reszty katorżnych nie mogłem nie zauważyć kilku dobrych i wesołych. »Wszędzie są ludzie źli, a między tymi dobrzy« — spieszyłem cieszyć się tą myślą; — »kto wie? ci ludzie może wcale nie tak gorsi są od tych, którzy pozostali tam za ostrogiem«. Takie myśli przychodziły mi do głowy i trząsałem na to głową z niedowierzaniem, a tymczasem — mój Boże! — gdybym to ja wówczas wiedział, ile prawdy w nich było!

Ot naprzykład był tu jeden człowiek, którego dopiero po wielu, wielu latach poznałem do gruntu, a tymczasem on był ze mną i ciągle koło mnie przez cały czas mej katorgi. To był aresztant Suszyłow. Jak tylko wspomniałem o katorżnikach, którzy nie byli gorsi od innych ludzi, mimowoli przyszedł on mi na myśl. Suszyłow usługiwał mi. Miałem i drugiego aresztanta do posług. Akim Akimycz z samego początku, w pierwszych dniach jeszcze, polecił mi pewnego Józefa, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi codziennie przyrządzał osobne jedzenie, jeżeli rządowego jeść nie mogę i mam środki na swoje. Józef był jednym z czterech kucharzy, których aresztanci obierali z pomiędzy siebie do naszych dwóch kuchni; obranym wolno było przyjąć lub

nie przyjmować wyboru a przyjąwszy zrzec się go choćby nazajutrz. Kucharze nie chodzili na robotę a cała ich powinność polegała na pieczeniu chleba i gotowaniu kapusty. Zwano ich u nas nie kucharzami, ale kucharkami (*striapkami*, w rodzaju żeńskim) nie z pogardy ku nim, zwłaszcza że na kucharzy wybierano ludzi roztropnych i o ile można było uczciwych, ale tak dla miłego żartu, czem się kucharze nasi wcale nie obrażali. Józefa prawie ciągle obierano, prawie przez kilka lat z rzędu był ciągle *striapką* i zrzekał się tego zajęcia, kiedy mu już bardzo przykrzyło się i kiedy jednocześnie opanowywała go chęćka przenoszenia wódki. Był to człowiek rzadkiej uczciwości i dobroci, chociaż dostał się tu za kontrabandę.

Był to ten sam kontrabandzista wysoki i tęgi, o którym już wspominałem; bał się wszystkiego, szczególnie różeg, spokojny był, łagodny ze wszystkimi, nie odpowiadał na zaczepki i z nikim się nigdy nie kłócił, ale pomimo swej bojaźliwości nie mógł się wstrzymać od przenoszenia wódki, jako namiętny kontrabandzista. Razem z innymi kucharzami handlował i on wódką, ale nie na taką skalę, jak Gazin, bo nie odważał się tyle, co tamten, ryzykować. Z tym Józefem żyłem bardzo zgodnie. Co się zaś tyczy środków potrzebnych do tego, aby mieć swój stół osobny, to ich bardzo nie wiele wystarczało. Nie omyle się, gdy powiem, że miesięcznie wydawałem na to rubla srebrem, rozumie się oprócz chleba rządowego i niekiedy kapuśniaku, kiedy już byłem bardzo głodny i przezwyciężałem wstręt, który zresztą później prawie zupełnie przeszedł. Zwyczajnie kupowałem sobie kawałek wołowiny, po funcie na dzień, a funt wołowiny u nas w zimie kosztował grosz. Po wołowinę chodził na targ którykolwiek z inwalidów, których było w każdej kazarmie po jednym dla przestrzegania porządku, i którzy sami dobrowolnie przyjęli na siebie obowiązek chodzenia co dzień na targ za sprawunkami dla aresztantów i nie brali za to żadnej zapłaty, chyba czasem jaką drobnostkę. Robili to dla własnego spokoju, ina-

czej trudnoby im było żyć w ostrogu. Tym sposobem przynosili tytoń, herbatę w ceglach, wołowinę, kołacze i wszelkiego rodzaju inne rzeczy, chyba tylko oprócz wódki. O wódkę ich nie proszono, chociaż czasem nią częstowano. Józef przyrządzał mi przez kilka lat jednakowy zawsze kawałek smażonej wołowiny. Jak tam ona była usmażoną, to inna sprawa, ale nie o to chodziło. Rzecz godna uwagi, że w ciągu kilku lat paru słów nawet nie zamieniłem z Józefem. Wiele razy próbowałem rozpocząć z nim rozmowę, ale on był jakby niezdolnym do jej podtrzymania: uśmiechnie się, bywało, albo odpowie tak lub nie i rozmowa skończona. Dziwne wrażenie sprawiał widok tego Herkulesa siedmiolatka.

Oprócz Józefa w liczbie tych, co mi usługiwali, był i Suszyłow. Nie wzywałem go i nie szukałem. On sam mię znalazł i przykomenderował się do mnie; nie pamiętam nawet, kiedy się to stało. Zaczął prać moją bieliznę. Za kazarmami urządzoną była wielka jama do zlewania pomyj; nad tą jamą w kamiennych korytach prano aresztancką bieliznę. Prócz tego Suszyłow wynajdował tysiące rozmaitych obowiązków, ażeby tylko zrobić mi przysługę: nastawiał mój czajnik, biegał z różnemi poleceniami, odszukiwał coś dla mnie, nosił moją kurtkę do naprawy, smarował mi buty cztery razy na miesiąc; wszystko robił gorliwie, z zakłopotaniem, jak gdyby Bóg wie jakie obowiązki ciążyły na nim, jednym słowem zupełnie związał swoje losy z moimi i wziął wszystkie sprawy moje na siebie. Nie mówił nigdy naprzykład: »macie tyle tu koszul, wasza kurtka podarta i t. p.«, ale zawsze: »mamy teraz tyle a tyle koszul, nasza kurtka podarta«. Patrzył mi ciągle w oczy i zdawało się, że widział w tem główne zadanie swego życia. Rzemiosła, albo jak mówią areztanci »rękomiosła« nie miał żadnego, i zdaje się, że jedyny dochód miał odemnie. Płaciłem mu, ile mogłem, to jest groszami, i on zawsze był zadowolony. Nie mógł on nie służyć komukolwiek i zdawało się, że wybrał mnie dlatego, że byłem uprzejmiejszy od innych i uczciwszy w wynagradzaniu. Był

on jednym z tych, którzy nigdy nie mogli przyjść do pieniędzy i losu swojego polepszyć, i którzy najmowali się do czuwania przy majdanach, stali całymi nocami w sieniach na mrozie, przysłuchując się każdemu dźwiękowi na dworze, aby uprzedzić zjawienie się plac-majora, i brali za to po pięć kopiejek srebrem bodaj czy nie za całą noc, a w razie przesłepienia tracili wszystko i odpowiadali grzbietem. Mówiłem już o nich. Charakterystyką tych ludzi — usuwać swoją osobistość wszędzie i zawsze i omal nie przed wszystkimi, a w sprawach ogólnych odgrywać nawet nie drugorzędną, ale trzeciorzędną rolę. Wszystko to u nich już tak z natury wypływa. Suszyłow był takim nieborakiem, zupełnie bezbronny, uniżonym a nawet przybitym, chociaż u nas go nikt nie bił, ale już tak z natury przybitym. Zawsze mi go żał było; nie mogłem nawet spojrzeć na niego bez tego uczucia, ale dlaczego żał mi go było — sam bym na to nie mógł odpowiedzieć. Rozmawiać z nim nie mogłem; on też rozmawiać nie umiał i widać było, że mu to przychodzi z wielką trudnością; ożywił się dopiero wtedy, kiedy dla zakończenia rozmowy dałem mu coś do roboty, poprosiłem, aby poszedł lub pobiegł gdziekolwiek. Przekonałem się nawet, że mu tem sprawiam przyjemność. Był on wzrostu ani wysokiego ani małego, nie był ani ładny ani brzydki, ani głupi ani rozumny, trochę ospowaty, dość jasny blondyn. Nic zbyt określonego nie można było o nim powiedzieć. Jedno tylko: jak mi się zdaje, o ile mogłem się domyśleć, należał on do tego towarzystwa, co Sirotkin i należał jedynie z powodu swego przybicia moralnego, swej bezbronności. Śmiali się z niego niekiedy aresztanci i głównie z tego powodu, że on »pomieniał się« w drodze, idąc w partyi na Sybir, i pomieniał się za czerwoną koszulę i rubla srebrem. Otóż dlatego, że sprzedawał się za tak nędzną zapłatę, śmiali się z niego aresztanci. Pomieniać się, znaczy to zamieniać się z kimś na nazwisko, a wraz z nazwiskiem na karę. Jakkolwiek dziwnym wydaje się ten fakt, jest on wszakże prawdziwy i za moich czasów istniał w całej pełni między

prowadzonymi na Syberyę aresztantami, uświęcony podaniami i określony pewnymi formami. Z początku nie chciałem temu wierzyć, ale w końcu trzeba było uwierzyć rzeczywistości.

Robi się to w następujący sposób. Prowadzą naprzykład na Sybir partyę aresztantów. Idą skazani na różne kary: i do katorgi i do fabryk i na posilenie; idą razem. Gdzieś na drodze, przypuśćmy w permskiej gubernii, któryś z zesłanych zapragnie pomieniać się z drugim. Naprzykład jakiś Michajłow, zabójca, czy jakiś inny ważny przestępca, chciałby się wykupić od wieloletniej katorgi, na którą skazany. Dajmy na to, że jest przebiegły, lis szczwany, wie, jak się brać do rzeczy; otóż wypatruje w partyi jakiegoś naiwnego biedaka, skazanego na karę stosunkowo niewielką; albo do fabryk na niewiele lat, albo na posilenie, albo nawet do katorgi, ale z krótszym terminem. Nakoniec znajduje Suszyłowa. Suszyłow pochodzi z ludzi dworskich i zesłany tylko na posilenie. Przeszedł już z półtora tysiąca wiorst, rozumie się, bez kopiejki, ponieważ Suszyłow nigdy nie może mieć kopiejki, idzie znużony, zmęczony, żywiąc się tylko kaziennym wiktem, bez słodkiego kąska choćby przelotnego, w kaziennym tylko ubraniu, wszystkim usługując za nędzne miedziaki. Michajłow zawiązuje rozmowę z Suszyłowem, schodzi się z nim, przyjaźni nawet, nakoniec na pewnym etapie poi go wódką. Wtedy to proponuje mu: czy nie chce się z nim pomieniać? »Ja — mówi — jestem Michajłow, oto tak i tak, idę niby do katorgi, niby nie do katorgi, tylko do jakiegoś »osobnego oddziału«. Jest to wprawdzie katorga, ale osobna, a więc widocznie lepsza.« O osobnym oddziale w czasie jego istnienia nawet władze nie wszystkie wiedziały, choćby naprzykład w Petersburgu. Był to taki ukryty kącik w jednym z zakątków Syberyi i tak nieludny (przy mnie było tam do siedmdziesięciu ludzi), że trudno było na ślad jego trafić. Spotykałem potem ludzi, którzy służyli w Syberyi i znali ją, a pierwszy raz odemnie dowiadywali się o istnieniu »osobnego oddziału«. W Zwodzie praw jest mowa o nim w szczęściu

wierszach: »Urządza się przy takim to ostrogu osobny oddział dla najważniejszych przestępców, zanim zostaną otwarte w Syberyi najcięższe roboty katorżne«. Nawet aresztanci, należący do tego oddziału, nie wiedzieli, czy są na całe życie skazani, czy do pewnego terminu? Terminu nie oznaczono, powiedziano: dopóki nie zostaną otwarte najcięższe roboty — i nie więcej, a zatem »wzdłuż po katordze«. Nic dziwnego, że ani Suszyłow, ani nikt z partii o tem nie wiedział, nie wyłączając i samegoż Michajłowa, który o osobnym oddziale miał chyba wyobrażenie, wnioskując ze swego przestępstwa, bardzo ciężkiego, za które dostał już był trzy do cztery tysiące pałek. A więc nie poszła go pewno w dobre miejsce; Suszyłow zaś szedł na posilenie; czegoż chcieć lepszego? »Czy nie zechcesz się pomieniać?« Suszyłow podchmielony, dusza prosta, pełen wdzięczności dla Michajłowa, który go tak uprzejmie częstuje, więc nie śmie odmówić. A przytem on już słyszał w partii, że mieniać się można, że inni się mieniają, że zatem niema tu nic nadzwyczajnego i niesłychanego. Następuje ugoda. Nie-sumienny Michajłow, korzystając z nadzwyczajnej naiwności Suszyłowa kupuje jego nazwisko za czerwoną koszulę i rubla srebrem, co mu też wręcza zaraz przy świadkach. Nazajutrz Suszyłow już nie pijany, ale poją go znowu, a przytem cofać się niedobrze; otrzymany rubel już przepity, czerwona koszula, niedługo potem, także. Nie chcesz, więc oddaj pieniądze. A skąd Suszyłow weźmie całego rubla srebrem? Jeżeli zaś nie odda, to spółka aresztancka (*artiel*) zmuszać go będzie do oddania; tego bardzo surowo przestrzegają aresztanci. Wreszcie: obiecałeś, więc spełnij obietnicę, — i na to spółka nalegać będzie. Inaczej zagryzą. Zaczną bić, może nawet zabiją, a przynajmniej zastraszą.

W istocie, gdyby *artiel* choć raz okazała w takim wypadku poślężanie, to zwyczaj zamiany nazwisk ustałby. Jeżeli można cofać obietnicę i naruszać zawartą ugodę, wzięwszy już pieniądze — to któż zechce ją wypełniać? Jednem słowem ogólny interes w grę tu wchodzi i dlatego partya w tej sprawie jest

bardzo surowa. Nakoniec Suszyłow widzi, że nie wymodli sobie przebaczenia i postanawia zgodzić się zupełnie. Oznajmia się to całej partyi; jeżeli potrzeba, obdarzają jeszcze i poją tych, których wypada. Tym naturalnie wszystko jedno: Michajłow czy Suszyłow pójdzie dyabłu na rogi, a wódkę wypili, ugoszczono ich; więc i z ich strony język za zębami. Otóż na pierwszym etapie wywołują aresztantów po nazwisku; dochodzi do Michajłowa: »Michajłow!« Suszyłow odzywa się: ja! »Suszyłow!« Michajłow krzyczy: ja! — i poszli dalej. Nikt już więcej nie mówi o tej sprawie. W Tobolsku zesłanych rozgatunkowują. »Michajłowa« na posilenie, a »Suszyłowa« pod wzmocnionym konwojem prowadzą do osobnego oddziału. Potem już wszelka protestacya niemożliwa; i rzeczywiście jak dowieść prawdy? Na ile lat zaciągnie się taka sprawa? Co za nią spotkać może? Gdzie są wreszcie świadkowie? Zaprzeczają, gdyby nawet byli. Tak więc i skończyło się na tem, że Suszyłow za rubla srebrem i czerwoną koszulę dostał się do osobnego oddziału.

Aresztanci śmiali się z Suszyłowa, nie dlatego, że pomieniał się, (choć wogóle dla aresztantów, którzy lżejszą karę zamienili na cięższą, żywią pogardę, jako dla głupców w matnię wciągniętych) ale dlatego, że wziął za to tylko rubla srebrem i czerwoną koszulę: zbyt już nizeczemna zapłata. Zwyczajnie zamiana taka opłaca się większemi sumami, biorąc rzecz naturalnie stosunkowo. Ale Suszyłow był tak bezbronny, tak pozbawiony indywidualności, tak nędzny w oczach wszystkich, że jakoś śmiać się z niego nie wypadało.

Długośmy żyli razem z Suszyłowem, już kilka lat. Powoli przywiązał się do mnie nadzwyczajnie; nie mogłem tego nie zauważyć, więc też i ja do niego przywykłem. Ale pewnego razu — nigdy sobie tego darować nie mogę — nie spełnił jakiejś mojej prośby, a tymczasem tylko co przedtem wziął był u mnie pieniądze i ja byłem tak bezlitośny, powiedziałem mu: »Pieniądze, Suszyłow, bierzesz, a co zrobić potrzeba, nie robisz«. Suszyłow zamilkł, pobiegł w moim

interesie, ale nagle posmutniał. Minęło dwa dni. Myślę sobie, niepodobna, żeby to moje słowa tak na niego podziały. Wiedziałem, że jakiś aresztant domagał się od niego zwrotu groszowej pożyczki; pewno niema pieniędzy, a boi się poprosić mnie o nie. Trzeciego dnia mówię do niego: »Suszyłow, zdaje się, że chciałeś poprosić mię o pieniądze dla Antona Wasiliewa? Oto są«. Siedziałem na narach; Suszyłow stał przedemną. Był, jak się zdaje, bardzo tem uderzony, że ja sam mu ofiarowałem pieniądze, sam wspomniałem o jego kłopotach, tem bardziej że w ostatnich czasach, według swego mniemania, zbyt już wiele nabrał pieniędzy u mnie, tak, że nie śmiał roić nawet, ażebym mu dał więcej. Popatrzył na pieniądze, potem na mnie, odwrócił się nagle i wyszedł. Wszystko to bardzo mię zastanowiło. Poszedłem za nim i znalazłem go za kazarmami. Stał pod częstokołem, z twarzą ku palom zwróconą, przycisnąwszy do nich głowę i oparłszy się na ręce. »Suszyłow, co wam jest?« — spytałem go. Nie patrzył na mnie i ku wielkiemu zdziwieniu memu spostrzegłem, że gotów jest zapłakać: »Wy, Aleksandrze Piotrowiczu... myślicie — zaczął głosem urywanym i starając się patrzeć na bok — że ja wam za pieniądze... a ja... ja... e-e-ech!« Tu znów obrócił się do częstokołu, tak, że stuknął się głową o niego i jak nie ryknie!... Pierwszy raz widziałem człowieka płaczącego w katordze. Zaledwem go uspokoił i choć od tego czasu jeszcze gorliwiej, jeśli to było możliwe, zaczął mi służyć i »pilnować mnie,« ale po niektórych, prawie nieuchwytnych znakach spostrzegłem, że jego serce nie mogło mi nigdy darować mojego wyrzutu. A przecież inni śmiali się z niego, kłuli go przy każdej sposobności, łajali go nieraz grubo, — a on żył z nimi zgodnie i w przyjaźni i nigdy się nie obrażał. Tak, bardzo trudno nieraz poznać człowieka, nawet po wielu latach znajomości!

Oto dlaczego katorga z pierwszego wejrzenia nie mogła mi się przedstawić w prawdziwej postaci, jak przedstawiła się potem. Dlatego to powiedziałem, że jakkolwiek spogląda-

łem na wszystko chciwie, z natężoną uwagą, nie mogłem przecież dopatrzeć wielu rzeczy, które były tuż przedemną. Rzecz naturalna, uderzały mnie naprzód zjawiska wybitniejsze, ostro się zarysowujące, ale i te może pojmowane były przezemnie niewłaściwie i zostawiały w duszy mojej jedno, ciężkie, beznadziejno-smutne wrażenie. Wiele się przyczyniło do tego spotkanie się moje z A-wem, także aresztantem, który przybył na niedługo przedemną do ostrogu i który wywarł na mnie szczególnie udręczające wrażenie w pierwszych dniach po mojem przybyciu do katorgi. Wiedziałem zresztą jeszcze w drodze, że spotkam się tam z A-wem. On zaprawił mi trucizną te pierwsze ciężkie czasy i spotęgował męczarnie mej duszy. Nie mogę przemilczeć o nim.

Był to najwstrętniejszy przykład, do jakiego stopnia może się człowiek poniżyć i spodlić, do jakiego stopnia może zabić w sobie wszelkie uczucie moralne, bez pracy i bez skruchy. A-w, był to ów młody szlachcic, o którym już wspominałem, mówiąc, że donosił naszemu plac-majorowi o wszystkim, co się dzieje w ostrogu i był zaprzyjaźniony z jego dieńszczykiem Fied'ką. Oto krótka jego historia. Nie skończywszy nigdzie kursu nauk i pokłóciwszy się w Moskwie z rodziną, która przelekła się jego rozpustnego życia, pojechał do Petersburga i żeby zdobyć pieniądze, odważył się na pewną podłą denuncyacyę, to jest postanowił sprzedać krew dziesięciu ludzi dla niezwłocznego zaspokojenia nieugaszonej żądzy rozpusty. Życie petersburskie ze swemi cukierniami i tym podobnymi zakładami wzmogło w nim jeszcze więcej tę żądzę, tak, że on, będąc człowiekiem niegłupim, odważył się na rzecz szaloną i niedorzeczną. Przekonano go prędko o kłamstwo; do swojej denuncyacji wplątał on ludzi niewinnych, innych oszukał, i zato zesłano go na Sybir do naszego ostrogu, na lat dziesięć. Był jeszcze bardzo młody, życie dla niego dopiero się zaczynało. Zdawałoby się, że tak straszliwa zmiana w jego losie powinna go była wstrząsnąć, wywołać jakąś reakcyę w jego naturze, jakiś przełom.

Ale on przyjął swój nowy los najspokojniej, bez najmniejszej nawet odrazy, nie go to nie wzburzyło, nie go nie przeraziło, chyba tylko konieczność pracowania i rozstania się z ulubionymi siedliskami w Petersburgu. Zdało mu się nawet, że stanowisko katorżnika rozwiązało mu ręce do większych jeszcze podłości. »Katorżnikiem zostałem, więc katorżnikiem będę; skorom katorżnik, więc niema wstydu być podłym«. Dosłownie to było jego mniemanie. Wspominam o tej brzydkiej istocie jako o fenomenalnym zjawisku. Kilka lat przeżyłem pośród zabójców, rozpustników, jawnych złoczyńców, a przecież mówię stanowczo, że nigdy w życiu nie spotykałem takiego zupełnego upadku moralnego, takiego zepsucia, takiej podłości jak w A-wie. Mieliśmy ojcobójcę ze szlachty; wspominałem już o nim; ale przekonałem się po wielu rysach i faktach, że i ten był nierównie szlachetniejszym i bardziej ludzkim od A-wa. W moich oczach, przez cały czas mego życia w ostrogu, A-w był jakimś kawałem mięsa z zębami i z żołądkiem, z nieugaszoną żądzą najgrubszych, zwierzęcych, cielesnych rozkoszy, który dla zaspokojenia tej żądzy w czemkolwiek, gotów był z najziemniejszą krwią zabić, zarżnąć, słowem gotów na wszystko, byle tylko końce były schowane. Nic tu nie przesadzam; poznałem dobrze A-wa. To był przykład, do czego może dojść cielesna strona człowieka, nie powstrzymywana wewnątrz żadną normą, żadnym prawem. Z jakimże wstrętem patrzyłem na jego wiecznie szyderczy uśmiech! To był potwór, moralny Quasimodo. Trzeba dodać do tego, że był przebiegły i rozumny, przystojny, trochę nawet ukształcony i miał zdolności. Nie, lepszy pożar, lepszy mór i głód, niż taki człowiek w społeczeństwie!

Powiedziałem już, że w ostrogu tak się wszystko spodiło, że szpiegostwo i donosy kwitły i aresztanci wcale się o to nie gniewali. I owszem, z A-wem wszyscy byli w bardzo przyjacielskich stosunkach, daleko przychylniejsi dla niego, niż dla nas. Łaskawość dla niego naszego pijanego majora dodawała mu w ich oczach znaczenia i wagi. Między innemi

upewnił on majora, że może malować portrety (aresztantów upewniał, że był porucznikiem gwardyi), i ten zażądał, aby go wysłano na robotę do jego domu, dlatego, rozumie się, aby mógł portret jego zdejmować. Tutaj to A-w zeszedł się z dieńszczykiem Fied'ką, który miał nadzwyczajny wpływ na swego pana, a stąd na wszystkich i na wszystko w ostrogu. A-w szpiegował nas na żądanie majora, a ten, kiedy upiwszy się, bił go po twarzy, to szpiegiem i donosicielem nazywał. Zdarzało się, i to często, że wnet po takiej scenie major sadowił się na krzesło i rozkazywał A-wowi dalej wykańczać portret. Zdaje się, że nasz major naprawdę wierzył, że A-w był znakomitym artystą, bodaj nie Briułowem, o którym i on coś słyszał, pomimo to wszakże przyznawał sobie prawo bić go po twarzy, bo »choć ty teraz taki sam artysta, ale katorżny, a ja, choćbyś ty był nad-Briułow, jestem twój naczelnik, a więc co zechcę, to i zrobię z tobą». I tak kazał A-wowi zdejmować sobie buty, wynosić różne wazy z sypialni, a mimoto nie mógł przez długi czas pozbyć się tej myśli, że A-w jest wielkim artystą. Portret ciągnął się bez końca, rok prawie. Nakoniec major domyślił się, że portret nie zbliża się do końca, a przeciwnie z każdym dniem staje się mniej podobnym do niego, rozgniewał się, obił artystę i zesłał go za karę do ostrogu do robót najgrubszych. A-w widocznie żałował tego, przykro mu było rozstawać się z-próżniaczem życiem, z potrawami podawanymi sobie z majorskiego stołu, z przyjacielem Fiedką i ze wszystkimi przysmakami, które oni sobie we dwóch na majorskiej kuchni przyrządzali.

Z oddaleniem A-wa major przestał przynajmniej przesładować M-kiego, aresztanta Polaka, na którego A-w ciągle wygadywał, a oto z jakiego powodu. M., w chwili przybycia A-wa do ostroga, był sam jeden; było mu bardzo ciężko; nie miał nic wspólnego z innymi aresztantami, patrzył na nich z przestraczem i obrzydzeniem, nie spostrzegał w nich nic, coby mogło w korzystniejszym przedstawić ich światło, i zbli-

żyć go do nich, i nie miał z nimi stosunków. Ci płacili mu zato nienawiścią. Wogóle w ostrogu położenie ludzi, podobnych do M. jest okropne. Dlaczego A-w dostał się do ostroga, o tem M. nie wiedział. Przeciwnie A-w, dowiedziawszy się z kim ma sprawę, natychmiast upewnił go, że jest zesłany za coś, wręcz przeciwnego denuncyacyi, prawie za to, za co i M. był zesłany. M. ogromnie ucieszył się znalazłszy towarzysza, przyjaciela. Chodził koło niego, pocieszał go w pierwszych dniach katorgi, przypuszczając, że on musi wiele cierpieć, oddał mu ostatnie swoje pieniądze, karmił go, podzielił się z nim najniezbędniejszymi rzeczami. Ale A-w natychmiast poczuł ku M. nienawiść, za to mianowicie, że ten był szlachetny, że z takim wstrętem patrzył na każdą niskość, a i za to, że on sam był zupełnie niepodobny do M. I wszystko, co M. w rozmowach z nim swoich powiedział o ostrogu i majorze, wszystko to A-w przy pierwszej zrzęcnosci pospieszył donieść majorowi. Major straszliwie znienawidził za to M-kiego i gnębił go, i gdyby nie wpływ komendanta, doprowadziłby go do nieszczęścia. A-w zaś nietylko nie był zmieszany, gdy potem M. dowiedział się o jego podłości, ale nawet lubił spotykać się z nim i z szyderstwem spoglądać na niego. Sprawiało mu to widoczną przyjemność. Sam M. wskazywał mi to kilka razy. Ta nikczemna istota uciekła potem z innym aresztantem i z konwojowym, ale o tej ucieczce później opowiem. Z początku bardzo się i do mnie podlizywał, myśląc, że nie słyszałem o jego historii. Powtarzam, on mi zatruł pierwsze dni katorgi jeszcze większą boleścią. Przeraziłem się tej otchłani podłości i nikczemności, w którą mnie wtrącono, w której ocknąłem się. Myślałem, że wszystko tu takie podłe i nikczemne. Ale myliłem się: sądziłem o wszystkich po A-wie.

W ciągu tych trzech dni włóczyłem się w ciężkim smutku po ostrogu, leżałem na swoich narach; pewnemu aresztantowi, któremu można było zaufać, a którego mi polecił Akim Akimycz, dałem szyć koszulę z wydanego mi płótna kaziennego, urządziłem sobie, za radą i naleganiem Akim Aki-

mycza, składany materacyk (z wołoku obszytego płótnem), nadzwyczajnie cieniutki, jak blin, i poduszkę, wypchaną sierścią, i dla nieprzyzwyczajonego strasznie szorstką. Akim Akimycz gorliwie się zajmował urządzeniem dla mnie tych wszystkich rzeczy i sam brał w tem urządzeniu udział, własnoręcznie zszył dla mnie kołdrę ze szmat starego sukna kaziennego, zebranego z podartych pantalonów i kurtek, które kupiłem u innych aresztantów. Rządowe rzeczy, po upływie terminu noszenia, pozostawiano na własność aresztantowi; sprzedawały się one natychmiast tuż w ostrogu i rzecz najbardziej znoszona znajdowała nabywcę.

Wszystkiemu temu z początku się dziwiłem. Wogóle był to czas pierwszego mego zetknięcia się z ludem prostym. Ja sam nagle stałem się takim człowiekiem prostym, takim samym katorżnym, jak i oni. Ich zwyczaje, pojęcia i opinie — stały się jakby mojemi, przynajmniej zewnątrz, według prawa, choć ich w rzeczywistości nie podzielałem. Dziwiło mię to i przygnębiało, jak gdybym nie podejrywał przedtem nic podobnego i nie słyszał o tem, pomimo iż wiedziałem i słyszałem. Ale rzeczywistość sprawia zupełnie inne wrażenie, niż to, co się wie tylko, o czem się słyszy. Czy mogłem, na przykład, choć kiedykolwiek przedtem przypuszczać, że takie stare łachmany mogą być uważane za rzeczy? A przecież z tych to starych łachmanów zszyłem sobie kołdrę! Trudno sobie nawet wyobrazić, jakiego gatunku było sukno, przeznaczone na odzież aresztancką. Z pozoru ono w istocie było podobne do grubego sukna żołnierskiego, ale dość je było trochę ponosić, a rozłaziło się niemiłosiernie. Prawda, sukienne ubranie dawano tylko na termin roczny, ale i do tego terminu trudno je było donosić. Aresztant pracuje, dźwiga na sobie ciężary; odzież obciera się i obdziera prędko. Kozuchy zaś wydawano na trzy lata, i w przeciągu tego czasu służyły one zwykle i za odzież, i za kołdrę i za poślanie. Ale kozuchy są mocne, chociaż nie trudno było widzieć na kimś, przy końcu trzeciego roku, to jest terminu noszenia, kozuch z łątą

plócienną. Nie zważając na to, nawet bardzo znoszone kożuchy po upływie naznaczonego dla nich terminu sprzedawały się po czterdzieści kopiejek srebrnych. Niektóre zaś, co się lepiej zachowały, sprzedawano za sześćdziesiąt, a nawet siedmdziesiąt, a w katordze były to już wielkie pieniądze.

Pieniądze — mówiłem już o tem — miały w ostrogu ogromne znaczenie, były potęgą. Stanowczo można twierdzić, że aresztant, który miał w katordze choć trochę pieniędzy, dziesięć razy mniej cierpiał od tego, który nie miał ich wcale, chociaż ten ostatni otrzymywał wszystko od rządu, i po co mu zatem pieniędzy? — jak rozumowała nasza władza więzienna. I znowu powiadam, że gdyby aresztanci pozbawieni byli wszelkiej możności mieć swoje pieniądze, toby albo dostawali obłąkania, albo marli jak muchy (pomimo że mieli wszystkie potrzeby zaopatrzone) albo by puścili się na niesłychane przestępstwa, — jedni z nudy, drudzy — aby co prędzej śmierć ściągnąć na siebie, albo w jakiś sposób »los odmienić« (techniczne wyrażenie). Jeżeli zaś aresztant, zdobywszy krwawym potem swoją kopiejkę, albo też odważając się dla jej zdobycia na niezwykle podstępny, połączone często ze złodziejstwem i oszustwem, zaraz potem trwoni ją niedorzecznie, z dziecinną bezmyślnością, to nie dowodzi to wcale, że on jej nie ceni, chociaż to tak wygląda na pierwszy rzut oka. Na pieniądze aresztant chciwy aż do szaleństwa i jeśli istotnie podczas hulania rzuca je jak trzaski, to rzuca je dla czegoś, co uważa za rzecz jeszcze wyższą o jeden stopień od pieniędzy. Cóż jest dla aresztanta wyższego od pieniędzy? Wolność, lub choćby tylko mara wolności. A aresztanci — wielcy marzyciele. Powiem coś o tem później, tu tylko wspomnę, że widziałem zesłanych »na dwadzieścia lat« do katorgi, którzy bardzo spokojnie i naturalnie mówili do mnie w taki sposób: »a no trzeba poczekać, da Bóg ukończę karę, a wtedy...« Całe znaczenie słowa »aresztant« polega na tem, że to jest człowiek bez woli, a tracąc pieniądze on już działa »według swej woli«. Nie zważając na wszelkie piętna, kaj-

dany i nienawistne pale ostrokołu więziennego, które mu świat boży zasłaniają i ogradzają go, jak zwierza w klatce — może on dostać wódki, to jest surowo zakazanej przyjemności, posmakować jagodowej nalewki, może niekiedy (choć nie zawsze) przekupić swoich najbliższych zwierzchników, inwalidów, a nawet podoficera, którzy przez palce będą patrzali na to, że on narusza prawo i dyscyplinę, może jeszcze w dodatku zucha wobec nich udawać, a zucha udawać aresztant niezmiernie lubi, t. j. lubi pokazać się wobec towarzyszy, i w siebie wmówić »choć na chwilę«, że ma mocy i władzy daleko więcej, niż się zdaje; — jednym słowem może nahulać się, nahałasować, narozbijać, obrazić kogoś najsiłniej, i dowieść mu, że on to wszystko »może«, że to wszystko »w naszej mocy«, to jest wmówić w siebie to, o czem biedakowi i pomysleć trudno. Oto jest może, mówiąc nawiasem, przyczyna, dla której daje się powszechnie spostrzegać w aresztantach, nawet w trzeźwym stanie, skłonność do zuchostwa do chępliwości, do komicznego i naiwnego, choćby tylko urojonego wynoszenia się. A wreszcie w całym tem hulaniu jest pewne ryzyko — a więc ma to wszystko choć dalekie podobieństwo do wolnego życia. A czego nie oddasz za wolność? Jaki milioner, gdyby mu gardło ściśnięto stryczkiem, nie oddałby wszystkich swoich milionów za jeden łyk powietrza?

Dziwią się czasem władze więzienne, że oto jakiś aresztant żył przez kilka lat tak spokojnie, przykładowie, że go nawet dziesiętnikiem zrobiono za chwalebne sprawowanie się, i nagle, ni stąd ni zowąd, — zupełnie jakby go dyabeł opętał — zahulał, nabroił, narozbijał, a niekiedy na ciężkie przestępstwo się odważył; albo na jawne nieuszanowanie dla wyższej władzy, albo zabił kogo, albo zgwałcił i t. p. Patrzą na niego i dziwią się. A tymczasem być może, iż całą przyczyną nagłego wybuchu w tym człowieku, od którego najmniej się można było czegoś podobnego spodziewać, — jest konwulsyjne objawienie się indywidualizmu, instynktowa tęsknota za samym sobą, pragnienie zaakcentowania swej poniżonej oso-

bowości, które nagle się w nim zbudziło i doszło w jednej chwili do gniewu, do szaleństwa, do zaćmienia rozsądku, do konwulsyjnych rzutów. W taki sposób może żywcem pochowany w grobie, przebudziwszy się tam, tłucze w wieko trumny i sili się, by je zrzucić, chociaż rozsądek mógłby go pouczyc, że wszelkie jego usiłowania są nadaremne. Ale w tem rzecz, że tu już niema miejsca dla rozsądku, tylko dla konwulsyi. Weźmy jeszcze na uwagę, że prawie każdy własnowolny objaw osobistości w aresztancie uważa się za przestępstwo; a w takim razie — naturalnie — wszystko mu jedno, czy to większy, czy mały objaw. Hulać — więc już hulać do ostateczności, odważyć się — więc już na wszystko odważyć się, choćby i na zabójstwo. Zresztą dość tylko zacząć: upije się człowiek i nie powstrzymasz go! I dlatego pod każdym względem byłoby lepiej nie doprowadzać do tego. Dla wszystkich byłby stąd większy spokój.

Tak, ale jak to zrobić ?

VI.

Pierwszy miesiąc.

Wstępując do ostrogu, miałem z sobą trochę pieniędzy: na wierzchu było niewiele, z obawy, aby nie odebrano, ale miałem kilka rubli schowanych, to jest zaklejonych w okładce Biblii, którą można było przenosić z sobą do ostrogu. Książkę tę, z zaklejonymi w niej pieniędzmi darowali mi jeszcze w Tobolsku ci, którzy także cierpieli na wygnaniu i to wygnanie liczyli już na dziesiątki lat i którzy w każdym nieszczęśliwym przywykli byli widzieć brata. Jest zawsze w Syberyi kilka osób, które, rzekłbyś, za cel życia swego obrały braterską opiekę nad nieszczęśliwymi i współzucie dla nich, jakby dla własnych dzieci, bezinteresowne, święte. Nie mogę nie wspomnieć tu pokrótce o pewnem spotkaniu. W mieście, gdzie stał nasz ostróg, mieszkała pewna pani, Anastazyja Iwanowna, wdowa. Rozumie się, że nikt z nas podczas siedzenia w ostrogu nie mógł się z nią osobiście zaznajomić. Zdawało się, że za cel życia obrała sobie podawanie pomocy zesłanym do Syberyi, ale najwięcej nami opiekowała się¹⁾. Czy miała ona kogoś w rodzinie podobnie nieszczęśliwego, czy kto inny drogi i bliski jej sercu cierpiał w podobny sposób? dość, że za szczęście sobie miała robić dla nas wszystko, co w mocy

¹⁾ Autor ma tu zapewne na myśli politycznych przestępców.

(Przypisek tłumacza).

jej było. Wiele, naturalnie, zrobić nie mogła, bo była bardzo biedną. Ale my, siedząc w ostrogu, czuliśmy, że mamy za ostrogiem zupełnie nam oddane serce przyjacielskie. Tak na przykład dostarczała nam wiadomości, które nam były bardzo potrzebne. Po wyjściu z ostrogu, zanim wyruszyłem do innego miasta, miałem możność być u niej i poznać ją osobiście. Mieszkała gdzieś na przedmieściu u jednego z bliskich krewnych. Była ni stara, ni młoda, ni ładna, ni brzydka, nie można było nawet poznać, czy rozumna i wykształcona. Ale na każdym kroku widniała w niej nieskończona dobroć, niepokonana chęć zrobienia innym jakiejś przysługi, ulgi, przyjemności. Wszystko to widać było w jej cichych, dobrych oczach. Przepędziłem u niej wraz z jednym towarzyszem z ostrogu prawie cały wieczór. Patrzała nam ciągle w oczy, śmiała się, gdyśmy się śmiali i z pospiechem zgadzała się na wszystko, cokolwiek rzekliśmy. Przyjmowała nas czem mogła; podano herbatę, zakąskę, jakieś słodycze i zdaje się, że gdyby miała tysiące, to cieszyłaby się z nich tylko dlatego, że mogłaby lepiej nas ugościć i przynieść ulgę towarzyszom naszym, którzy zostali w ostrogu. Żegnając się z nami, wyniosła nam po cygarniczce na pamiątkę. Te cygarniczki sama skleiała dla nas z kartonu (już jak były sklezione, to Bóg raczy wiedzieć), okleiła je kolorowym papierem, zupełnie takim, z jakiego robią się okładki do arytmetyk elementarnych (może też jaka arytmetyka poszła na to oklejenie), dokoła zaś cygarniczki obrzeżone były bordiurkami ze złotego papieru, po który umyślnie chodziła do sklepu. »Palicie papierosy, więc może wam się to przyda«, powiedziała, jak gdyby usprawiedliwiając się nieśmiało, że z takim podarkiem występuje... Mówią niektórzy (słyszałem o tem i czytałem), że największa miłość ku bliźniemu jest zarazem najwyższym egoizmem; ale w czem tutaj był egoizm, doprawdy, niewiem.

Pomimo, iż wstępując do ostroga miałem z sobą niewiele pieniędzy, nie mogłem jakoś z początku naprawdę gniewać się na tych katorżników, którzy już w pierwszych chwi-

lach mego życia więziennego raz mię oszukawszy, najnaiwniej przychodzili do mnie potem — po raz drugi, trzeci, a nawet i piąty — pożyczać pieniędzy. Ale do jednej rzeczy przyznaję się otwarcie: bardzo mi było przykro, że wszyscy oni ze swoją naiwną chytrą musiali mię niewątpliwie uważać — jak mi się zdawało — za głupca i niedoświadczonego, i śmiać się ze mnie, właśnie dlatego, że po raz piąty dawałem im pieniądze. Im naturalnie musiało zdawać się, że idę na lep ich oszustwa i przebiegłości, i jestem pewny, że nierównie wyżej zaczęliby mnie cenić, gdybym im odmawiał i odpędzał ich od siebie. Ale jakkolwiek mię to gniewało, odmówić przecież nie mogłem. Zły zaś byłem dlatego, że w tych pierwszych dniach głęboko i poważnie rozmyślałem nad tem, jakie stanowisko mam zająć w ostrogu, albo raczej na jakiej stopie mam żyć z nimi. Czułem to i rozumiałem, że cała ta sfera jest mi zupełnie obcą, że stąпам po ciemku, i że przez tyle lat nie można żyć po ciemku. Potrzeba było przygotować się. Naturalnie, postanowiłem przedewszystkiem postępować drogą prostą, tak, jak wewnętrzne uczucie i sumienie nakazują. Ale wiedziałem także, że to tylko aforyzm, a tu niebawem stanąć może przedemną najbardziej niespodziewana praktyka.

Dlatego też, pomimo wszelkich drobiazgowych zabiegów około urzędzenia się w kazarmie, o których już wspominałem, a w które wciągał mię w szczególności Akim Akimycz, pomimo, iż one mię nieco rozrywały, straszliwy, gryzący smutek dręczył mię coraz silniej. »Martwy dom!« mawiałem sam do siebie, przypatrując się niekiedy o zmroku z ganku naszej kazarmy aresztantom, którzy już poschodzili się z robót i leniwie włóczyli się po dziedzińcu ostroga, z koszar do kuchen i odwrotnie. Przypatrywałem się im, i z ich twarzy i ruchów starałem się odgadnąć, co to za ludzie, co za charaktery. Chodzili tędy i owędy przedemną, z pochmurnemi czołami, albo znów nadzwyczaj weseli (te dwa typy najczęściej się spotykają i stanowią ogólną charakterystykę katoggi), łajali się lub tylko zwyczajnie rozmawiali, albo też wreszcie przechadzali

się w pojedynkę, jakby zamyśleni, wolnym, płynnym krokiem, niektórzy z wyrazem zmęczenia i apatyi, inni (nawet i tutaj!) z arogancją, z czapką na bakier, w kożuchu narzuconym na ramiona, z zuchwałem, złośliwym spojrzeniem i bezczelnie drwiącym uśmiechem. Oto jest — myślałem sobie — moja sfera, mój świat terazniejszy, z którym, chcę czy nie chcę, żyć muszę...

Próbowałem wywiadywać się o nich od Akima Akimycza, z którym lubiłem bardzo pić razem herbatę, żeby nie pić samotnie. Nawiasem mówiąc, herbata w początkach kaźni była prawie jedynym mojem pożywieniem. Akim Akimycz nie wymawiał się od herbaty, i sam nastawiał nasz mały, zabawny, domowej roboty samowarek z blachy, którego mi Mirecki¹⁾ na czas jakiś pożyczył. Akim Akimycz wypijał zwyczajnie jedną szklankę herbaty (miał on i szklanki), wypijał w milczeniu, przyzwocie, zwracając szklankę dziękował za herbatę i natychmiast zabierał się do sporządzania kołdry dla mnie. Ale tego, co chciałem wiedzieć, nie mógł mi udzielić i nawet nie rozumiał, dlaczego mię tak obchodzą charaktery otaczających nas, najbliższych z otoczenia katorżników, a nawet słuchał pytań moich z jakimś przebiegłym uśmieszkiem, który dobrze zapamiętałem. Nie, widocznie trzeba samemu badać i doświadczać, a nie rozpytywać się — pomyślałem sobie.

¹⁾ *Uwaga tłumacza.* Dostojewski ze względów łatwo zrozumiałych nie podawał całych nazwisk Polaków, swoich towarzyszy, a ozna-
czał je tylko pierwszymi literami, z dodaniem czasami końcówek. Dru-
kowane niedawno (1896 r.) w odcinku *Nowej Reformy* »Wspomnienia
Sybiraka« (Pamiętniki Józefa Bogusławskiego) pozwalają szczęśliwym
trafem podać ważniejsze nazwiska w całości. Otóż pod literą Ż. ukrywa
się profesor Żochowski, pod T. — Józef Tokarzewski, pod M. — Ale-
ksander Mirecki, wreszcie pod B. sam autor »Wspomnień Sybiraka«,
Józef Bogusławski, który w roku 1848 wysłany był z Wilna do robót
przymusowych na Syberji. Porównanie jednych wspomnień z drugimi,
a przedewszystkiem porównanie tego, jak się odzywa Dostojewski o Bo-
gusławskim, a jak Bogusławski o Dostojewskim, byłoby rzeczą bardzo
ciekawą, ale w krótkim przypisie nie da się należyście wykonać.

Czwartego dnia, tak samo, jak wtedy, kiedy przekuwano mi kajdany, aresztanci wczesnym rankiem uszykowali się na placu przed kordegardą u bramy więziennej. Przed nimi — twarzą do nich — i za nimi stanęli żołnierze z nabitą bronią i zatkniętymi bagnietami. Żołnierz ma prawo strzelać do aresztanta, gdy spostrzeże, że ten chce uciekać od niego, ale jednocześnie i odpowiada za swój wystrzał, jeżeli nie w razie ostatecznej potrzeby strzelił; tak samo też i podczas jawnego buntu katorżników. Ale któżby zamierzał uciekać jawnie? Przybył oficer inżynierii, konduktor, a także podoficerowie inżynierii i żołnierze, którzy byli dozorcami robót. Nastąpiło imienne wywoływanie; część aresztantów, ci, którzy chodzili do szwalni, ruszyła z miejsca przed innymi; władze inżynierskie nie miały z nimi nic do czynienia; pracowali oni właściwie dla ostrogu i obszywali go. Potem ruszyli ci, co się udawali do warsztatów, potem ci, co szli na zwykłą grubą robotę. Ruszyłem i ja w gromadzie dwudziestu aresztantów. Za twierdzą na zmarzniętej rzece były dwie rządowe barki, które, jako już nie do użycia, trzeba było rozebrać, ażeby przynajmniej stare drzewo obrócić na jakiś użytek. Zdaje się zresztą, że ten stary materiał bardzo mało miał wartości, prawie żadnej. Drwa w mieście sprzedawano za bezcen, a kocioła lasy były ogromne. Posyłano na tę robotę prawie tylko dlatego, ażeby nie dać siedzieć aresztantom z założonemi rękami, co sami aresztanci dobrze rozumieli. Do takiej roboty zabierali się zwykle powoli i apatycznie, zupełnie inaczej, niż kiedy robota bywała sama przez się warta czegoś, szczególnie, gdy można ją było wyprosić sobie na sztuki. Wtedy, rzekłbyś, ogarniał ich zapał i choć nie mieli stąd żadnego zysku, widziałem przecież, że wybijali się z siłą, ażeby ukończyć robotę jak najprędzej i jak najlepiej; nawet ich miłość własna była w grę wciągnięta. W obecnej zaś robocie, którą dawano więcej dla zajęcia czasu, niż z potrzeby, nie można było mieć zadanej na dzień pracy i trzeba było pracować wciąż do uderzenia w bęben, które o 11. rano wzywało aresztantów do powrotu.

Dzień był ciepły i mglisty; śnieg omal nie tajał. Cała gromadka nasza poszła za twierdzą na brzeg, z lekka pobrzękując łańcuchami, które chociaż ukryte pod odzieżą, za każdym stąpieniem wydawały cienki i wyraźny dźwięk metaliczny. Dwóch, trzech ludzi oddzieliło się od gromady, ażeby pójść do zbrojowni po instrument potrzebny. Ja szedłem z innymi i nawet ożywiłem się trochę; chciało mi się co prędzej zobaczyć robotę i poznać, co to jest ta katorżna robota? I jak to ja sam będę pierwszy raz w życiu pracował rękami?

Pamiętam wszystko do najmniejszego szczegółu. Na drodze spotkał nas jakiś mieszczanin z bródką, zatrzymał się i sięgnął ręką w kieszeń. Z gromadki naszej natychmiast wystąpił jeden aresztant, zdjął czapkę, przyjął jałmużnę — pięć kopiejek — i rażno wrócił do swoich. Mieszczanin przeżegnał się i poszedł swoją drogą. Za te pięć kopiejek tegoż rana kupiono kołaczy i podzielono w równych częściach między całą partyę.

W tej gromadce aresztantów jedni byli, jak zwykle, ponurzy i nierozmowni, drudzy obojętni i apatyczni, inni leniwie gawędzili z sobą. Jeden był nadzwyczaj rad z czegoś i wesół, śpiewał i omal nie tańcował w drodze, pobrzękując za każdym skokiem kajdanami. Był to ten sam niewysoki i przysadzisty aresztant, który w pierwszy ranek mojego życia w ostrogu, pokłócił się z drugim podczas umywania się, z powodu, że ten drugi śmiał utrzymywać niedorzecznie, iż jest ptakiem, który się nazywa kagan. Zwano tego rozweselonego parobka Skuratow. Nakoniec zaśpiewał jakąś żwawą piosnkę, której przyspiew zapamiętałem:

Ożeniono mnie bezemnie,
Gdy we młynie byłem.

Brakowało tylko bałałajki.

To niezwykle wesołe usposobienie Skuratowa zaraz naturalnie wywołało oburzenie w niektórych z naszej partyi, przyjęte było prawie za obrazę.

— Zawył! — ze zgorzeniem powiedział jakiś aresztant, do którego zresztą pieśń się wcale nie stosowała.

— Jedną pieśń umiał wilk śpiewać i tę przejął od niego tulak! — zrobił uwagę jeden z ponurych aresztantów, z *chochłacką* wymową¹⁾.

— Dajmy na to, żem z Tuły — odpowiedział niezwłocznie Skuratow — a wy w waszej Połtawie kluską udławiście się.

— Łżyj! A sam coś jadał? Łapciem kapuśniak chlipał!

— A teraz jaki wypasiony — dodał trzeci.

— Ja, bracia, naprawdę człowiek rozpieszczony — odpowiedział z lekkim westchnieniem Skuratow, jak gdyby żałując swego rozpieszczenia i zwracając się w ogóle do wszystkich, ale do nikogo w szczególności — z maleństwa samego na suszonych śliwkach i na pampuszkach wyhodowany (t. j. wychodowany. Skuratow umyślnie przekręcał słowa), rodzice zaś, bracia moi, i teraz jeszcze w Moskwie sklep swój mają, w przechodnim rzędzie wiatrem handlują, kupcy majątek robiący.

— A tyś czem handlował?

— A w różnych gatunkach i ja próbowałem. Otóż to wtedy, bracia, dostałem pierwsze dwieście...

— Czyżby dwieście rubli! — podchwycił jakiś ciekawiec, aż drgnąwszy na wzmiankę o tak wielkiej sumie.

— Nie, mój kochanku, nie rubli, ale pałek. Łukasz hej, Łukasz!

— Dla kogo Łukasz, a dla ciebie Łukasz Kuźmicz — z niechęcią odezwał się mały i cieniutki aresztant z ostrym noskiem.

— No, Łukasz Kuźmicz; czart cię bierz, niech i tak będzie.

— Dla kogo Łukasz Kuźmicz, a dla ciebie *diadiuszka*.

— No czart cię weź wraz z *diadiuszką*, nie warto i mówić. A coś dobrego chciałem powiedzieć. Otóż, bracia,

¹⁾ *Chochłami* nazywają Rosyanie Małorusinów.

jako się zdarzyło, że nie długo pobywałem w Moskwie; dano piętnaście knucików i wyprawiono precz. Wtedy ja...

— Ale za cóż wyprawili?... — przerwał ktoś uważnie śledzący za opowiadaniem.

— A nie chodź do kwarantany, nie pij szpuntów, nie graj na balandrasie; tak, że nie zdołałem, bracia, należycie wzbogacić się w Moskwie. A bardzo, bardzo chciało mi się zostać bogatym. Tak mi się tego chciało, że nie umiem nawet powiedzieć.

Wielu się roześmiało, Skuratow był widocznie jednym z dobrowolnych żartownisiów albo raczej błaznów, którzy mieli sobie jakby za obowiązek rozweselać swoich ponurych towarzyszy i naturalnie, nic innego prócz połajanki nie otrzymywali za to. Należał on do odrębnego i godnego uwagi typu, o którym wypadnie mi może jeszcze coś powiedzieć.

— A ciebie i teraz zamiast sobola zabić można — rzucił uwagę Łukasz Kuźmicz. — Patrz go, samego ubrania na sto rubli będzie.

Skuratow miał na sobie niezmiernie starą i wynoszoną kożuszykę, na której ze wszystkich stron sterczały łaty. Na uwagę Łukasza dość obojętnie, ale uważnie obejrzał ją od góry do dołu.

— Głowa za to, bracia, wiele warta, głowa! — odpowiedział. — Kiedym się z Moskwą żegnał, tem się tylko pocieszałem, że i głowa razem ze mną pójdzie. Żegnaj, Moskwo, Bóg zapłać za łaźnię, za wolny duch, sławnie oćwiczyl! A na kożuch nie masz co patrzeć, kochanku...

— Niby to mam patrzeć na twoją głowę?

— A i głowę to on ma nie swoją, a podarowaną — znowu wmięszął się tu Łukasz. — Dali mu ją w Tiumeniu jako jałmużnę, kiedy z partją przechodził.

— Cóż ty, Skuratow, miałeś pewno jakie rzemiosło?

— Jakie tam rzemiosło? Powodyrem był, ślepców wodził — powiedział jeden z zachmurzonych — oto i całe jego rzemiosło.

— Ja rzeczywiście próbowałem szyć buty — odpowiedział Skuratow, zupełnie nie zwracając uwagi na ostatnie słowa. — Ale wszystkiego jedną parę uszyłem.

— Cóż, kupowali?

— A znalazł się taki, co widać Boga się nie bał, ojca — matki nie szanował; skarał go też Pan Bóg — kupił.

Wszyscy dokoła Skuratowa zatoczyli się od śmiechu.

— A potem jeszcze raz robiłem, już tutaj — ciągnął najobjętniejszym tonem Skuratow. — Stefanowi Fiedoryczowi Pomorcewowi, porucznikowi, przodki wstawiałem.

— Cóż, kontent był?

— Nie, bracia, nie kontent. Do stu tysięcy djabłów mię odprawił i jeszcze kolanem z tyłu popychał. Bardzo się rozgniewał. Ech skłamało mi życie, skłamało katorżne!

Poczekawszy jeszcze chwilkę,
Wyjrzał Ak-kuliny mąż...

Niespodziewanie wybuchnął śpiewem i zaczął skakać przytupując w takt nogami.

— Uch! poczwara prawdziwa! — mruknął idący obok mnie Małorusin, z gniewną pogardą spojrzawszy nań z ukosa.

— Nieużyteczny człowiek! zauważył drugi poważnym i stanowczym tonem.

Nie mogłem ani trochę zrozumieć, dlaczego gniewają się na Skuratowa i dlaczego wogóle wszyscy weseli, jak już zdołałem zauważyć przez pierwsze dni pobytu w ostrogu, ściągają na siebie pogardę. Gniew Małorusina i innych tłumaczyłem osobistymi powodami. Ale myliłem się, ten gniew nie wpływał z osobistych pobudek; gniewano się na Skuratowa o to, że nie umiał się trzymać, jak należało według ich opinii, że nie zachowywał nadętych pozorów poczucia godności własnej, które w całej katordze rozwinięte było do pedanteryi, że jednym słowem był, jak się wyrażano »nieużytecznym człowiekiem«. Jednakże nie na wszystkich wesółych tak się dąsano i nie wszystkich tak traktowano, jak

Skuratowa i innych, do niego podobnych. Zależało to od tego, jak kto pozwalał obchodzić się z sobą: człowiek dobronuduszy i bez pretensyi natychmiast popadał w pogardę. To mię aż uderzyło. Ale byli i tacy weseli, którzy umieli i lubili odgryźć się i nikomu nie pozwalali dmuchać sobie w kaszę: takich musiano szanować. W gromadce, o której teraz mówię, był jeden z takich zębatych, w gruncie niezmiernie wesoły i miły człowiek, którego dopiero później z tej strony poznałem, chłop rosły i pokaźny, z wielką brodawką na szczęcie i z najkomiczniejszym wyrazem twarzy, dość zresztą przystojnej i pojętnej. Nazywano go pionierem dlatego, że kiedyś służył w pionierach; teraz był w osobnym oddziale. O nim jeszcze wypadnie mi mówić.

Zresztą i nie wszyscy »poważni« byli tak wywnętrzający się, jak zgorszony wesołością Małorusin. W katordze było kilku ludzi, z pretensyami do pierwszeństwa, do znajomości każdej roboty, do pomysłowości, do charakteru i rozumu. Było między nimi rzeczywiście wielu rozumnych, z charakterem, i rzeczywiście osiągnęli to, do czego zmierzali, to jest pierwszeństwo i znaczny moralny wpływ na swoich towarzyszy. Względem siebie zwykle ci mądrale wrogo byli usposobieni i każdy z nich miał wielu zawistnych. Na innych aresztantów spoglądali z godnością a nawet z pobłażaniem, niepotrzebnych kłótni nie wszczynali, u władz byli dobrze notowani, na robotach odgrywali rolę kierowników i żaden z nich nie czepiałby się o bagatele, n. p. o pieśni; byłoby to poniżej ich godności. Ze mną wszyscy tacy byli bardzo grzeczni, przez cały czas katorgi, choć niezbyt skłonni do rozmowy, także jak gdyby z poczucia godności. O nich wypadnie mi również pomówić obszerniej.

Przyszliśmy na brzeg rzeki. W dole, na rzece stała w zamarzniętej wodzie stara barka, którą trzeba było rozrywać. Po drugiej stronie rzeki siniał step; widok był posępny i pustynny. Sądziłem, że wnet rzucą się wszyscy do roboty, ale o tem ani myślano. Niektórzy rozsiedli się na

rzucanych na brzegu kłodach; prawie wszyscy wyciągnęli z cholew woreczki z miejscowym tytoniem, który sprzedawano w liściach na bazarze po trzy kopiejki za funt, i krótkie wierzbowe cybuszki z małemi drewnianemi fajeczkami domowej roboty. Zapalono fajki. Konwojowi żołnierze rozciągnęli się dokoła nas łańcuchem i zaczęli nas pilnować z mimami niezmiernie znudzonemi.

— I komu przyszło na myśl rozrywać tę barękę? — przemówił któryś jakby do siebie, nie zwracając się do nikogo. Trzasek się zachciało, czy co?

— A kto się nas nie boi, temu i przyszło na myśl, zrobił uwagę drugi.

— Gdzie to chłopstwo się sunie? — po pewnem milczeniu zapytał pierwszy, — nie zwracając uwagi na otrzymaną na poprzednie pytanie odpowiedź i wskazując w dali gromadę chłopów, brnących kędyś gęsiego po nietkniętym śniegu. Wszyscy ludzie zwrócili się w tę stronę i nie mając nic lepszego do roboty, zaczęli ich przedrwiwać. Jeden z chłopków, ostatni, szedł jakoś dziwnie śmiesznie, rozstawiwszy ręce i zwiesiwszy na bok głowę, na której była długa czapka chłopska, jak hreczuszek. Cała postać jego jasno i wyraziście odznaczała się na białym śniegu.

— Widzisz go, bratan Piotrowicz, jak się przystroił! — rzucił uwagę jeden z arestantów, przedrzeźniając wymowę chłopską. — Rzecz godna uwagi, że arestanci wogóle nieco z wysoka spoglądali na chłopów, pomimo, iż przynajmniej połowa ich z ludu wiejskiego pochodziła.

— Ten z tyłu, dziatki, chodzi, jakby rzepę sadił.

— To ciężkogłów, ma nadzwyczaj dużo pieniędzy — zauważył trzeci.

Zaśmiali się wszyscy, ale trochę leniwie, jakby od niechcienia. Tymczasem podeszła »kałasznica«, dzielna i rezolutna kobiecinka.

Wzięto u niej kołaczy za otrzymanych pięć kopiejek jałmużny i podzielono na równe części.

Młody parobek, który kupczył w ostrogu kołaczami, zabrał dwa dziesiątki i zaczął się mocno spierać, chcąc wytargować trzy zamiast dwóch kołaczy, jak to bywało w zwykłym porządku. Ale kałasznica nie zgadzała się.

— No, a tamtego nie dasz ?

— A czego ci jeszcze ?

— Tego, czego myszy nie jedzą.

— A bodaj cię choroba powaliła ! — krzyknęła kobieta i zaśmiała się.

Nakoniec zjawił się i dozorca robót, podoficer, z pałeczką.

— Ej, co się rozsiedli ! Zaczynać !

— A cóż, Iwanie Matwieiczu, zadajcie robotę — odezwał się jeden z »dowodzących«, powoli podnosząc się z miejsca.

— Czemużście przed chwilą przy rozesłaniu nie pytali ? Barkę rozerwij, oto i zadana robota.

Jakoś się wreszcie podnieśli i spuścili ku rzece, ledwie posuwając nogami. W tłumie znaleźli się zaraz i »zarządzający«, przynajmniej na języku. Okazało się, że barki nie należało rąbać na chybi-trafi, ale o ile można zachować w całości belki, szczególnie poprzeczne, przybite do spodu barki w całej swej długości drewnianymi gwoździami — robota długa i żmudna.

— Ot trzebaby najsamprzód oderwać tę beleczkę. Do roboty dzieci — odezwał się jeden z aresztantów, wcale nie przywódca i nie burmistrzujący, ale prosty robotnik, niemożny i cichy, który dotychczas miczał. Zgiąwszy się, objął rękami gruby belek, oczekując na pomocników ; ale nikt mu nie pomógł.

— Aha ! podejmiesz, jak raz ! I ty nie podejmiesz i twój dziad niedźwiedź niech tu przyjdzie — i ten nie podejmie — zamruczał ktoś przez zęby.

— A więc jakżeż to, bracia, zacząć. Doprawdy, nie wiem... — powiedział zakłopotany ochotnik, odjawszy ręce od belki i podnosząc się.

— Całej roboty nie przerobisz... po co leziesz naprzód ?

— Do trzech nie umie liczyć, a tu pierwszy się sunie... Gorąco kapany!

— Ja, bracia, nic, bynajmniej -- wymawiał się zakłopotany: — ja tak tylko.

— Cóż? czy mam na was pokrowce ponakładać, czy co? A może się każecie posolić na zimę? — krzyknął ponownie dozorca, z zakłopotaniem spoglądając na dwudziestogłową gromadę, nie umiejącą wziąć się do roboty. — Zaczynać! Prędkiej!

— Prędkiego prędkiej nie zrobić, Iwanie Matwieiczu!

— A ty i tak nic nie robisz; hej Sawieliew! *Razgawor* Pietrowicz! Do ciebie mówię: dlaczego stoisz, czy sprzedajesz!... Zaczynać!

— A cóż ja sam poradzę?...

— Zadajcież nam dzienną robotę, Iwanie Matwieiczu.

— Powiedziano, nie będzie zadanej roboty. Rozerwij barkę i idź do domu. Zaczynać!

Zabrali się nakoniec, ale niechętnie, leniwie, niezręcznie. Aż przykro było patrzeć na tę sporą gromadę tęgich robotników, którzy, zdawało się, nie mieli nawet wyobrażenia, jak się wziąć do rzeczy. Zaledwie zaczęli wyjmować pierwsze, najmniejsze bierwiono, kiedy okazało się, że ono się łamie, »samo się łamie«, jak oświadczone usprawiedliwiają się dozorczy; a zatem w taki sposób nie można rozrywać barki, trzeba było robić jakoś inaczej. Wszczęły się długie rozprawy wśród aresztantów, jak robić inaczej. Naturalnie, powoli doszło do obelg i groziło jeszcze coś gorszego... Dozorca znów zakrzyknął i zamachał pałeczką, ale belka znów się złamała. Okazało się w końcu, że za mało jest toporów, i że potrzeba jeszcze przynieść jakieś narzędzie. Natychmiast wysłano pod konwojem dwu parobków do fortecy po narzędzie, wszyscy zaś inni w oczekiwaniu powrotu tamtych usiedli najspokojniej na barce i znów wyjęli swoje lulki i zakurzyli.

Dozorca nakoniec plunął.

— No, od was robota nie zapłacze! Ech naród, naród! — zawarczał gniewnie, machnął ręką i poszedł do fortecy, pomachując laseczką.

W godzinę potem przyszedł konduktor. Spokojnie wysłuchawszy aresztantów, powiedział, że na dzisiejszy dzień zadaje wyjęcie czterech jeszcze bierwion, ale tak, żeby się nie złamały, prócz tego wyznaczył do rozebrania znaczną część barki, poczem wszyscy mogli wracać do domu. Robota zadana była wielką, ale, mój Boże! jak się do niej wzięto! Gdzie się podziało lenistwo, gdzie nieporadność! Zastukały topory, zaczęto wyciągać drewniane gwoździe. Inni podkładali grube drągi i pręc na nie dwudziestu ramionami, dzielnie i z ręcznie odrywali bierwiona, które ku wielkiemu zdziwieniu memu odrywały się teraz całe i nie popsute. Robota kipiała. Zdawało się, że wszyscy naraz zmądrzeli. Ani słów zbyt-czynnych, ani łajania, każdy wiedział, co powiedzieć, co zrobić, gdzie stanąć, co poradzić. Równo pół godziny przed uderzeniem w bęben zadana robota była skończoną i aresztanci poszli do domu zmęczeni, ale zupełnie zadowoleni, choć wygrali tylko pół godziny czasu. Ale w stosunku ich do mnie zauważyłem jeden rys szczególny: gdziekolwiek się przytknąłem, aby pomagać im w robocie, wszędzie byłem nie na miejscu, wszędzie zawadzałem, zewsząd mnie, omal nie z łajaniem, odpędzano.

Ostatni nawet oberwaniec, który sam był najlichszym robotnikiem i wobec innych katorżników, dzielniejszych i rozumniejszych od siebie, nie śmiał jednego słowa bąknąć, i taki, gdy stawałem koło niego, czuł się w prawie krzyknąć na mnie pod pozorem, że mu przeszkadzam. Nakoniec jeden z dzielnych robotników wprost po grubiańsku powiedział do mnie? »gdzie lezicie? pójdźcie precz! Po co włązić tam, gdzie nie wzywają.«

— Dostał się w matnię! — dorzucił natychmiast drugi.

— A ty lepiej weź kubek — powiedział do mnie trzeci — i zbieraj składkę na szpitalną budowę; tu nie masz co robić

— Musiałem odejść od pracujących i stanąć opodal, choć miałem skrupuł stać tak bez roboty, kiedy wszyscy pracowali. Ale ledwiem odszedł i stanął przy końcu barki, natychmiast zakrzyczeli: »Oto jakich nadawano robotników; czegoż z takimi dokazać można? Niczego nie dokazesz!«

Wszystko to naturalnie mówiło się umyślnie, ponieważ wszystkim to sprawiało przyjemność. Trzeba było pokazać swoją wyższość nad byłym paniczem i naturalnie wszyscy byli radzi ze sposobności, która się nastąpiła.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego, jak już przedtem mówiłem, pierwszym pytaniem, które sobie zadałem wstępując do ostrogu, było: jak postępować, jak się postawić względem tych ludzi? Przeczuwałem, że nieraz będę miał takie starcia z nimi, jak teraz na robocie. Ale pomimo wszelkich starć, postanowiłem nie zmieniać planu postępowania, już po części obmyślanego wtedy przezemnie; wiedziałem, że jest dobry. Postanowiłem mianowicie postępować z nimi jak najprościej i jak najniezależniej, bynajmniej nie okazywać szczególnych starań zbliżenia się ku nim, ale i nie odtrącać ich, jeżeli sami zapragną zbliżenia. Nie lękać się wcale ich pogroźek i nienawiści, i o ile można mieć taki pozór, jak gdybym nie spostrzegał tego. W pewnych punktach nie zbliżać się ku nim wcale i nie przytakiwać pewnym ich nałogom i zwyczajom, jednym słowem nie narzucać się im na bezwzględnego towarzysza. Odgadłem z pierwszego wejrzenia, że oni pierwsi wzgardziliby mną za to. Jednakże według ich pojęć (dowiedziałem się później o tem na pewno) w każdym razie powinienem był przykładać wobec nich wagę do mego szlacheckiego pochodzenia, to jest pieścić się, uchylać się od ciężkiej pracy, okazywać swoją wyższość, pomiatać nimi, nadymać się na każdym kroku. Takim podług ich wyobrażenia powinien być szlachcic. Rozumie się, że łajaliby mię za to, ale w duszy poważaliby mię. Ale taka rola była nie dla mnie; nigdy nie byłem szlachcicem według ich pojęć; za to dałem sobie słowo żadnem ustępstwem nie poniżyć wobec nich ani mego wy-

chowania, ani sposobu myślenia. Gdybym zaczął im pochlebiać, zdadzać się z nimi, żyć za panbrat, naśladować ich w różnych »przymiotach«, ażeby zjednać sobie ich względy, natychmiastby pomysłeli sobie, że robię to ze strachu, z tchórzostwa, i traktowałiby mię z pogardą. A-w nie mógł służyć za dowód przeciwny; chodził bowiem do majora i aresztanci bali się jego. Z drugiej strony nie chciałem zamykać się przed nimi w chłodnej i nieprzystępnej grzeczności, jak to czynili Polacy. Bardzo dobrze wiedziałem teraz, że aresztanci pogardzają mną dlatego, że chciałem pracować, jak oni, że nie pieściłem się i nie okazywałem wobec nich wyższości; i chociaż miałem głębokie przekonanie, że potem muszą zmienić swój sąd o mnie, przecież ta myśl, że teraz mają niejako prawo gardzić mną, myśląc, że na robocie starałem się im przypodobać — ta myśl mocno mię dręczyła.

Kiedy wieczorem, po ukończeniu poobiedniej roboty, wróciłem do ostrogu, znużony i zmęczony, straszny znów ciężar smutku przygniótł mi duszę. »Ile tysięcy jeszcze takich dni przedemną — myślałem sobie — ciągle takich samych, ciągle jednakowych!« Mileząc, już o zmroku, wałęsałem się sam jeden za kazarmami, pod ostrokołem i nagle spostrzegłem naszego Szaryka, biegnącego wprost ku mnie. Szaryk był naszym psem więziennym, tak, jak bywają psy rotowe, batoryjne i szwadronowe. Przebywał w ostrogu od niepamiętnych czasów, do nikogo nie należał, wszystkich uważał za gospodarzy i żywił się resztkami z kuchni. Był to dość duży pies podwórzowy, czarny z białymi plamami, niebardzo stary, z rozumnymi oczami i puszystym ogonem. Nikt go nigdy nie głaskał, nikt nigdy nie zwracał na niego uwagi. Zaraz pierwszego dnia pogłaskałem go i dałem mu z rąk kawałek chleba. Kiedym go głaskał, stał spokojnie, patrzył mile w oczy i na znak zadowolenia machał ogonem. Teraz nie widząc mię długo, mnie, pierwszego, któremu w przeciągu kilku lat przyszło na myśl popieścić go, biegał i odszukiwał mię między wszystkimi, a ujrawszy za kazarmami, z wyciem rzucił się

ku mnie. Już nie wiem, co się ze mną stało, ale chwycił go, całował, objął za głowę; on wskoczył mi przednimi łapami na plecy i zaczął mi twarz lizać. »Oto i przyjaciel, którego los mi posyła!« — pomyślałem sobie i każdego razu potem, w te pierwsze ciężkie i ponure czasy, gdy wracałem z roboty, szedłem naprzód za kazarmy ze skaczącym przedemną i skomlącym z radości Szarykiem, chwytalem go za głowę i całowałem, całowałem ją. Jakieś słodkie, ale zarazem męcząco-gorżkie uczucie ścisnęło mi serce. I pamiętam, że przyjemnie mi było pomyśleć, jakby chwaląc się przed sobą swoją męką, że oto na całym świecie pozostała mi jedna tylko istota, kochająca mię, do mnie przywiązana, mój przyjaciel, mój jedyny przyjaciel, mój wierny pies Szaryk.

VII.

Nowe znajomości. Pietrow.

Ale czas płynął i powoli zaczynałem przyzwyczajać się. Z każdym dniem coraz mniej mię trapiły powszednie zjawiska mego nowego życia. Zdarzenia, otoczenie, ludzie — ze wszystkim tem oswajały się oczy. Pogodzić się z tem życiem było niepodobieństwem, ale dawno już czas był uznać je za fakt spełniony. Wszelkie wątpliwości, jakie jeszcze zostały we mnie, zataiłem wewnątrz siebie, jak można najgłębiej. Jużem się nie włóczył po ostrogu, jak błędny, i ze smutkiem swoim nie wydawałem się. Oczy katorżnych już nie tak często z dziką ciekawością zatrzymywały się na mnie, nie śledziły za mną z taką umyślną bezczelnością. Widać było, że i oni oswajali się ze mną, z czego byłem rad bardzo. Po ostrogu przechadzałem się już, jak u siebie w domu, znałem swoje miejsce na narach, i nawet, pozornie, przywykałem do takich rzeczy, do których sądziłem, że nigdy w życiu nie przywyknę. Regularnie każdego tygodnia dawałem golić sobie połowę głowy.

Co sobota w czas wolny wywoływano nas w tym celu kolejno z ostroga do kordegardy, (kto się nie ogolił, sam odpowiadał za siebie) i tam cyrulicy z batalionów mydlili nam chłodnem mydłem głowy i skrobali tak tępemi brzytwami, że jeszcze teraz dreszcz uczuвам na wspomnienie tej tortury. Zresztą prędko się znalazł środek na to: Akim Aki-mycz wskazał mi pewnego aresztanta z wojskowego oddziału,

który za kopiejkę golił każdego własną brzytwą i uważał to za swoje rzemiosło. Wielu katorżników chodziło do niego, żeby uniknąć kaziennych cyrulików, a przecież nie byli to ludzie wydelikaceni. Naszego aresztanta-cyrulika nazywano majorem, dlaczego? — nie wiem, i czem on mógł przypominać majora, również nie umiem powiedzieć. Teraz, gdy to piszę, staje mi w wyobraźni ten major, chłop wysoki, chudy i milczący, dosyć głupkowaty, wiecznie zatopiony w swoim zajęciu i zawsze z paskiem rzemiennym w rękę, na którym dniem i nocą ostrzył swoją niesłychanie zjedzoną już brzytwę; zdawało się, że cały pograżał się w swem zajęciu, i że widział w niem powołanie całego życia swego. W istocie był niezmiernie rad, kiedy brzytwa była dobrą i kiedy ktoś przyszedł do niego golić się: mydło miał ciepłe, rękę lekką, golenie aksamitne. Widać było, że rozkoszował się i pysznił swoją sztuką i niedbale przyjmował zarobioną kopiejkę, jak gdyby mu w istocie chodziło o sztukę, nie o zapłatę. Porządnie oberwał od naszego plac-majora A-w, gdy donosząc mu na ostróg, wspomniał naszego więziennego cyrulika i nazwał go majorem. Plac-major rozszrożył się, obrażony do najwyższego stopnia. »A czy wiesz ty *padlec*, co to znaczy major? — wołał, pieniać się ze złości, i po swojemu rozprawiając się z A-wem: — rozumiesz ty, co to jest major! I oto jakiegoś nikczemnika katorżnego śmiesz nazwać majorem, mnie w oczy, w mojej obecności!...« Tylko A-w mógł żyć w dobrem porozumieniu z takim człowiekiem.

Od pierwszego dnia życia więziennego zacząłem już marzyć o swobodzie. Najulubieńszem moim zajęciem było obliczać, w tysiąc rozmaitych sposobów i kombinacji, kiedy się skończą lata mego więzienia. Nie mogłem nawet myśleć o czem innem, i jestem pewny, że to samo się dzieje z każdym, pozbawionym do pewnego terminu wolności. Nie wiem, czy inni katorżni myśleli i obliczali zupełnie tak samo, jak ja, ale dziwna lekkomyślność w ich nadziejach uderzyła mię odrazu. Nadzieja człowieka zamkniętego, pozbawionego wol-

ności, zupełnie innego jest rodzaju, aniżeli człowieka wolnego. Człowiek wolny, niewątpliwie, spodziewa się czegoś (naprzykład odmiany losu, dokonania jakiegoś przedsięwzięcia), ale on żyje, działa; życie obecne porywa go w swój wir i owłada nim. Inaczej jest z uwięzionym. I tu jest wprawdzie życie — więzienne, katorżne; ale ktokolwiek jest katorżnik i na jakkolwiek długo jest zesłany, instynktownie nie może on uznać swego losu za coś stałego, istotnego, za część rzeczywistego życia. Każdy katorżnik czuje, że on nie u siebie w domu, ale jak gdyby w gościnie. Na dwadzieścia lat spogląda jak na dwa lata i jest głęboko przekonany, że i w pięćdziesięciu pięciu latach, po wyjściu z ostroga, będzie takim zuchem, jakim jest teraz w trzydziestu pięciu. »Pożyjemy jeszcze«, myśli sobie i uporczywie odpycha od siebie wszelkie wątpliwości i różne dręczące myśli. Nawet bezterminowi skazańcy, z osobnego oddziału, i ci nieraz cieszyli się nadzieją: a nuż nagle przyjdzie dekret z Petersburga: »wyprawić do Nerczyńska, do kopalni i naznaczyć termin«. Wtedy rozkosz: naprzód do Nerczyńska trzeba iść bodaj nie pół roku, a iść w party nierównie lepiej niż siedzieć w ostrogu. A potem dosiedzieć w Nerczyńsku, i wtedy... I tak obliczał przyszłość niejeden siwy już człowiek.

W Tobolsku widziałem przykutych do ściany. Siedzi na łańcuchu sążniowej długości i tuż ma przy sobie tapczan. Przykuto go za jakieś straszne wykroczenie, popełnione już na Syberyi. Siedzą tak na łańcuchu po pięć lat, siedzą i po dziesięć. Są to po większej części rozbójnicy. Jednego tylko widziałem między nimi z panów; gdzieś kiedyś pełnił jakąś służbę rządową. Mówił pokornutko, szepleniąc trochę, uśmieшек słodziutki. Pokazywał nam swój łańcuch, pokazywał, jak trzeba kłaść się na tapczanie, ażeby było wygodniej. Musiał to być dobry kiedyś ptaszek! Wszyscy tacy zachowują się bardzo spokojnie i zdają się być zadowoleni, a tymczasem każdy z nich niezmiernie pragnie, aby jaknajprędzej nadszedł termin odjęcia łańcucha. I dlaczegoż, zdawałoby się, ma tak pragnąć tego? A oto dlaczego: wyjdzie wówczas z dusznej,

zatechłej izby z niskiem, ceglanem sklepieniem i przejdzie się po dziedzińcu ostroga, — oto i wszystko. Za ostróg nigdy go już nie puszcza. Sam on wie, że spuszczeni z łańcucha na zawsze trzymani są w ostrogu, do samej śmierci, i w kajdanach. Wie o tem, i pomimo tego z ogromnem upragnieniem wyczekuje zdjęcia łańcucha. Czyż bez tego pragnienia mógłby przesiedzieć pięć lub sześć lat na łańcuchu, i nie umrzeć lub nie oszaleć? Czy inny nie wolałby zginąć raczej, niż tak siedzieć?

Czułem, że praca może mię ocalić, wzmocnić moje zdrowie, ciało. Ciągły niepokój wewnętrzny, zozdrażnienie nerwowe, zamknięte powietrze koszar, to wszystko mogło mię zniszczyć zupełnie. Jak najczęściej być na wolnem powietrzu, codzień doznawać znużenia, przyuczać się do dźwigania ciężarów, w ten sposób przynajmniej ocaleć siebie, — tak rozmyślałem — wzmocnię się fizycznie, wyjdę stąd zdrowy, czerstwy, silny, nie stary. Nie omyliłem się: praca i ruch wielką przyniosły mi korzyść. Z przestrachem spoglądałem na jednego z moich towarzyszy (ze szlachty), jak on gasnął w ostrogu, jak świeczka. Wszedł tam razem ze mną, jeszcze młody, piękny, pełen sił, a wyszedł nawpół zrujnowany, siwy, ledwie włócząc nogami i z astmą. Nie, myślałem sobie, patrząc na niego: ja chcę żyć i żyć będę. Ale też dostawało mi się z początku od katorżnych za moje zamiłowanie w pracy i długo ścigali mię pogardą i szyderstwami. Alem się nie oglądał na nikogo i ochoczo ruszałem wszędy, naprzykład do palenia i tłuczenia alabastru, jednej z pierwszych robót, które poznałem.

Była to lekka praca. Władza inżynieryjna gotową była według możności podawać ulgę w pracy szlachcie, co zresztą nie było wcale pobłażaniem, ale tylko sprawiedliwością. Dziwnie by było zadawać człowiekowi, który był o połowę słabszym fizycznie i nigdy nie pracował, tyleż pracy dziennie, ile według ustawy zadawało się prawdziwemu robotnikowi. Ale to »pobłażanie« nie zawsze się praktykowało, a nawet kiedy się praktykowało, to jakby ukradkiem, czujnie bowiem pilnowano

z boku, aby tego nie było. Dość często praca była ciężką i wtedy naturalnie dla szlachty ciężar jej był dwa razy większym, niż dla innych robotników. Do alabastru wyznaczano zwykle trzech, czterech ludzi, starców lub słabszych, w tej liczbie naturalnie i nas; prócz tego dawano jednego prawdziwego robotnika, znającego się na rzeczy. Zwyczajnie chodził przez kilka lat z rzędu ten sam robotnik, Ałmazow, człowiek smagły, chudy, już w latach, surowy, nietowarzyski i opryskliwy. Czuł on ku nam głęboką pogardę. Zresztą tak był nierozmowny, że nawet lenił się burczeć na nas. Szopa, w której wypalano, tłuczono alabaster, stała na pustym i stromym brzegu rzeki. Zimą, szczególnie w dzień pochmurny, smutno było stamtąd patrzeć na rzekę i na przeciwny brzeg daleki. Coś dziwnie tęsknego, rozrywającego serce było w tym dzikim i pustynnym krajobrazie. Ale bodaj, czy nie tęskniejszy jeszcze był widok, gdy na nieskończonej białej zasłonie śnieżnej jaskrawo świeciło słońce; chciało się ulecieć wówczas w ten step, który się zaczynał na drugim brzegu rzeki, a rozścielał się ku południowi jednym nieprzerwanym płatem na półtora tysiąca wiorst.

Ałmazow zwykle w milczeniu i z wielką powagą zabierał się do roboty; my wstydziliśmy się prawie, że nie mogliśmy w należyty sposób pomagać jemu, a on umyślnie sam sobie dawał radę, umyślnie nie żądał od nas żadnej pomocy, jakby dlatego, żebyśmy czuli całą winę naszą względem niego i korzyli się w naszej nieużyteczności. A nie chodziło o nic więcej, jak o rozgrzanie pieca, ażeby wypalić nakładziony w nim alabaster, któryśmy, bywało, przedtem naznosili. Dnia następnego, kiedy już alabaster był zupełnie przepalony, zaczynało się wygartywanie jego z pieca. Każdy z nas brał ciężką kołatkę, nakładał do osobnego pudła alabastru i zaczynał go rozbijać. Było to bardzo przyjemne zajęcie. Kruchy alabaster bardzo łatwo się dawał rozbijać i zamieniał się szybko w pył błyszczący. Wywijaliśmy ciężkimi młotami i robiliśmy tyle łoskotu, że aż nam samym było przyjemnie. Wreszcie zmęczeni ustawaliśmy i lekko się nam robiło; na

twarze rumieniec występował, krew bystrzej krążyła. Wówczas i Ałmasow zaczynał spoglądać na nas łaskawie, jak się patrzy na małe dziecko, łaskawie pykał ze swojej fajeczki, ale i wtedy nie mógł nie burknąć, gdy wypadło coś do nas przemówić. Zresztą był on takim ze wszystkimi, a w gruncie, jak się zdaje, dobry człowiek.

Drugą robotą, na którą mnie posyłano, było obracanie koła w tokarskim warsztacie. Koło było wielkie i ciężkie. Trzeba było niemało wyteżać siły do jego obracania, szczególnie jeśli tokarz (z majstrów inżynieryjnych) toczył coś w rodzaju słupków do poręczy schodowej albo do nóg wielkiego stołu dla jakiego urzędnika, do czego brano grube kawały drzewa. W takim razie siły jednego człowieka nie starczyły i posyłano zwykle do obracania koła dwóch: — mnie i jeszcze jednego ze szlachty, Polaka Bogusławskiego. W przeciągu kilku lat, jeżeli trzeba było coś toczyć, zawsze nam tę robotę oddawano. Bogusławski był to jeszcze człowiek młody, ale bez sił, słabowity, cierpiący na piersi. Przybył do ostroga na rok przedemną, razem z innymi towarzyszami swymi, — pewnym starcem, który ciągle, dniem i nocą w więzieniu modlił się (za co go aresztanci bardzo poważali) i który umarł przy mnie, i z drugim jeszcze bardzo młodym człowiekiem, świeżym, rumianym, silnym, śmiałym, który w drodze z pół etapu niósł na swoich ramionach upadającego ze zmęczenia Bogusławskiego, co się powtarzało na przestrzeni siedmiuset wiorst. Trzeba było widzieć, jaka ich przyjaźń łączyła. Bogusławski miał wysokie wykształcenie, charakter szlachetny i wzniosły, ale był chorobliwie rozdrażniony. Obracaliśmy we dwóch kołem, to nas nawet zajmowało. Dla mnie ta robota była wybora gimnastyką.

Szczególnie też lubiłem odgartywać śnieg. Bywało to zwykle po przejściu buranów i zdarzało się dość często w zimie. Po buraniu, który trwał całą dobę, niejedyn dom stał zawiany do połowy okien, a inny niemal całkiem zasypyany był śniegiem. Kiedy buran ustał i słońce zabłysło, wypędzano nas

wielkimi gromadami, a czasem całym ostrogiem — odrzucać zasypy śnieżne od budynków rządowych. Każdemu dawano łopatę i wyznaczano robotę, czasem tak wielką, że trzeba się było dziwić, jak jeden człowiek może z tem sobie dać radę, i wszyscy razem ochoczo zabierali się do roboty. Pulchny, z wierzchu tylko zlekka przymarznięty śnieg, łatwo nabierał się łopatą, ogromnymi kęsami, i rozrzucał się wkoło, jeszcze w powietrzu obracając się w pył świecący. Łopata z łatwością wrzynała się w białą, lśniącą od słońca masę. Aresztanci prawie zawsze wesoło odbywali tę robotę. Świeże powietrze zimowe i ruch ożywiał ich. Wszyscy stawali się weselszymi, rozlegał się śmiech, wykrzykiwania i dowcipy. Zaczynano bawić się w śnieżki, nie bez tego naturalnie, żeby po chwili ludzie rozsądni i gorszący się śmiechem i wesołością nie zakrzyczeli na to i powszechne ożywienie kończyło się zwykle połajanką.

Powoli zacząłem rozszerzać koło moich znajomości. Sam zresztą nie myślałem o znajomościach; ciągle jeszcze byłem niespokojny, posepny i niedowierzający. Znajomości moje same się zawiązywały. Jednym z pierwszych, którzy mnie raczyli odwiedzać, był aresztant Pietrow. Mówię o d w i e d z a ć, i kładę szczególny nacisk na to słowo. Pietrow mieszkał w osobnym oddziale i w najdalszej odemnie kazarmie. Stosunków między nami nie mgło być żadnych; nie też ani trochę wspólnego nie łączyło nas i nie mogło łączyć. A tymczasem Pietrow w początkach mego życia więziennego uważał sobie jakby za obowiązek niemal codziennie zachodzić do mnie, albo zatrzymywać mię, kiedy w wolnych chwilach przechadzałem się za kazarmami, jak najdalej od oczu ludzkich. Z początku sprawiało mi to przykrość. Ale on umiał jakoś tak zrobić, że jego odwiedziny zaczęły mię nawet rozrywać, pomimo, iż nie był wcale towarzyskim i rozmownym. Co się tyczy powierzchowności, był niewysokiego wzrostu, silnie zbudowany, zgrabny, ruchliwy, o bladej, dość przyjemnej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, o śmiałym spojrzeniu i białych, gęstych, drobnych zębach i wiecznie ze szczyptą tabaki za

dolną wargą. Brać w usta tytoń tarty było zwyczajem wielu katorżnych. Wydawał się młodszym, niż był w istocie; miał lat czterdzieści, a wyglądał na trzydzieści. Rozmawiał ze mną zawsze bez wszelkiego przymusu. zachowywał się w stosunku do mnie bardzo przyzwoicie i delikatnie. Jeśli zauważył na przykład, że szukam samotności, to pomówiwszy ze mną parę minut, natychmiast opuszczał mię i każdym razem dziękował za uwagę z mojej strony, czego rozumie się nie czynił nigdy z nikim w całej katordze. Rzecz godna uwagi, że taki stosunek był między nami nie tylko w początkach, ale i w przeciągu kilku lat z rzędu i nigdy nie stawał się bliższym, chociaż Pietrow rzeczywiście mi był oddany. Nawet i teraz nie wiem dobrze: czego on chciał odemnie i poco każdego dnia łąził do mnie? Zdarzało się wprawdzie później, że ukradł coś u mnie, ale kradł on jakoś niespodzianie; o pieniądze zaś prawie nigdy nie prosił, nie przychodził więc dla pieniędzy ani też dla jakiegokolwiek innego interesu.

Nie wiem także dlaczego, ale zawsze mi się zdawało, że on jak gdyby wcale nie mieszkał ze mną razem w ostrogu, lecz gdzieś daleko, w innym domu, w mieście, i tylko odwiedzał ostróg, ażeby zasięgnąć nowin, dowiedzieć się czegoś o mnie, zobaczyć, jak żyjemy. Zawsze kędyś spieszył, zupełnie jak gdyby gdzieś kogoś zostawił, który na niego czeka, jak gdyby miał za sobą jakąś niedokończoną robotę. A mimo to, nie zdawał się być bardzo zajęтым. Dziwny też miał wzrok: wyteżony, z odcieniem śmiałości i jakby szyderstwa, ale patrzył zwykle gdzieś daleko, poza przedmiot, który miał przed sobą, jak gdyby chciał jakiś dalszy przedmiot rozpatrzyć. Stąd wyglądał jak roztargniony. Umyslnie czasem patrzyłem: dokąd pójdzie odemnie Pietrow? Gdzie to go tak oczekują? Ale on odemnie ruszał spiesźnie do jakiej kazarny lub do kuchni, usiadał tam obok kogoś z rozmawiających, słuchał uważnie, czasem mieszał się do rozmowy i to z wielkiem ożywieniem, a potem nagle urywał i umilkł. Ale czy mówił, czy milczał, widać było zawsze, że on tu tylko jest przelotnie,

a rzecz, która go obchodzi, jest gdzieindziej, i że go tam oczekują. Najdziwniejsze to było, że żadnego zajęcia nie miał, nie zupełnie nie robił (naturalnie z wyjątkiem robót rządowych). Rzemiosła żadnego nie umiał, pieniędzy też prawie nigdy nie miał, i nie zdawał się wiele troszczyć o nie. I o czym rozmawiał ze mną? Rozmowa jego była równie dziwną, jak on sam. Zobaczy, naprzykład, że chodzę samotny za ostrogiem, i wnet zrobi nagły zwrot w moją stronę. Chodził zwykle prędko, obracał się nagle. Przyjdzie, bywało, równym krokiem, a zdawało się, że podbiegł.

— *Zdrawstwujcie* (zdrowia wam życzę).

— *Zdrawstwujcie.*

— Czy nie przeszkadzam?

— Nie.

— Chciałem was zapytać o Napoleona. Wszak on krewny tego, co był w dwunastym roku?

— Krewny.

— Coż on takiego? mówią, że prezydent?

Pytał zwykle prędko, urywanie, jak gdyby mu potrzeba było coprędzej dowiedzieć się o czemś. Zdawało się, że zasięga wiadomości do jakiejś ważnej sprawy, która nie cierpi najmniejszej zwłoki.

Objasniłem mu, jakim on jest prezydentem i dodałem, że może wkrótce i cesarzem zostanie.

— A to jak?

— Objasniłem mu i to według możliwości. Pietrow uważnie słuchał, aż nachyliwszy ucha ku mnie, i prędko rzecz pojmował.

— Hm... A o to chciałem was, Aleksandrze Piotrowiczu, zapytać: czy to prawda co mówią, że są mały z rękami do pięć, a wysokie, jak najwyższy człowiek?

— Tak jest, są takie.

— Jakże to one wyglądają?

Objasniłem i to, o ile wiedziałem.

— A gdzież mieszkają?

— W gorących krajach. Są na wyspie Sumatrze.

— Czy to w Ameryce? Mówią, że tam ludzie chodzą głowami na dół?

— Nie, głową w dół nie chodzą. — Pytacie zapewne o antypodów.

Objasniłem, co to jest Ameryka, i o ile można było, co to antypodzi. Słuchał z równą uwagą, jak gdyby umyślnie dla antypodów tu przybiegł.

— A-a! A oto przeszłego roku o hrabinie Lavallière czytałem, od adjutanta przynosił książkę Arefjew. Czy to prawda, czy tak tylko wymyślono? Napisał Dumas.

— Rozumie się, że wymyślono.

— No, bądźcie zdrowi. Dziękuję.

I Pietrow zniknął. Prawie nigdy nie rozmawialiśmy inaczej, jak w ten sposób.

Zacząłem wywiadywać się o nim. Mirecki, dowiedziawszy się o tej znajomości mojej, ostrzegwał mię nawet. Powiedział mi, że wielu katorżnych budziło w nim przestrasz, szczególnie z początku, w pierwszych dniach katorgi, ale żaden z nich, nawet Gazin, nie przerażał go tak, jak ów Pietrow.

— Jest to najbardziej stanowczy, najodważniejszy ze wszystkich katorżnych — mówił Mirecki. — Na wszystko się ważyć gotów; nic go nie powstrzyma, jeśli mu przyjdzie do czegoś ochota. I pana zarżnie, kiedy mu taki pomysł przyjdzie do głowy, tak poprostu zarżnie i ani się zmarszczy, ani nie poczuje skruchy. Myślę nawet, że jest niespełna rozumu.

Ta opinia bardzo mię zainteresowała. Ale Mirecki nie mógł mi dokładnie objasnić; dlaczego mu się tak zdawało. I rzecz dziwna: kilka lat z rzędu obcowałem potem z Pietrowem, prawie co dzień rozmawiałem z nim, przez cały ten czas był szczerze do mnie przywiązany (choć stanowczo nie wiem, za co) — i przez te kilka lat, pomimo iż Pietrow prowadził się w ostrogu przyzwoicie i nic nie zrobił przerażającego, każdego razu przecież, kiedym na niego patrzył i z nim roz-

mawiał, nabierałem przeświadczenia, że Mirecki miał słuszość, i że Pietrow jest w istocie człowiekiem najbardziej stanowczym, nie znającym strachu, ani żadnego nad sobą przymusu. Ale dlaczego mi się tak zdawało, nie mogę także zdać z tego sprawy.

Dodać zresztą trzeba, że to Pietrow był owym aresztantem, który chciał zabić plac-majora, kiedy go wezwano dla ukarania i kiedy major »cudem się ocalił« — jak mówili aresztanci — odjechawszy przed samą chwilą kary. Innym razem, jeszcze przed katorgą, zdarzyło się, że pułkownik uderzył do na mustrze. Prawdopodobnie, nieraz go i przedtem bito, ale tym razem Pietrow nie chciał znieść uderzenia i zabił bagnetem pułkownika jawnie, pośród białego dnia, przed rozwiniętym frontem. Zresztą nie znam szczegółowo całej jego historii; nigdy mi jej nie opowiadał. Naturalnie były to tylko wybuchy, kiedy natura występowała niczem nie krępowana. Wybuchy takie były w nim bardzo rzadkie; zwykle był rozsądnym, a nawet spokojnym. Namiętności w nim tały się i to silne, palące; ale żar pokryty był popiołem i tlał powoli. Nie spostrzegałem w nim ani cienia fanfaronady lub próżności, jak w innych. Klócił się rzadko, z nikim się też nie przyjaźnił, z wyjątkiem chyba Sirotkina, i to, gdy ten mu był potrzebny. Raz jednak widziałem, jak się mocno rozgniewał. Czegoś mu nie chciano dać, jakiejś drobnostki, która mu się należała. Spierał się z nim aresztant siłacz, wysokiego wzrostu, zły, zawadyaka, szyderca i wcale nie tchórz, Wasilij Antonow, z oddziału cywilnego. Długo już krzyczeli i sądziłem, że sprawa skończy się co najwięcej na prostem pobiciu się, ponieważ i Pietrow czasem, chociaż rzadko, bił się i kłął, jak ostatni z katorżnych. Ale tym razem co innego się stało: Pietrow nagle pobladł, wargi mu zadrżały i posiniały, dech mu zapało. Wstał z miejsca i powoli, bardzo powoli, swoimi cichymi, bosymi krokami (latem lubił chodzić boso) podszedł do Antonowa. Naraz w całej hałasującej i wrzaskliwej kazar-mie wszyscy ucichli; muchę można było posłyszeć. Wszyscy

czekali, co to będzie? Antonow skoczył naprzeciw niego; twarz miał zmienioną... Nie mogłem się patrzeć i wyszedłem z kazarmy. Myślałem, że nie dojdę jeszcze do ganku, gdy usłyszę krzyk zarżniętego człowieka. Ale do tego nie doszło; Antonow, zanim jeszcze Pietrow doszedł do niego, milcząc, co prędzej, rzucił mu to, o co się spierali. (Chodziło o jakieś nędzne szmaty do obwijania nóg). W parę minut potem Antonow zaklął Pietrowa, dla przyzwoitości, żeby pokazać, że niezupełnie stchórzył. Ale na łajanie Pietrow nie zwrócił wcale uwagi, nawet nie odpowiedział: nie o obelgi chodziło w sporze, ale o rzecz, którą Pietrow zabrał i z której był wielce rad. W kwadrans potem po dawnemu wałęsał się po ostrogu z miną człowieka, nie mającego nic do roboty, i jak gdyby szukał, czy nie mówią gdzie o czemś ciekawem, żeby i swój nos tam wetknąć i posłuchać. Zdawało się, że wszystko go zajmuje, a przecież jakoś tak się zdarzało, że na wszystko po większej części był obojętny i tylko tak bez celu włóczył się po ostrogu, jakby nim coś miotano w różne strony. Można go było porównać z robotnikiem, z tęgim robotnikiem, w którego rękach robota aż trzeszczy, ale któremu nie dają roboty, i oto on siedzi czekając na nią i bawi się z małymi dziećmi.

Nierozumiałem też, dlaczego nie ucieknie z ostrogu, bo byłem pewny, że nie zawahałby się uciec, gdyby tego mocno zapragnął. Nad takimi ludźmi rozsądek ma władzę dopóty, dopóki czegoś nie zapragną, a wtedy niema już żadnej przeszkody ich zachceniu. Jestem przekonany, że wybornie potrafili uciec, zmylili wszystkich, po tygodniu mógłby siedzieć bez chleba gdziekolwiek w lesie lub w trzcinie rzecznej. Ale widocznie na tę myśl jeszcze był nie wpadł, nie zapragnął ucieczki w całej pełni. Jakiejś większej rozwagi, szczególnego rozsądku nigdy w nim nie spostrzegałem. Tacy ludzie rodzą się z jedną ideą, która przez całe życie nieświadomie rzuca ich tędy i owędy; tak miotają się przez całe życie, dopóki nie znajdą czegoś, co w całej pełni odpowiada ich chęci: wtedy już rozsądek na nic się im nie przyda.

Dziwiłem się nieraz, jak taki człowiek, który zarznął swego naczelnika za uderzenie, kładzie się u nas bez wszelkiego oporu pod różgi. A Pietrowa bito czasem różgami, gdy go schwytano z wódką, bo i on, jak wszyscy katorżnicy bez rzemiosła, puszczał się na kontrabandę. Ale Pietrow i pod różgi kładł się jakby za zgodą własną, to jest jak gdyby z przekonania, że kara zasłużona; w przeciwnym razie dałby się zabić, a nie poddałby się. Dziwiło mnie to również, że pomimo widocznego ku mnie przywiązania, okradał mię. Miewał on peryodyczne napady złodziejstwa. On to ukradł u mnie biblię, którą mu dałem, aby przeniósł z jednego miejsca w drugie. Miał z nią iść wszystkiego kilka kroków, ale po drodze zdołał znaleźć kupca, sprzedał ją a pieniądze przepił. Zapewne pić mu się bardzo zachciało, a już co się bardzo zachciało, musiało być wypełnionem. Taki, jak on, zarznie człowieka dla kilkadziesiątu kopiejek, żeby za te pieniądze wypić kwaterkę wódki, a w innym czasie puści mimo siebie i ze stu tysiącami. Wieczorem sam mi objawił o swoim złodziejstwie, ale bez najmniejszego zmieszania i żalu, zupełnie obojętnie, jako o rzeczy najzwyczajszej. Spróbowałem porządnie go wyłajać; żal mi też było mojej biblii. Pietrow słuchał bez rozdrażnienia, spokojnie; zgadzał się, że biblia jest bardzo pożyteczną książką, szczerze żałował, że już jej niemam, ale bynajmniej nie żałował tego, że ukradł, i patrzył na mnie z taką pewnością siebie, że natychmiast przestałem go łajać. Łajanie zaś moje znosił prawdopodobnie w tem przekonaniu, że nie może być przecież bez tego, żebym go nie wyłajał za takie przestępstwo, więc niechże ulży swemu sercu, niech się pocieszy, niech wyłaje; ale w gruncie rzeczy, uważał to za głupstwo, za takie głupstwo, o którem poważny człowiek i mówićby nie chciał. Wogóle zdaje mi się, że Pietrow uważał mię za dziecko, nie pojmujące najprostszych rzeczy na świecie. Jeżeli naprzykład sam z nim zaczynałem rozmowę, i to nie o naukach i książkach, to odpowiadał mi wprawdzie, ale jakby tylko z grzeczności, ograniczając się najkrótszemi odpowiedziami.

Często zadawałem sobie pytanie: poco mu te książkowe wiadomości, o które się u mnie zazwyczaj wypytuje? Zdarzało się, że podczas takich rozmów, spojrzę na niego z boku: czy się też nie śmieje ze mnie? Ale nie; słuchał zwykle poważnie, uważnie, chociaż zresztą co się tyczy uwagi, to nie bardzo, i ta właśnie okoliczność niekiedy mię gniewała. Pytania zadawał dokładne, wyraźnie określone, ale niezbyt się dziwił otrzymany wiadomościom i przyjmował je nawet z roztargnieniem... Zdawało mi się również, że o mnie — nie wiele sobie łamiąc głowy — powziął wyobrażenie, jako o człowieku, z którym nie można rozmawiać, jak z innymi ludźmi, że oprócz rozmowy o książkach, nic innego nie zrozumie i nawet nie zdolny jestem rozumieć, więc i nie warto mię niepokoić pytaniami.

Jestem pewny, że Pietrow lubił mię nawet, i to mię bardzo zastanawiało. Może uważał mię za człowieka niedorośłego, niepełnego, może miał dla mnie to szczególnego rodzaju współczucie, które instynktownie budzi się w każdej istocie silnej względem słabszej... nie wiem. I choć to wszystko nie przeszkadzało mu okradać mię, wszakże jestem pewny, iż okradając, żałował mię. »Ech, myślał sobie zapewne, sięgając ręką po moją własność, cóż to za człowiek, który nie umie bronić nawet swojego mienia!« Ale za to właśnie, jak się zdaje, i lubił mię. Sam mi pewnego razu powiedział, wyrwało mu się to, że jestem »nazbyt dobroduszny człowiek« i »już tak prosty, tak prosty, że aż żal bierze. Tylko wy, Aleksandrze Piotrowiczu, dodał po chwili, nie bierzcie tego za obrazę: ja to tak z głębi duszy powiedziałem.«

Zdarza się niekiedy, że tacy ludzie trafiają na odpowiednią dla siebie rolę i zarysowują się świetnie w chwilach jakiegoś silnego zbiorowego działania lub przewrotu. To nie są ludzie słowa i nie mogą być inicjatorami i głównymi przywódcami; ale są głównymi wykonawcami i pierwsi zaczynają. Zaczynają poprostu, bez wykrzykników, ale pierwsi przeskakują główną przeszkodę, bez wahania i strachu idąc na ostrza — i wszyscy

rzucają się za nimi i idą na ślepo, idą aż do ostatniej ściany, gdzie zwykle kładą głowy. Nie wierzę, żeby Pietrow dobrze skończył; znajdzie się jakaś chwila, w której się cały zaprzepaści, i jeżeli jeszcze dotychczas nie zginął, to znaczy, że jeszcze sposobność się nie nadarzyła. Zresztą kto wie? Może i dożyje siwych włosów i najspokojniej umrze ze starości, przeważawszy bez celu całe życie. Ale zdaje mi się, że Mirrecki miał słuszość, mówiąc, że to był najbardziej stanowczy z całej katorgi człowiek.

VIII.

Icek Bumstein. — Łaźnia parowa.

Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia. Aresztanci oczekiwali ich w jakimś uroczystym usposobieniu i patrząc na nich, ja sam zacząłem oczekiwać czegoś nadzwyczajnego. Na cztery dni przed świętami poprowadzono nas do łaźni parowej. W moich czasach więziennych, szczególnie w pierwszych latach, rzadko się kiedy to działo, więc wszyscy się ucieszyli i ochoczo gotowali do tej wyprawy. Wyznaczono na to czas poobiedni i tego dnia nie było już po obiedzie roboty. Z pomiędzy wszystkich w naszej kazarmie najwięcej krzątał się i najwięcej objawiał radości Isaj Fomicz (Izajasz syn Tomasza) Bumstein, żyd zesłany do katorgi, o którym już przedtem wspominałem. Lubił on parzyć się w łaźni do utraty zmysłów, i ile razy teraz, rozpatrując dawne wspomnienia, przypominę sobie naszą łaźnię (która zasługuje na to, aby jej nie zapomnieć) zaraz na pierwszy plan obrazu występuje przedemną twarz uszczęśliwionego Isaja Fomicza, towarzysza mojej katorgi i współmieszkańca w kazarmie.

Boże! co to za nieskończenie śmieszna była figura! Lat pięćdziesięciu, chudy, cherlawy, pomarszczony, o skórze oskubanego kurczęcia i ze straszliwymi piętnami na policzkach i na czole. A przecież na twarzy jego widać było nieustanne, niczem niezmacone zadowolenie z siebie, a nawet uszczęśliwienie. Zdawało się, że on wcale nie żałuje tego, iż dostał się

do katorgi. Ponieważ był jubilerem, a w mieście innego nie było, więc miał dużo roboty jubilerskiej, którą wyłącznie był zajęty i za którą mu coś przecież płacono. Żył stosunkowo, jak bogacz, a pieniądze zarabiane pożyczał na zastaw. Miał swój samowar, dobry materac do spania, szklanki, całe naczynie do obiadu. Żydzi w mieście mieli z nim stosunki i otaczali go opieką. Co sobota chodził pod konwojem do bóżnicy (na co prawo pozwalało). Była w nim najkomiczniejsza mieszanina naiwności, głupoty, chytrłości, zuchwalstwa, dobroduszości, lęklivości, samochwalstwa i natręctwa. Bardzo mię to dziwiło, że katorżnicy wcale go nie wyśmiewali, a chyba tylko dla zabawy z lekka żartowali z niego. Isaj Fomicz widocznie był tylko przedmiotem rozrywki dla wszystkich. »My jego jednego tylko mamy, nie wolno ruszać Isaję Fomicza«, mawiali aresztanci, a Isaj Fomicz, choć wiedział, o co chodziło, przecież pysznił się swoim znaczeniem, co bardzo bawiło aresztantów.

Pierwsze jego zjawienie się w katordze było niezmiernie zabawne (jeszcze przed mojem przybyciem, ale mi opowiedano). Pewnego razu ku wieczorowi rozbiegła się nagle wieść w ostrogu, że przyprowadzono żydka, że gołą go w kordegardzie i że niebawem się zjawi. Nie było jeszcze wtedy ani jednego żyda w kazarmie. Aresztanci oczekiwali go niecierpliwie i jak tylko wszedł na dziedziniec, natychmiast obścąpili. Podoficer poprowadził go do cywilnej kazarmy i wskazał miejsce na narach. W ręku Icek Bumstein trzymał worek z danemi sobie rzeczami kaziennemi i swojemi własnemi. Przyszedłszy do nar, wlażł na nie, położył worek koło siebie, podgiął nogi pod siebie i siedział, nie śmiejąc podnieść oczu na nikogo. Dokoła niego rozlegał się śmiech i aresztanckie żarty, których przedmiotem było jego żydowskie pochodzenie. Nagle przez tłum przecisnął się młody aresztant, niosąc w ręku jakieś brudne, stare, porwane spodnie letnie z dodatkami kaziennych onuczek. Usiadłszy koło Icka, uderzył go po ramieniu.

— No, przyjacielu, ja już tu szósty rok czekam na ciebie. Popatrzo, wiele dasz za to? I rozłożył przed nim przyniesione łaachmany.

Icek Bumstein, który przy wejściu do ostroga był tak przelękły, że nawet oczu nie śmiał podnieść na tłum, co go szczerlnie otoczył, na szydercze, straszne, piętnami oszpecone twarze, i który z przelęknienia nie zdołał jeszcze słowa przemówić — ujrzawszy zastaw, ocknął się i zaczął żwawo palcami przebierać w łaachmanach. Wysunął je nawet ku światłu. Wszyscy czekali, co powie.

— Cóż, rubla srebrem dasz przecie? Wszak warto! — ciągnął dalej zastawiający, mrugając w stronę Icka.

— Rubla srebrem nie dam, a siedm kopiejek dać można.

I oto były pierwsze słowa, wypowiedziane przez Icka w ostrogu. Wszyscy aż się zatoczyli od śmiechu.

— Siedm! No, dawaj choć siedm! Ale pamiętaj, strzeż zastawu; głową mi za niego odpowiesz.

— Procentu trzy kopiejki, razem dziesięć — urywanym i drżącym głosem mówił dalej żydek, sięgając ręką do kieszeni po pieniądze i bojaźliwie spoglądając na areosztantów. I tchórzyl straszliwie i chciało mu się interes załatwić.

— Trzy kopiejki procentu? co? chyba na rok?

— Nie, nie na rok, ale na miesiąc.

— Tęgiś, żydzie. A jakże cię tytułować?

— Isaj Fomicz.

— No, Isaj Fomicz, daleko ty u nas zajdziesz! — Bądź zdrów.

— Isaj Fomicz jeszcze raz obejrzał zastaw, złożył i porządnie wsunął go do swego worka, wśród ciągłego śmiechu areosztantów.

Zdawało się nawet, że go wszyscy lubili, i nikt go nie obrażał, choć każdy mu był coś winien. Sam on był niezłośliwy, jak kura, i widząc powszechne dla siebie dobre usposobienie, udawał niekiedy zucha, ale z tak naiwnym komizmem, że to mu się natychmiast wybaczało. Jeden ze zbrodniarzy,

Łuczka, który znał dobrze żydów, drażnił go często, ale nie ze złości, tylko tak dla zabawy, podobnie, jak się bawią z pieskiem, papugą, z uczonemi zwierzątkami. Icek wiedział o tem dobrze, ale się wcale nie obrażał i nadzwyczaj zręcznie odpierał żarty.

— Ej, żydzie, walnę cię!

— Ty mnie raz uderzysz, a ja ciebie dziesięć — zuchwato odpowiadał Icek.

— Parch przekłęty.

— Niechaj będzie parch!

— Żyd parszywy!

— Niech i tak będzie. Choć parszywy, ale bogaty, ma pieniądze.

— Chrystusa sprzedał.

— Niechaj będzie.

— Dzielnie, Isaj Fomicz, zuch! Nie tykajcie go, on u nas jeden! — wołają ze śmiechem aresztanci.

— Ej żydzie, pokosztujesz knuta, pójdziesz na Sybir.

— Ja już i tak na Sybirze.

— Jeszcze dalej poszła.

— A czy tam Pan Bóg jest?

— No, Pan Bóg jest.

— To niechaj poszła; byle był tylko Pan Bóg i pieniądze, a wszędzie będzie dobrze.

— Zuch Isaj Fomicz, widać, że zuch — wołają dokoła, a Icek chociaż widzi, że drwią z niego, nadrabia miną; ogólne pochwały sprawiają mu widocznie zadowolenie i zaczyna śpiewać na cały głos cieniutkim dyszkantem: la-la-la-la! jakąś koszlawą i śmieszną melodyę bez słów, jedyną, jaką śpiewał w ciągu całej katorgi. Potem, zaznajomiwszy się ze mną bliżej, zapewniał mię pod przysięgą, że to jest tensam motyw, który śpiewali żydzi od najmłodszego do najstarszego w liczbie sześciuset tysięcy, przechodząc Morze Czerwone i że jest nakaz, aby każdy żyd śpiewał tę melodyę w chwili zwycięstwa i tryumfu.

W wigilię każdej soboty, w piątek wieczorem, przychodzili do nas z innych kazarm aresztanci, aby popatrzeć, jak Isaj Fomicz będzie odprawiał szabas. A on był do tego stopnia naiwnie chępliwy i próżny, że ta powszechna ciekawość sprawiała mu zadowolenie. Z pedantyczną, umyślną powagą nakrywał w kąciku swój małeńki stoliczek, otwierał księgę, zapalał dwie świece i mrużąc jakieś tajemnicze słowa, zaczynał oblekać się w modlitewną szatę. Była to kraciasta chustka z wełnianej materyi, którą starannie chował w swoim kufrze. Obie ręce przystrajał w rękawki, a na środku czoła przymocowywał jakieś drewniane pudełeczko, tak, iż zdawało się, że Ickowi z czoła jakiś róg śmieszny wystercza. Potem zaczynała się modlitwa. Czytał ją ze śpiewną modulacją głosu, krzyczał, opluwał się, obracał się w około, robił dzikie i śmieszne ruchy. Naturalnie, wszystko to było według przepisów obrzędowych i nie w tem nie było śmiesznego i dziwnego, ale to było śmiesznem, że Icek jakby umyślnie z tem wszystkim popisывał się przed nami. Bywało, nagle zakryje rękami głowę i zaczyna czytać łkając. Łkanie wzmagą się, Icek jakby w omdleniu, niemal z wyciem chyli głowę, uwieńczoną arką przymierza na księgę; gdy w tem nagle, pośród najsilniejszego łkania zaczyna chichotać i wyśpiewywać jakimś słodko uroczystym, jakby od zbytku szczęścia osłabionym głosem. »Widzisz go, jak go rozbiera«, mawiali, przypatrując mu się, aresztanci. Spytałem raz Isaja Fomicza, co znaczą te łkania i te nagle potem przejścia w ton szczęścia i błogości? Icek niezmiernie był rad, gdy o takie rzeczy zapytywałem. Natychmiast objaśnił mi, że płacz i łkania oznaczają myśl o utracie Jerozolimy i że zakon nakazuje przy tej myśli jaknajgłośniej płakać i bić się w piersi. Ale wśród najsilniejszego łkania, on, Isaj Fomicz, powinien nagle, jakby mimowolnie przypomnieć sobie (to nagle jest także zakonem przepisane), że jest przepowiednia o powrocie Żydów do Jerozolimy. I tuż natychmiast powinien wybuchnąć radością, pieśniami, śmiechem, i odmawiać modlitwy w taki sposób,

żeby samym głosem wyrazić jak najwięcej szczęścia, a w twarzy jak najwięcej tryumfu i szlachetności. To nagle przejście i konieczny obowiązek tego przejścia najbardziej podobały się Ickowi; widział w tem jakiś szczególny, niezmiernie dowcipny kunsztyk i z chępliwym wyrazem twarzy mówił mi o tym przepisie obrzędowym.

Pewnego razu, wśród najgorętszej modlitwy Icka, wszedł do izby placmajor w towarzystwie karaulnego oficera i straży wojennej. Wszyscy aresztanci stanęli u swoich nar, wyciągnęci, jak struny, jeden tylko Icek jeszcze silniej zaczął krzyczeć i gestykulować. Wiedział on, że modlitwa dozwolona, że przerywać jej nie wolno, i krzyżąc wobec majora, na nie się naturalnie nie narażał. Sprawiało mu to wielką przyjemność, że może wobec majora zucha udawać i popisać się przed nami. Major podszedł ku niemu i stanął na krok przed nim: Icek obrócił się tyłem ku swemu stolikowi i prosto w twarz majorowi zaczął wyspiwywać swoje uroczyste pro-roctwo, wymachując przytem rękami! Ponieważ i w tej chwili według przepisów religijnych należało mu wyrazić w twarzy bezmiar szczęścia i szlachetności, więc uczynił to niezwłocznie, przymykając oczy, śmiejąc się i kiwając do majora głową. Major był zdziwiony; wreszcie parsknął mu w oczy śmiechem, nazwał głupcem i odszedł, a Icek jeszcze z większym wytężeniem począł krzyczeć. W godzinę potem, kiedy wieczerał, zapytałem go:

— A cóżby się stało, gdyby plac-major przez głupotę obraził się na was?

— Jaki plac-major?

— Jaki? czyście go nie widzieli?

— Nie!

— A przecież on stał tuż przed wami.

Ale Isaj Fomicz zaczął mię najpoważniej upewniać, że stanowczo nie widział żadnego majora, że w takiej chwili przy podobnych modlitwach wpada w ekstazę i nic już wtedy nie widzi, co się wkoło niego dzieje.

Jak dziś widzę Isaja Fomicza, jak bywało w sobotę wałęsa się po całym ostrogu, usiłując jak najgorliwiej nic nie robić, stosownie do przepisów zakonu. Jakie mi niemożliwe anegdoty opowiadał za każdym razem, gdy powracał ze swojej bóżnicy; jakie nieprawdopodobne przynosił wieści z Petersburga, upewniając, że ma je od swoich żydków, a ci z najpierwszych rąk.

Ale już za wiele rozwodzę się nad Isajem Fomiczem.

W całym mieście były tylko dwie publiczne łaźnie parowe. Pierwsza, należąca do jakiegoś żyda, miała numery po 50 kopiejek i urządzoną była dla grubych ryb. Druga, przeznaczona przedewszystkiem dla pospólstwa, była stara, błotnista, ciasna i tam to poprowadzono nasz ostróg. Było mroźno i słonecznie; dla aresztantów już to było uciechą, że wyjdą z fortecy i popatrzą na miasto. Żarty i śmiechy nie ustawały w drodze. Pół roty żołnierzy z nabitą bronią prowadziło nas na podziw całemu miastu. W łaźni natychmiast podzielono nas na dwie zmiany: druga czekała w chłodnej sieni łaźnie, dopóki się pierwsza myła, co było rzeczą konieczną z powodu ciasnoty łaźni. Ale nawet pomimo tego podziału, trudno było sobie wyobrazić, jakim sposobem połowa naszych mogła się w niej pomieścić. Pietrow nie odstępował mnie; bez wezwania z mojej strony poskoczył, aby mi usługiwać i ofiarował się nawet wymyć mię.

Kiedyśmy otworzyli drzwi z sieni do łaźni, zdawało mi się, że jestem w piekle. Wyobraźcie sobie izbę dwanaście kroków długą, tyleż szeroką, w której ścisnęło się do stu może ludzi, a już z pewnością niemniej ośmdziesięciu, ponieważ aresztanci podzieleni byli na dwie tylko zmiany, a wszystkich nas przyszło do dwustu ludzi. Para, zasłaniająca oczy, swąd, brud, ciasnota taka, że niema gdzie postawić nogi. Przeląknęłam się i chciałem wracać, ale Pietrow dodał mi zaraz ducha. Z wielkim trudem przedostaliśmy się do ławek przez głowy siedzących na podłodze ludzi, prosząc ich, aby się naginali i przejść nad sobą pozwolili. Ale i na ławach miejsca były

zajęte. Pietrow oświadczył mi, że miejsce trzeba kupić i natychmiast rozpoczął targ z aresztantem, który się usadowił był koło okienka. Ten za kopiejkę ustąpił swego miejsca, otrzymał natychmiast zapłatę od Pietrowa, który ją niósł w ściśniętej pięści, zawczasu ją przygotowawszy, i zaraz ukrył się pod ławą, tuż pod mojem miejscem, gdzie było ciemno i błotno. Ale i pod ławkami miejsca były zajęte i tam roiło się od ludu więziennego. Nigdzie na podłodze nie było ani na dłoń miejsca wolnego, gdzieby nie siedzieli, skurczywszy nogi, aresztanci, opluskując się wodą z konewczek. Po między siedzącymi niektórzy myli się, stojąc z konewkami w rękach, a brudna woda spływała z nich wprost na golone głowy obok siedzących. Na wzniesionym pomoście i stopniach, prowadzących do niego, wszędzie także siedzieli myjący się, skurczywszy się i najeżywszy. Ale mycia było niewiele; lud prosty mało się myje wodą gorącą i mydłem, straszliwie się tylko parzy i oblewa potem zimną wodą — otóż i cała łaźnia. Pięćdziesiątmioteli na górze podnosiło się i spadało naraz; chłostano się bez pamięci. Co chwila dodawano pary; to już nie gorąco było, ale piekło. Zewsząd słychać wołania, krzyki, piski, śmiechy i dźwięk stu łańcuchów, wleczonych po podłodze... Niektórzy, chcąc przejść z jednego miejsca w drugie, zaplątywali się w cudzych łańcuchach i sami zaczepiali łańcuchami o głowy siedzących niżej, padali, klęli i ciągnęli za sobą zaczepionych. Brud lał się ze wszystkich stron. Wszyscy byli w stanie szczególnego ożywienia, jakby pijani. Przy okienku, skąd podawano wodę z sieni łaźiebnej, był natłok, łajano się, kłócono, popychano. Gorąca woda, którą stamtąd otrzymywano, rozlewała się na głowy siedzących w dole, zanim ją do miejsca przeznaczonego doniesiono. Co chwila przez okna lub drzwi przymknięte zaglądała wąsata twarz żołnierza z bronią w ręku, aby się przekonać, czy niema nieporządku. Ogolone głowy i rozparzone do czerwoności ciała aresztantów wydawały się jeszcze potworniejszemi. Na rozparzonych grzbietach jaskrawo zazwyczaj występują blizny po otrzymanych

knutach i kijach, i teraz więc wszystkie te grzbiety wydawały się na nowo pokrwawionymi. Straszliwe blizny! Mróz przeszedł mi po skórze, gdy patrzałem na nie.

Dodadzą pary — i gęsty jej obłok zakryje całą łaźnię; wszystko zahuczy i zawyje, w obłoku pary migają zranione grzbiety, ogolone głowy, skurczone ręce i nogi, a nad tem wszystkim, na najwyższym stopniu łaźni Isaj Fomicz wrzeszczy na całe gardło. Parzy się on bez pamięci, ale zdaje się, że niema gorąca, któreby mogło go nasycić; za kopiejkę najmuje łaźiebника, który go miotłą ćwiczy, ale i łaźiebnik w końcu wytrzymać nie może, rzuca miotełkę i biegnie oblać się zimną wodą. Isaj Fomicz nie daje za wygraną i najmuje drugiego, trzeciego; w takim razie postanawia już nie oglądać się na wydatki i zmienia do pięciu łaźiebników. »Dobrze się parzy, zuch Isaj Fomicz«, wołają doń z dołu aresztanci. Icek czuje, że w tej chwili przewyższył wszystkich, wszystkich zostawił za sobą; tryumfuje i jak szalony, ostrym, krzykliwym głosem wyśpiewuje swoją aryę: la - la - la - la - la, wybijającą się nad wszystkie głosy. Przyszło mi na myśl, że jeśli kiedy znajdziemy się tak razem w piekle, to ono będzie bardzo podobne do tego miejsca. Nie wytrzymałem, żeby nie udzielić mego domysłu Pietrowowi; ten popatrzył tylko dokoła i nic nie odpowiedział.

IX.

Przedstawienie amatorskie.

Na trzeci dzień Bożego Narodzenia wieczorem odbyło się pierwsze przedstawienie w naszym teatrze. Wiele było zapewne przedwstępnych starań i kłopotów około urządzenia widowiska, ale aktorowie wszystko wzięli na siebie, tak że my wszyscy inni nie wiedzieliśmy nic o nich, nie wiedzieliśmy, co i jak się robi, a nawet jakie sztuki będą grane. Aktorowie przez trzy dni, poprzedzające widowisko, wychodząc na robotę, starali się wydostać jak najwięcej kostyumów. Niektórzy mieszkańcy Omska obiecali pożyczyć ubiorów dla ról aktorskich, nawet dla kobiecych, a za pośrednictwem pewnego dzienniczka spodziewano się nawet dostać oficcerski ubiór z akselbantami. Obawiano się tylko, żeby plac-major nie zabronił widowiska, jak to się stało roku poprzedniego. Ale w zeszłym roku podczas świąt major był w złym humorze: zgrał się gdzieś w karty, a przytem w ostrogu były awantury, to też przez złość zabronił przedstawienia. Teraz nie wiedzieliśmy wcale, czy wiedział co o teatrze, a jeśli wiedział, czy dał formalne pozwolenie, czy też postanowił tylko patrzeć przez palce, machnąwszy ręką na tę aresztancką zabawę, i zezwoliwszy na nią w milczeniu, pod warunkiem naturalnie, że wszystko się odbędzie w porządku. Myślę, że wiedział o teatrze, nie mógł nie wiedzieć; ale nie chciał się w to wdawać i zabraniać, rozumiejąc, że z zakazu może coś gorszego wy-

niknąć: aresztanci zaczną hulać, pić, więc daleko lepiej, że się czemś zajmą. Zresztą, domyślam się, że major tak rozumował tylko dlatego, że to najprostsze i najrozsądniejsze rozumowanie. Można powiedzieć nawet, że gdyby aresztanci nie zamierzali podczas świąt grać teatru, lub nie mieli jakiego podobnego zajęcia, to władzy wypadłoby je wymyślić. Ale ponieważ nasz plac-major odznaczał się wręcz odmiennym sposobem myślenia, to czuję, że biorę wielki grzech na siebie, przypuszczając, że wiedział coś o teatrze i pozwolił na przedstawienie.

Taki człowiek, jak plac-major, czuł potrzebę wszędzie kogoś przydusić, coś odjąć, kogoś pozbawić prawa; pod tym względem znany był w całym mieście. Co mu do tego, że wskutek tych dokuczań mogą wynikać zaburzenia w ostrogu? Na zaburzenia są kary (tak rozumieją tacy jak nasz plac-major) a z łotrami-aresztantami surowość i nieustanne stosowanie litery prawa — to i wszystko, czego potrzeba! Tacy niezdarńi wykonawcy prawa stanowczo nie pojmują i nie są zdolni pojąć, że samo stosowanie litery prawa bez rozumienia jego ducha, wiedzie wprost do nieporządków i nigdy do czego innego nie wiodło. »Tak w prawie powiedziano, czegoż chcieć więcej?« mówią oni i szczerze są zadziwieni, że w dodatku do prawa żądają od nich zdrowego rozsądku i trzeźwej głowy.

Jakkolwiek tam było, dość, że starszy podoficer nie występował przeciw teatrowi, a tego im tylko było potrzeba. Powiem stanowczo, że teatr i wdzięczność za to, że nań pozwolono, sprawiły, że przez święto nie było ani jednego ważniejszego nieporządku: ani jednej bójki, ani jednego złodziejstwa. Sam byłem świadkiem, jak aresztanci powściągali tych, co się zbyt rozhulali lub pokłócili, jedynie pod tym pretekstem, że mogą zabronić teatru. Dali oni słowo podoficerowi, że przez ten czas będzie cisza i spokój i wszyscy będą się dobrze prowadzili. Obietnicę spełniali święcie a schlebiali im to, że wierzą ich słowu. Trzeba zresztą dodać, że urządzenie teatru nie wymagało najmniejszych ofiar ze strony rządu:

miejsce nie było uprzednio ogradzane, cały teatr budował się i rozbierał w ciągu jakiego kwadransa. Przedstawienie trwało półtora godziny i gdyby nagle nadszedł rozkaz z góry: przerwać je — teatr zniknąłby w jednym mgnieniu oka. Kostiumy były przechowane w kufrach aresztanckich. Ale zanim opiszę urządzenie teatru i kostiumy, powiem nieco o afiszu teatralnym, to jest, co mianowicie grać zamierzano.

Właściwie mówiąc, nie było pisanego afisza. Dopiero na drugie, trzecie przedstawienie zjawił się jeden, napisany przez Bakłuszyna dla pp. oficerów i wogóle szlachejnych widzów, którzy raczyli przybyć jeszcze na pierwsze przedstawienie do naszego teatru. Z oficerów mianowicie bywał na przedstawieniach *karaulny*, raz zaszedł sam *dyżurny*, raz także oficer inżynieryjny; dla takich to gości napisany był afisz. Rojono sobie, że sława aresztanckiego teatru rozgrzmi daleko po fortecycy a nawet w mieście, zwłaszcza, że w mieście nie było teatru. Były wieści, że amatorowie zdobyli się w mieście na jedno przedstawienie i tyle tylko. Aresztanci jak dzieci cieszyli się z najmniejszego powodzenia, chętni byli nawet. »Kto tam wie — myśleli i mówili do siebie — może i wyższa władza dowie się o teatrze; przyjdą i popatrzą; dowiedzą się wtedy, jakich mają aresztantów. To nie proste żołdackie przedstawienie ze straszydłami na wróble, z pływającymi łódkami, z chodzącymi niedźwiedziami i kozami. Tu są aktorowie, prawdziwi aktorowie, pańskie komedye grają; takiego teatru nawet w mieście niema. U generała Abrosimowa było raz, mówią, przedstawienie i jeszcze będzie; no, zapewne kostiumami przewyższą, ale co się tyczy rozmowy, to jeszcze niewiadomo, czy naszych prześcigną! Kto wie, może i do gubernatora dojdzie wieść o tem i — djabeł nie śpi — może i sam zechce przyjść i popatrzeć. W mieście niema teatru«... Jednym słowem fantazyja aresztantów, szczególnie po pierwszym powodzeniu, wybujała podczas świąt do najwyższego stopnia, roiła niemal o nagrodach i o skróceniu czasu kary, choć też prawie jednocześnie poczynali się oni najdobroduszniej śmiać ze

swoich rojeń. Jednem słowem były to dzieci, prawdziwe dzieci, pomimo, iż niektórzy z nich mieli po lat czterdzieści.

Chociaż nie było z początku afisza, wiedziałem z czego ma się składać przedstawienie. Pierwsza sztuka miała nazwę: »Fiłatka i Miroszka współzawodnicy«. Bakłuszyn — jeden z tych, co największy udział brali w urządzeniu teatru — jeszcze na tydzień przed widowiskiem chwalił się przedemną, że rola Fiłatki, którą wziął na siebie, będzie tak przedstawioną, jak nie bywa nawet na sankt-petersburskim teatrze. Przechadzając się po kazarmach, chełpił się niemiłosiernie i bezczelnie, ale zarazem zupełnie dobrodusznie, grą swoją, a naraz, bywało, wypalił t a t r a l n i e jakiś ustęp ze swojej roli, i czy to śmieszny, czy nie śmieszny — słuchacze kładą się od śmiechu.

Zresztą trzeba przyznać, że i w tym względzie aresztanci umieli zachować pozory i strzedz swej godności. Wyskokami Bakłuszyna i opowiadaniem o przyszłym teatrze zachwycali się tylko albo młokosi, nie umiejący utrzymać się w aresztanckiej powadze, albo najznakomitsi z aresztantów, których powaga była niewzruszoną, tak, że mogli się nie krępować w wynurzaniu wrażeń jak najbardziej naiwnych (co w ostrogu uchodziło za nieprzyzwoitość). Wszyscy inni słuchali wieści i rozpraw o teatrze w milczeniu; nie ganili wprawdzie, nie przeczyli, ale ze wszystkich sił starali się okazać obojętność dla teatru, a nawet z góry nań spoglądać. Dopiero w ostatniej chwili, w sam dzień przedstawienia wszyscy zaczęli się interesować: co to będzie? Jakże tam nasi? Cóż plac-major? Czy uda się tak, jak w zaprzeszłym roku? i t. d. Bakłuszyn zapewniał mię, że wszyscy aktorzy dobrani wspaniale, że nawet kurtyna będzie, że narzeczoną Fiłatki będzie grał Sirotkin i — no, sami zobaczycie, jak to on w kobiecym ubiorze wygląda, mówił, mrużąc oczy i przyklaskując językiem. Dobroczyzna *pomieszczycza* (obywatelka wiejska) będzie miała suknię z falbaną i pelerynką i parasolkę w ręce, a dobroczynny *pomieszczyk* (właściciel dóbr) wyjdzie w oficerskim surducie z akselbantami i z laseczką.

Druga sztuka, którą miano grać, nazywała się: »Kiedrył-obżora« (Kiedrył-żarłok). Nazwa zaciekawiła mię, ale choć dopytywałem się o treść sztuki, nie się o tem naprzód nie mogłem dowiedzieć. Dowiedziałem się tylko, że nie z książki wzięta, ale z rękopisu, że dostano ją od jakiegoś podoficera na przedmieściu, który prawdopodobnie sam kiedyś brał udział w jej przedstawieniu na scenie żołnierskiej. W istocie są u nas, w odległych miastach i guberniach takie teatralne sztuki, które nikomu nieznanne, nigdy może nie drukowane, skądściś jednak przybyły i stanowią niezaprzeczoną własność każdego ludowego teatru w pewnym pasie Rosyi. Nawiasem dodam, że byłoby bardzo a bardzo dobrze, gdyby który z naszych badaczy podjął nowe i bardziej staranne niż dotąd poszukiwania w dziedzinie ludowego teatru, który jest, istnieje i może nawet ma niemałą wartość. Nie chce mi się wierzyć, ażeby wszystko, co potem widziałem na naszym teatrze w ostrogu, było dziełem naszych aresztantów. Trzeba się koniecznie domyślać tradycyjnego przechodzenia z pokolenia w pokolenie ustalonych sposobów i pojęć, a należy ich szukać wśród żołnierzy, robotników fabrycznych, w miastach przemysłowych a nawet w pewnych nieznanym ubogich miasteczkach u mieszczan. Zachowały się one także po wioskach i miastach gubernialnych wśród służby dworskiej bogatszych właścicieli ziemskich. Sądzę nawet, że stare sztuki teatralne w Rosyi nie inaczej się rozplodziły w licznych kopiach pisanych, jak za pośrednictwem służby dworskiej. U dawnych *pomieszczyków* i moskiewskich panów były własne teatry, które się składały z artystów-poddanych. I w tych to teatrach trzeba szukać początku naszej ludowej sztuki dramatycznej, której cechy są niewątpliwe.

Co się tyczy »Kiedryła-żarłoka«, to pomimo wszelkich usiłowań, nie mogłem się dowiedzieć uprzednio o nim nic więcej nad to, że na scenie zjawiają się złe duchy i ciągną Kiedryła do piekła. Ale co znaczy ten Kiedrył? i dlaczego Kiedrył, a nie Kirył (Cyryl)? Czy to ma być rosyjskie zdarzenie,

czy cudzoziemskie? — nie mogłem się tego dopytać. Wkońcu, jak ogłaszano, miała być »pantomina z muzyką«. Niewątpliwie wszystko to było rzeczą bardzo ciekawą. Aktorów było piętnastu, wszystko lud żwawy i dzielny. Krzatali się, odbywali próby, niekiedy za kazarmami, chowali się, otaczali tajemnicą. Jednym słowem chcieli nas olśnić czemś niezwyčajnem i niespodziewanem.

W dzień powszedni ostróg zamykano wcześniej, jak tylko noc nadeszła. W święta Bożego Narodzenia wyjątkowo nie zamykał się aż do wieczornego capstrzyku. Ulgę tę robiono właściwie dla teatru. W ciągu świąt codziennie przed wieczorem posyłano do karaulnego oficera z najpokorniejszą prośbą: »zezwoić na teatr i nie zamykać wcześniej ostrogu, z dodatkową uwagą, że i wczoraj było przedstawienie i ostróg długo pozostawał niezamknięty, a nieporządków nie było. Oficer karaulny tak rozumował: nieporządków w istocie nie było wczoraj; a skoro sami dają przyrzeczenie że i dziś ich nie będzie, więc sami będą siebie pilnować, a takie bezpieczeństwo najlepsze. A jeśli się nie pozwoli na teatr, to kto ich wie! wszak lud katorżny, mogą umyślnie coś nabroić i nawarzyć karaulnym piwa. A nareszcie i to coś znaczy: na straży stać nudno, a tymczasem teatr i to nie zwykły żołdacki, ale aresztancki, a aresztanci ludzie ciekawi: wesoło będzie popatrzeć. A patrzeć karaulnemu oficerowi zawsze wolno.

Przyjedzie dyżurny: »Gdzie karaulny oficer?« »Poszedł do ostrogu obliczać aresztantów i zamykać kazarmy«; odpowiedź prosta i usprawiedliwienie naturalne. Tym sposobem oficerowie karaulni co wieczór w ciągu świąt zezwalali na teatr i nie zamykali kasarni aż do wieczornego capstrzyku. Aresztanci z góry wiedzieli, że straż wojskowa nie będzie stawiała przeszkód i byli spokojni.

O godzinie siódmej przyszedł po mnie Pietrow i razem udaliśmy się na przedstawienie. Z naszej kazarmy poszli prawie wszyscy z wyjątkiem czernihowskiego starowierca i Polaków. Polacy dopiero na ostatnie przedstawienie, czwartego

stycznia, zdecydowali się pójść do teatru i to po wielu upewnieniach, że tam i dobrze i wesoło i bezpiecznie. Wybredność Polaków bynajmniej nie rozdrażniała aresztantów, i czwartego stycznia bardzo grzecznie ich przyjęto, a nawet ustąpiono miejsc lepszych. Co się tyczy Czerkiesów i Icka, to im nasz teatr sprawiał prawdziwą rozkosz. Icek za każdym razem dawał trzy kopiejki, a ostatniego razu położył aż dziesięć kopiejek na talerzu i uszczęśliwienie malowało się na jego twarzy. Aktorowie postanowili zbierać składkę od obecnych, co kto da, na rozchody teatralne a także i na własne »pokrzepienie«. Pietrow zapewniał mię, że choćby teatr był najbardziej nabity, to jednak mnie puszcza na jedno z pierwszych miejsc dlatego naprzód, że jako bogatszy od innych, zapewne dam więcej, a powtóre, że się więcej od nich znam na rzeczy. Tak się też i stało. Ale opiszę naprzód salę i urządzenie teatru.

Wojenna kazarma nasza, w której urządzono teatr, miała piętnaście kroków długości. Z dziedzińca wchodziło się na ganek, z ganku do sieni, z sieni do kazarmy. Ta długa izba, jak to już powiedziałem przedtem, miała szczególne urządzenie: pod ścianami ciągnęły się nary, środek zaś kazarmy był wolny. Połowa izby, bliższa wejściu z ganku, oddana była widzom; druga połowa, z której było przejście do innej kazarmy, przeznaczoną była na scenę. Przedewszystkiem uderzyła mię kurtyna. Ciągnęła się w poprzek całej kazarmy na kroków dziesięć. Kurtyna była zbytkowym przedmiotem, że było się czemu przypatrzeć. Malowana była olejno: wyobrażone były na niej drzewa, altanki, sadzawki, gwiazdy. Zrobiono ją z płótna starego i nowego, ile kto dał i zaofiarował; ze starych aresztanckich onuczek i koszul, byle jak zszytych w jedną wielką płachtę, a wreszcie część jej, na którą zabrakło płótna, składała się już tylko z papieru, który wyproszono po arkuszu w różnych kancelaryach i urzędach. Nasi zaś malarze, między którymi odznaczał się aresztancki Briułow, A-w, postarali się o zamalowanie tej kurtyny. Taki przepych

rozradował nawet najbardziej ponurych i z wszystkiego niezadowolonych aresztantów, i wszyscy oni, gdy doszło do przedstawienia, okazali się takimiż dziećmi, jak i ci, co byli najgorętsi i najniecierpliwi. Wszyscy byli mocno zadowoleni, nawet chętnie zadowoleni.

Oświetlenie składało się z kilku łożowych świeczek, pokrajanych na kawałki. Przed kurtyną stały dwie ławki z kuchni, a przed ławkami trzy — cztery krzesła, jakie się znalazły w izbie podoficerskiej. Krzesła te przeznaczone były dla najwyższych osób z oficerskiego stanu, ławki zaś dla podoficerów i pisarzy inżynieryjnych, konduktorów i innych ludzi, należących do władzy, ale nie mających stopnia oficerskiego, a to na wypadek gdyby chcieli zajrzeć do ostrogu. Tak się też i stało: postronnych świadków mieliśmy ciągle, przez całe święta, raz mniej, drugi raz więcej; na ostatnim przedstawieniu ani jedno miejsce na ławkach nie zostało niezajętem. Dopiero z tyłu za ławkami mieścili się aresztanci, stojąc, przez uszanowanie dla gości, bez czapek, w kurtkach albo półkorzuskach, pomimo duszącego powietrza w izbie. Naturalnie, miejsca dla aresztantów było bardzo mało. Ale nie dość, że literalnie jeden siedział na drugim, szczególnie w ostatnich rzędach; zajęte były także nary, kulisy, a wreszcie znaleźli się amatorowie, którzy na każde przedstawienie chodzili do drugiej, sąsiedniej kazarmy i stamtąd z za tylnej kulisy przypatrywali się widowisku. Ścisk w pierwszej połowie teatralnej kazarmy był nie do opisania, i równał się chyba temu ściskowi, który niedawno przedtem widziałem w łaźni. Drzwi od sieni były otwarte; w sieniach, gdzie było ze dwadzieścia stopni mrozu, cisnął się także lud więzienny.

Nas, to jest mnie i Pietrowa, puszczono natychmiast naprzód, prawie do samych ławek, gdzie było daleko widniej, niż w tylnych rzędach. We mnie po części ceniono znawcę, który bywał i nie w takich teatrach; aresztanci widzieli, jak przez cały czas przygotowań teatralnych Bakłuszyn naradzał się ze mną, z jakim był dla mnie uszanowaniem; a więc

należy mi się teraz — tak rozumowali — pierwszeństwo i honorowe miejsce. Prawda, aresztanci odznaczali się próżnością i najwyższą lekkomyślnością, ale grunt w nich był inny. Śmiali się oni ze mnie, widząc, że jestem lichy w porównaniu z nimi robotnik; Ałmazow z pogardą spoglądał na nas, szlachtę, pyszniąc się wobec nas swoją umiejętnością wypalania alabastru. Ale do prześladowania i urągania z nas pobudzało ich jeszcze co innego: myśmy byli kiedyś szlachtą; należeliśmy do tego stanu, co i dawniejsi ich panowie, o których oni nie mogli zachować dobrej pamięci. Teraz jednak w teatrze ustępowali przedemną. Uznawali, że ja o tem mogę lepiej od nich sądzić, że wiem i widziałem więcej od nich. Najbardziej niechętni dla mnie (wiem o tem) pragnęli teraz mojej pochwały dla swego teatru i bez wszelkiej trudności puścili mię na lepsze miejsce. Tak sądzę teraz z wrażenia, które wówczas odniosłem. Zdawało mi się wówczas także, że w ich słusznem ocenieniu siebie, nie było wcale uniżania się, tylko uczucie własnej godności. Najlepszy i najwybitniejszy rys charakteru naszego ludu, — to uczucie sprawiedliwości i jej pragnienie. Koguciego rozpędu, aby stawać zawsze na przedzie, i to za jakąkolwiek cenę, bez względu, czy kto zasługuje, czy nie, na to — tego u ludu niema. Trzeba tylko zdjąć zewnętrzną, narośniętą korę i popatrzeć na samo jądro z bliska, uważnie, bez uprzedzeń — a niejedyn dojrzy w ludzie takich rzeczy, których ani się domyślał. Niewiele mogą nauczyć lud mędracy nasi; i owszem, sami powinni się od niego pouczyć.

Pietrow powiedział mi naiwnie, gdyśmy się wybierali do teatru, że i dlatego jeszcze puszcza mię naprzód, że dam więcej pieniędzy. Oznaczonej ceny nie było: każdy dawał, co mógł albo chciał. Kiedy obnoszono talerz dla zbierania pieniędzy, prawie wszyscy coś dali, choćby po groszu. Ale jeżeli mię puszczano naprzód, poczęści i dlatego, że spodziewano się więcej odemnie pieniędzy, to znowuż ile w tem było poczucia własnej godności! »Ty bogatszy odemnie, a więc idź

naprzód, i chociaż my tu wszyscy równi, ale ty położysz więcej, więc jesteś miłszym dla aktorów, więc tobie się należy pierwsze miejsce, a my, którzy nie kupujemy miejsc, powinniśmy się sami gatunkować«. Ile w tem prawdziwej szlacheckiej dumy! To nie jest uszanowanie dla pieniędzy, ale uszanowanie dla samego siebie. Wogóle dla pieniędzy, dla bogactwa nie było w ostrogu szczególnego uszanowania, zwłaszcza jeśli brać ogół aresztantów na uwagę. A nawet, gdyby z osobna każdego z nich rozpatrywać, to nie pamiętam ani jednego, któryby się na dobre uniżał dla pieniędzy. Byli natręci, którzy i mnie dokuczali prośbami; ale w tem natręctwie było więcej swawoli, oszukaństwa, niżeli żebraniny; więcej humoru, naiwności. Nie wiem, czy zrozumiałe się wyrażam... Ale odbiegłem od teatru. Do rzeczy.

Do podniesienia zasłony cała izba przedstawiała dziwny i pełen ożywienia obraz. Naprzód tłum widzów, zduszony, ściśnięty ze wszystkich stron, cierpliwie i z błogością w twarzy wyczekujący początku przedstawienia. W tylnych rzędach ludzie tłoczyli się jedni na drugich. Wielu z nich przyniosło z sobą polana z kuchni: jako tako ustawiwszy polano pod ścianą, aresztant włożył na nie, obu rękami opierał się na barkach stojącego przed nim widza i nie zmieniając położenia stał tym sposobem przez dwie godziny, zupełnie zadowolony z siebie i ze swego miejsca. Inni włożyli na wystającą przystawkę koło pieca i tam cały czas przestali, opierając się na stojących przed nimi widzach. Działo się to mianowicie w tylnych rzędach, pod ścianą. Z boku, na narach, tłoczyła się również gęsta gromada, nad muzykantami. Tu były dobre miejsca. Pięciu ludzi wdrapało się aż na piec i leżąc na nim, w dół patrzyli. Tożto używali szczęścia! Przy oknach, po drugiej stronie izby, cisnęły się także tłumy tych, co się spóźnili lub nie znaleźli dobrego miejsca. Wszyscy zachowywali się cicho i przyzwoicie. Każdy chciał się z jaknajlepszej strony pokazać przed panami i gośćmi. Na wszystkich twarzach zwierciedliło się naiwne oczekiwanie. Wszystkie twarze były czer-

wone i potem zlane od gorąca i zaduchu. Co za dziwny odbłask dziecinnej radości, miłego, czystego zadowolenia jaśniał na tych pokiereszowanych, popiętnowanych czołach i twarzach, w tych spojrzaniach, dotychczas ponurych i mrocznych, w tych oczach, które nieraz migotały straszliwym ogniem! Wszyscy byli bez czapek i z prawej strony wszystkie głowy wydawały mi się, jakby całkiem ogolone.

Ale oto na scenie słyhać krzatanie się i bieganie. Wnet podniosą zasłonę: oto już zagrała orkiestra... Ta orkiestra zasługuje na wzmiankę. Z boku, na narach, usadowiło się ośmiu muzykantów: dwie skrzypki, (jedna była w ostrogu, drugiej pożyczono u kogoś w fortecy, a artysta znalazł się wśród aresztantów), trzy bałałajki — wszystkie własnego wyrobu, dwie gitary i bęben zamiast kontrabas. Skrzypce tylko piszczały i drapały uszy, gitary były liche, za to bałałajki niezrównane. Zręczność w przebieraniu strun palcami była nadzwyczajną. Grano same taneczne motywy. W miejscach, gdzie taneczność motywu bardziej się uwydatnia, artyści grający na bałałajkach uderzali kośćmi palców w deko bałałajki; ton, smak, wykonanie, sposób obchodzenia się z instrumentem, charakter oddania motywu — wszystko było swoje, oryginalne, aresztanckie. Jeden z gitarzystów również znakomicie znał się ze swoim instrumentem. Był to ten szlachcic, który siedział za zabicie swego ojca. Co się tyczy bębna, to ten istne cuda tworzył; to zakręci się na palcu, to wielki palec przesunie się po jego skórze; to słyhać częste, dźwięczne, jednostajne uderzenia, to nagle ton silny i wyrazisty dźwięk rozsypuje się jakby grochem na niezliczoną ilość małych, głucho dźwięczących i szepczących głosów. Nakoniec zjawiły się dwie harmonie. Daję słowo honoru — nie miałem dotychczas pojęcia o tem, co można zrobić z prostych, ludowych instrumentów; zgodność dźwięków i instrumentów, a głównie duch, charakter pojęcia i oddania istoty motywu były wprost zadziwiające. Po raz pierwszy wtedy dobrze pojąłem, co jest

nieskończenie hulaszczego i dzielnego w hulaszczycy pieśniach rosyjskich do tańca.

Nakoniec podniosła się zasłona. Wszyscy się poruszyli, przestąpili z jednej nogi na drugą, stojący z tyłu podnieśli się na palcach; ktoś spadł z polana; wszyscy co do jednego otwarli usta i wyteżyli oczy i zapanowała najzupełniejsza cisza... Zaczęło się przedstawienie.

Koło mnie stał Alej, pośród swoich braci i innych Czerkiesów. Wszyscy oni namiętnie polubili teatr i co wieczór potem bywali na przedstawieniu. Miałem nieraz sposobność zauważyć, że wszyscy muzułmanie, Tatarzy i inni, namiętnie lubią wszelkiego rodzaju widowiska. Koło nich przykucnął i Isaj Fomicz; zdawało się, że z podniesieniem zasłony zamienił się cały w słuch i wzrok i w najnaiwniejsze, gorące oczekiwanie cudów i rozkoszy, tak, że aż przykro było pomyśleć sobie, że może doznać rozczarowania. Miła twarz Aleja świeciła taką dziecinną, rozkoszną radością, że miałem nadzwyczajną przyjemność patrzeć na niego i pamiętam, że mimowoli przy każdym jakimś śmiesznym lub zręcznym zwrocie aktora, kiedy się rozległ śmiech powszechny, natychmiast zwracałem się do Aleja i w twarz mu spoglądałem. On mię nie widział; miał co innego do widzenia! Niedaleko odemnie, z lewej strony, stał aresztant w podeszłym już wieku, zawsze nachmurzony, zawsze niezadowolony i zawsze mrukliwy. On także zwrócił uwagę na Aleja i widziałem, jak kilka razy z półśmiechem obracał się, aby popatrzeć na niego, tak był miły Alej.

Zaczęto od »Fiałki i Miroszki«. Fiałka (Bakłuszyn) był rzeczywiście wspaniały. Odegrał swoją rolę z zadziwiającą dokładnością. Widać było, że rozmyślał nad każdym frazesem, nad każdym ruchem swoim. Każdemu zwykłemu słowu, każdemu gestowi, umiał nadać sens i znaczenie, zupełnie odpowiadające roli. Do tej staranności, do tego zadziwiającego wystudyowania trzeba dodać niewymuszoną wesołość, prostotę, naturalność, i gdybyście widzieli Bakłuszyna, zgodzilibyście się

niewątpliwie, że to prawdziwy, urodzony aktor, z wielkim talentem. Fiłatkę widziałem nieraz na moskiewskiej i petersburskiej scenie i mówię stanowczo — aktorowie stołeczni, którzy grali Fiłatkę, obaj grali gorzej od Bakłuszyna. W porównaniu z nim byli to wieśniacy, ale nie prawdziwi chłopci. Znadto silili się, aby przedstawić chłopca. Bakłuszyna prócz tego pobudzało współzawodnictwo: wszystkim wiadomo było, że w drugiej sztuce, w roli Kiedryła występować będzie aresztant Pociiejkin aktor, który przez wszystkich niewiadomo dlaczego, uważany był za zdolniejszego, lepszego od Bakłuszyna i Bakłuszyn cierpiał z tego powodu, jak dziecko. Ileż razy w ostatnich dniach przychodził do mnie i wynurzał przedemną swoje uczucia. Na dwie godziny przed przedstawieniem był jak w febrze. Teraz, kiedy widzowie śmiali się i kiedy wołano z tłumu: »Tęgo Bakłuszyn! *Aj-da maładiec!* — twarz jego jaśniała szczęściem, prawdziwe natchnienie błyszczało mu w oczach. Scena całowania się z Miroszką, kiedy Fiłatka woła do niego naprzód: »obetrzej nos« i sam się obciera — wypadła doskonale, była nieskończenie śmieszną. Wszyscy aż się zatoczyli od śmiechu.

Ale najwięcej mię zajmowali widzowie; teraz już niczem się nie krępowali i oddawali się ucieście w całej pełni. Okrzyki zadowolenia rozlegały się coraz częściej. Oto jeden trąca swego towarzysza i naprędce udziela mu swoich wrażeń, nawet nie troszcząc się, a może nawet nie wiedząc, kto stoi koło niego; drugi, podczas jakiejś śmiesznej sceny, nagle w zachwycie obraca się ku tłumowi, bystro wszystkich wzrokiem obrzuca, jakby wzywając do śmiechu, macha ręką i napowrót skwapliwie zwraca się ku scenie. Trzeci tylko kłaśnie językiem i palcami i nie może spokojnie ustać na miejscu, a ponieważ niema gdzie iść, więc tylko na miejscu przebiera nogami. Przy końcu sztuki wesołość ogólnego nastroju dosięgła najwyższego stopnia. Nic nie przesadzam. Wyobraźcie sobie ostróg, kajdany, niewolę, długie, smutne lata w perspektywie, życie jednostajne, jak słońce w chmurny dzień jesienny, — i oto nagle

tym wszystkim zamkniętym i niewolą przywalonym pozwolono na godzinę rozprostować się, poweselić, zapomnieć o ciężkim śnie, urządzić całkowity teatr i jeszcze jak urządzić: na chlubę dla siebie, na podziw dla całego miasta, — niech się dowiedzą, cośmy to za aresztanci!

Ich naturalnie wszystko zajmowało, naprzykład kostymy. Z niesłychaną ciekawością patrzali oni na to, jak n. p. taki Wańka Otpietyj, albo Niecwietajew, albo Bakłuszyn występował w zupełnie innym ubiorze, niż ten, w którym go od tylu lat codziennie widywali. »Przecież to aresztant, ten sam aresztant, kajdanami pobrzękuje, a teraz wychodzi w surducie, w okrągłym kapeluszu, w płaszczu — czysty *cywil!* Wąsy sobie przylepił i włosy. Oto czerwoną chusteczkę wyjął z kieszeni, pomachuje nią, pana udaje, sam jak dwie krople wody pan!« I wszyscy w zachwycie. »Dobroczynny obywatel« wyszedł na scenę w adjutanckim mundurze, choć co prawda bardzo wytartym, w epoletach, w czapce wojennej z kokardką i wywołał nadzwyczajne wrażenie. Do tej roli było dwóch amatorów i jak małe dzieci, straszliwie pokłócili się z sobą o to, kto ma grać: tak się każdemu z nich chciało pokazać w oficerskim mundurze i w akselbantach. Inni aktorowie starali się ich pogodzić i większością głosów przysądzono rolę Niecwietajowowi, nie dlatego, żeby był okazańszy i piękniejszy od tamtego i wskutek tego podobniejszy do pana, ale że Niecwietajew upewnił wszystkich, że wyjdzie na scenę z laseczką i będzie nią wymachiwał i po ziemi kreślił figury tak, jak to czyni prawdziwy pan i najpierwszy elegant, czego Wańka Otpietyj nie potrafi, bo on nigdy prawdziwych panów nie widywał. I w istocie Niecwietajew jak tylko raz ze swoją panią wystąpił przed publicznością, wciąż był zajęty swoją cienką trzecinową laseczką, której niewiadomo skąd dostał, i kreślił nią biegle i zwinnie po ziemi, widząc w tem zapewne cechę najwyższej pańskości i elegancyi. Prawdopodobnie kiedyś w dzieciństwie, gdy był bosym dworskim chłopakiem, zdarzyło mu się widzieć pięknie ubranego pana z la-

seczką w rękę i tak zachwyił się jego sztuką wiercenia laseczką, że to wrażenie na wieki niezatarte pozostało w jego duszy i teraz w trzydziestu latach przypomniało mu się wszystko, jak było, ku zupełnemu oczarowaniu całego ostrogu. Niecwietajew tak był przejęty tem swoim zadaniem, że na nikogo nie patrzył, nawet mówił nie podnosząc oczu, wpatrzony w swoją laseczkę i jej koniec. »Dobroczyzna obywatelka« była także w swoim rodzaju nadzwyczaj godną uwagi. Wystąpiła w starej, muslinowej sukni, wyglądającej jak ścierka, z gołemi rękami i gołą szyją, ze strasznie ubieloną i naróżowaną twarzą, w perkalowym czepku nocnym, podwiązanym pod brodą, i z parasolką w jednej ręce a wachlarzem z upstrzonego papieru, którym się nieustannie wachlowała, w drugiej. Salwa śmiechu przywitała obywatelkę a i ona też nie wytrzymała i kilka razy zaczynała chychotać. Obywatelką był aresztant Iwanow. Sirotkin, przebrany za dziewczynę, wyglądał bardzo ładnie. Kuplety również się udały. Jednem słowem sztuka odegrana była ku zupełnemu a powszechnemu zadowoleniu. Krytyki nie było, bo i być jej nie mogło.

Odegrano jeszcze raz uverture: »Sieni moje sieni« i znowu podniosła się kurtyna. Teraz Kiedrył. Kiedrył jest czemś w rodzaju Don Żuana; i pana i sługę pod koniec sztuki dyabli porywają i unoszą do piekła. Dawano cały akt, ale to widocznie był urywek; początek i koniec zatracono. Sensu w tem ani odrobiny. Rzecz dzieje się w Roswi, gdzieś w domu zajędnym. Karczmarz wprowadza do izby pana w szynelu i w okrągłym, pogiętym kapeluszu. Za nim idzie sługa jego, Kiedrył, z tłumokiem i z pieczoną kurą, zaminiętą w sinym papierze. Kiedrył w półkorzuszku i w lokajskiej czapce. On to jest żarłokiem. Gra tę rolę Pocijkin, współzawodnik Bakłuszyna; pana gra tensam Iwanow, który w pierwszej sztuce występował, jako dobroczyzna obywatelka. Karczmarz, Niecwietajew uprzedza gości, że w tej izbie pojawiają się dyabli, i odchodzi. Pan, ponury i w myślach pogrążony, mruczy coś pod nosem, że on dawno o tem wiedział, każe Kiedryłowi

rozpakować rzeczy i przygotować wieczerę. Kiedrył jest tchórzem i żarłokiem. Usłyszawszy o dyabłach, blednie i drży jak liść. Uciekłby, ale boi się pana. Zresztą i jemu się chce jeść. Jest łakomy, głupi, przebiegły po swojemu, tchórz, oszukuje pana na każdym kroku i jednocześnie boi się jego: ciekawy typ sługi, w którym zdaleka i niejasno widnieją rysy Leporella. Był też znakomicie oddany. Pocięjkin miał niezaprzeczony talent i mojem zdaniem był to aktor jeszcze lepszy od Bakłuszyna. Rozumie się, że nie wypowiedziałem tego zdania przed Bakłuszynem, spotkawszy się z nim nazajutrz, bobym go był bardzo zasmucił. Aresztant, który występował w roli pana, grał także niezłe. Prawił straszne niedorzeczności, bez żadnego sensu; ale dykcya była prawidłowa, rażna, ruchy odpowiednie. Dopóki Kiedrył pora się z tłumokami, pan jego zamysłony przechadza się po scenie i oznajmia publiczności, że dzisiejszy wieczór zakończy jego doczesną wędrówkę. Kiedrył ciekawie przysłuchuje się temu, stroi pocieszne miny, przemawia na stronie i każdym słowem śmiechy widzów. Nie żał mu pana, ale posłyszał o dyabłach, chciałby się dowiedzieć, co znaczy ta wzmianka, więc wdaje się w rozmowę z panem i rozpytuje się go. Pan mu w końcu objawia, że niegdyś w jakiejś potrzebie wezwał pomocy piekła i czarci mu pomogli; ale dziś termin, i być może, że dziś według umowy przyjdą po duszę jego.

Kiedrył zaczyna tchórzyć. Ale pan nie traci ducha i każe mu przygotować wieczerę. Posłyszawszy o wieczerzy Kiedrył ożywia się, wyjmuje kurę, wyjmuje wino, — i już, już zabiera się do urwania kawałka kury i pokosztowania. Publiczność śmieje się. W tem drzwi skrzypnęły, wiatr stuknął okiennicami; Kiedrył drży i naprędcę, prawie nieprzytomnie pakuje do ust ogromny kawał kury, którego przełknąć nie może. Znowu śmiech się rozlega. »Cóż, czy gotowa wieczerza?« woła pan, przechadzając się po izbie. »Zaraz, jaśnie panie... zaraz jaśnie panie... przygotuję«, mówi Kiedrył, sadowi się za stołem i najspokojniej zaczyna pańskie jedzenie

uprzętać. Publiczności widocznie podoba się przebiegłość i spryt sługi, i to, że pana oszukują. Trzeba też przyznać, że Pociękin wart był w istocie pochwały. Słowa: »zaraz ja panu przygotowuję« wypowiedział znakomicie. Usiadłszy za stołem, zaczyna jeść łapczywie i podskakuje za każdym krokiem pana ze strachu, aby ten nie spostrzegł jego psich figlów; jak tylko pan zawróci się na miejscu, Kiedrył chowa się pod stół i ciągnie tam za sobą kurę. Nakoniec zaspokoił pierwszy głód; czas już pomyśleć o panu. »Kiedrył, a kiedyż tam dasz wieczereć?« woła pan. »Już gotowa« wyraźnie odpowiada Kiedrył, spostrzegłszy się, że dla pana prawie nic nie zostało. Na talerzu w istocie leży tylko noga z kury. Pan, ponury i zamyślony, nie spostrzegając ubytku kury, siada za stołem a Kiedrył z serwetą na ręku staje za jego krzesłem. Każde słowo, każdy ruch, każdy grymas Kiedryła, kiedy zwracając się do publiczności kiwa głową nad głupotą swego pana, spotykane są niepowstrzymanym śmiechem publiczności.

Ale oto zaledwie pan zabrał się do jedzenia, zjawiają się czarci. Tu już nie można zrozumieć, a i dyabli zjawiają się jakoś zbyt nie po ludzku: w bocznej kulisie otwierają się drzwi i wychodzi z nich coś w białym okryciu, mając latarkę ze świecą zamiast głowy; drugie widziadło także z latarką na głowie i z kosą w ręku. Co znaczą te latarki, co znaczą kosa, dlaczego dyabli w białym okryciu? Nikt tego objaśnić by nie mógł, ale nikt się nad tem nie zastanawia. Tak już widocznie być powinno. Pan dość odważnie zwraca się do czartów i woła, że gotów jest, aby go brali. Ale Kiedrył tchórzy jak zając; lezie pod stół, nie zapominając zresztą pomimo całego przestachu, ściągnąć butelki ze stołu. Czarci na chwilę znikają, Kiedrył wyłazi z pod stołu, ale zaledwie pan jego znowu zabiera się do kury, znowu trzech dyabłów wpada do izby, chwytają pana z tyłu i niosą go do piekła. »Kiedrył ratuj mnie!« woła pan. Ale Kiedrył ani myśli o tem. Tym razem ściągnął on pod stół i butelkę i talerz i chleb nawet.

Ale teraz on sam, niema dyabłów, niema i pana; Kiedrył wyłazi, rozgląda się i uśmiech opromienia twarz jego. Figlarnie mruży oczy, siada na pańskim miejscu i kiwając głową do publiczności, mówi z cicha:

— No, teraz sam jestem... bez pana!

Wszyscy śmieją się z tego, że on bez pana; on zaś dodaje jeszcze półszepem, zwracając się konfidencyjnie do publiczności i coraz weselej pomrugując okiem:

— A pana dyabli wzięli!...

Zachwył widzów niema granic! Nie dość, że pana dyabli wzięli, ale słowa te powiedziane były z takim urwisostwem, z takim drwiąco-tryumfującym grymasem, że w istocie trudno było nie okłaskiwać. Nie długo jednak trwa szczęście Kiedryła. Tylko co zabrał się do butelki, nalał szklanekę i miał już pić, gdy nagle wracają czarci, skradają się z tyłu na palcach i chap! chwytają go pod boki. Kiedrył wrzeszczy na całe gardło; ze strachu nie śmie się obrócić. Bronić się także nie może: w rękach ma butelkę i szklanekę, z którymi rozstać się nie zdoła. Otworzywszy usta z przerażenia, siedzi z pół minuty z wytrzeszczonemi na publiczność oczyma i z tak śmiesznym wyrazem tchórzostwa i przestachu, że warto go było odmalować w tej chwili. Nakoniec dyabli biorą go i unoszą; nie puszczając butelki, macha nogami i wrzeszczy. Krzyki jego rozlegają się jeszcze za kulisami. Ale zasłona spada, wszyscy śmieją się, wszyscy w zachwycie... Orkiestra zaczyna grać kamaryńską.

Zaczyna cicho, zaledwie ją słyszeć, ale motyw wciąż rośnie i rośnie, tempo coraz pędzse, rozlegają się zuchowate uderzenia o deka bałałajki... To kamaryńska w całym swoim rozpędzie, i zaiste wartoby, aby Glinka choć raz jej posłuchał u nas w ostrogu. Zaczyna się pantomina z towarzyszeniem muzyki. »Kamarinskaja« nie umilkła przez cały czas pantominy. Przedstawione jest wnętrze izby; na scenie młynarz i jego żona. W jednym kącie młynarz naprawia jakieś narzę-

dzia, w drugim żona przedzie len. Żoną jest Sirotkin, młynarzem Niecwietajew.

Trzeba dodać, że nasze dekoracje są bardzo ubogie. I w tej i w poprzedniej sztuce i w innych, trzeba to, co się widzi, uzupełnić wyobraźnią. Zamiast tylnej ściany przeciągnięty jakiś dywan czy kotara; z boku jakiś lichy parawan. Lewa strona zupełnie nie zasłonięta, tak, że widać nary. Ale widzowie niewybredni i chętnie uzupełniają rzeczywistość wyobraźnią: »Powiedziano ogród, więc niech będzie ogród, pokój — więc pokój, izba — więc izba, wszystko jedno, ceremonie niepotrzebne«. Sirotkin w ubiorze młodej kobieciny wyglądał bardzo przyjemnie. Wśród publiczności słyhać kilka komplementów wypowiedzianych półgłosem. Młynarz kończy robotę, bierze czapkę, bierze knut, czyli nahajkę, podchodzi do żony i objaśnia ją znakami że musi iść, ale jeżeli ona przyjmie kogo bez niego, to... i pokazuje jej nahajkę. Żona słyha i kiwa głową. Ta nahajka prawdopodobnie dobrze jej znana: kobiecina lubi pohulać bez męża. Mąż odchodzi. Ledwie za drzwiami, żona grozi w jego stronę kułakiem. W tem ktoś stuka; drzwi otwierają się i zjawia się sąsiad, także młynarz, chłop w kaftanie i z brodą. W ręku niesie podarunek, czerwoną chustkę. Kobiecina śmieje się; ale zaledwie sąsiad chce ją objąć, gdy znowu stuk we drzwi. Gdzie się podziać? Kobieta chowa sąsiada pod stołem, a sama zabiera się do wrzeciona. Zjawia się drugi adorator: to pisarz w wojskowym mundurze. Dotychczas pantomina była nienaganną, ruchy bez błędu. Można się było nawet dziwić, patrząc na tych improwizowanych aktorów, i mimowoli westchnąć: ile to sił i talentu ginie u nas w Rosyi marnie, w niewoli i ciężkiej doli! Ale aresztant, który grał pisarza, widział zapewne kiedyś jakiś prowincjonalny lub domowy teatr i wydało się jemu, że nasi aktorowie, wszyscy co do jednego, nie znają się na rzeczy i nie tak chodzą, jak trzeba chodzić na scenie. I oto występuje tak, jak niegdyś podobno występowali klasyczni bohaterowie w teatrze: zrobi jeden krok długi i nie przysu-

nąwszy jeszcze drugiej nogi, nagle zatrzyma się, odrzuci w tył korpus i głowę, dumnie spogląda w koło i dopiero potem drugi krok postawi. Jeżeli taki chód był śmieszny w klasycznych bohaterach, to jeszcze śmieszniejszy w wojennym pisarzu, w komicznej scenie. Ale nasza publiczność sądziła, że tak tam pewno być musi i posuwiste kroki długonogiego pisarza przyjęła jako fakt spełniony, nie wdając się w krytykę.

Zaledwie pisarz znalazł się na środku sceny, kiedy znowu dało się słyszeć pukanie i gospodyni znów w przestachu. Gdzie schować pisarza? Na szczęście stoi kufer otwarty; pisarz lezie do kufra, a kobieta nakrywa go wiekiem. Tym razem zjawia się gość szczególnie, choć także jeden z zakochanych. Jest to bramin i nawet w kostiumie. Niepowstrzymany śmiech rozlega się wśród widzów. Bramina gra aresztant Koszkin i gra wybornie, postać ma zupełnie bramińską. Gestami objaśnia miłość swoją, podnosi ręce ku niebu, potem przykłada je do piersi, do serca. Ale wśród tego rozczulania się daje się słyszeć nagle silne uderzenie we drzwi. Po uderzeniu poznać, że to gospodarz. Przelekła żona traci przytomność, bramin miota się jak kot zagorzały i błaga, aby go ukryto. Kobieta naprędce chowa go za szafą, a sama, zapomniawszy otworzyć drzwi, rzuca się do swojej przędzy, i przędzie, przędzie, nie słysząc stukania swego męża we drzwi, z przestachu ciągnie nitkę, której niema w ręce, i kręci wrzeciono, zapomniawszy je podnieść z podłogi. Sirotkin bardzo udatnie wyobraził ten przestach. Ale gospodarz wybija drzwi nogą i z knutem w ręce podchodzi do żony. Wszystko podpatrzył i widział, i odrazu pokazuje jej palcami, że trzech jest u niej schowanych. Potem zaczyna ich szukać. Naprzód znajduje sąsiada i przeprowadza go, okładając szturchańcami, za drzwi. Przelekły pisarz chciał już uciekać, podniósł głową wieko skrzyni i tem się wydał. Gospodarz podcina go biczem i tym razem zakochany pisarz wyskakuje wcale nieklasycznie. Pozostaje bramin; gospodarz go długo szuka, nakoniec znajduje w kącie za szafą, kłania mu się grzecznie i za brodę

wyciąga na środek sceny. Bramin chce bronić się, woła: »okajannyj, okazannyj«¹⁾ (jedyne słowa wypowiedziane w pantominie), ale mąż nie słucha go i rozprawia się z nim po swojemu. Żona, widząc, że teraz na nią przyjdzie kolej, rzuca przedzę, wrzeczono i ucieka z pokoju, przęślica wali się na ziemię, aresztanci śmieją się. Alej, nie patrząc na mnie, targa mi rękę i woła: »Patrz, bramin, bramin!« i ledwie się nie kładzie od śmiechu. Zastona spada, zaczyna się inna scena.

Ale nie będę opisywał wszystkich scen. Było ich jeszcze dwie lub trzy; wszystkie zabawne i szczerze wesołe. Jeżeli nie aresztanci układali je, to przynajmniej włożyli w każdą z nich coś swojego. Prawie każdy aktor improwizował coś w swojej roli, tak, że następujących wieczorów role te nieco inaczej były odegrane. Ostatnia pantomima, fantastyczna, zakończyła się baletem. Chowano umarłego. Bramin z licznym orszakiem służebnym czyni rozmaite zaklęcia nad trumną, ale nic to nie pomaga. Nakoniec rozlega się »Słońce na zachodzie«, zmarły wcała do życia i wszyscy z radości zaczynają tańczyć. Bramin tańczy z nieboszczykiem, a tańczy w sposób zupełnie odrębny, po bramińsku. Na tem się kończy przedstawienie, do następnego wieczora. Wszyscy nasi rozchodzą się, weseli, zadowoleni, chwalą aktorów, dziękują podoficerowi. Kłótni nie słychać. Wszyscy w niezwykłym usposobieniu, jak gdyby szczęśliwi i zasypiają nie jak zwykle, ale prawie ze spokojną myślą, choć nic się nie zmieniło w ich położeniu. — A przecież to nie jest marą mojej wyobraźni. To prawda, rzeczywistość. Trochę tylko pozwolono tym biednym ludziom pożyć po swojemu, poweselić się po ludzku, choć godzinę przeżyć życiem nie więziennem — i aresztant zmienił się wewnątrz, choć tylko na kilka chwil...

Ale oto już noc głęboka. Drgnąłem i ocknąłem się ze snu: starzec ciągle jeszcze modli się na piecu i tak przemodli całą

¹⁾ Wyrażenie cerkiewne, które oznacza tyle, co przeklęty, nie-szczęśny, nędzny.

noc do świtu; Alej cicho śpi obok mnie. Przypominam sobie że nawet zasypiając, śmiał się jeszcze, ciągnąc rozmowę z braćmi o teatrze i mimowoli wpatruję się w twarz jego spokojną i dziecinną. Powoli przypominam sobie wszystko: ostatni dzień, święta, cały ten miesiąc... w przerażeniu podnoszę głowę i przy drżącym małym świetle kaziennej świecy spoglądam na śpiących towarzyszy. Patrzę na ich nędzne twarze, na ich biedne posłanie, na całą tę bezbrzeżną goliznę i nędzę, wpatruję się, jak gdybym chciał przekonać się, że to wszystko nie jest dalszym ciągiem jakiegoś snu okropnego, ale istotną prawdą. Tak, to jest prawda; oto słyhać czyjś jęk, tam ktoś ciężko odrzucił rękę i brzęknął łańcuchem. Ktoś inny drgnął we śnie i zaczął mówić, a dziadek na piecu modli się za wszystkich »prawowiernych chrześcian« i słyhać jego miarowe, ciche, przeciągłe: »Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!...

— Przecież nie na zawsze tu jestem, a tylko na lat kilka — myślę sobie i chylę znów głowę do poduszki.

X.

Letnia pora.

Oto już i początek kwietnia, zbliża się Wielkanoc. Powoli zaczynają się letnie roboty. Słońce z każdym dniem cieplej i jaskrawiej świeci, powietrze pachnie wiosną i drażniaco działa na organizm. Nadchodzące dni piękne rozkołysują i zakutego człowieka, budzą w nim jakieś żądze, pragnienia, tęsknotę. Żal za swobodą wydaje się jeszcze silniejszym pod jarzącymi promieniami słońca, niż w chmurny dzień jesienny lub zimowy: widać to na twarzach wszystkich aresztantów. Wprawdzie cieszą się oni z jasnych dni, ale jednocześnie wzmagają się w nich niecierpliwość i porywczosć. W istocie, zauważyłem, że u nas na wiosnę częściej zdarzały się kłótnie więzienne, częściej rozlegał się krzyk, gwar, hałas, częściej bywały zajścia. A obok tego nieraz zdarzało się podpatrzyć na robocie czyjś wzrok zadumany, uporeczywie wpatrzony w dal siniejącą hen na drugim brzegu Irtysza, gdzie nieobjętym obrusem na półtora tysiąca wiorst zaczyna się wolny step kirgiski; można było podsłuchać czyjeś głębokie, z całej piersi westchnienie, jak gdyby coś ciągnęło człowieka odetchnąć tam dalekiem, swobodnem powietrzem i ulżyć swej przygniecionej i zakutej duszy. »Echma!« mówi w końcu do siebie aresztant, i nagle, jakby strząsnąwszy z siebie wszystkie rojenia i dumy, niecierpliwie i gniewnie chwyta za rydel lub cegły, które trzeba przenieść z jednego miejsca na inne. Za chwilę

zapomina o nagłym wrażeniu, którego doznał, i zaczyna śmiać się lub łajać, stosownie do usposobienia; to znów z nadzwyczajnym i bynajmniej do potrzeby niezastosowanym zapaleń rzuca się do zadanej roboty, jeżeli robota jest zadaną, i zaczyna pracować, pracować ze wszystkich sił, jak gdyby ciężarem pracy chciał przytłumić to, co go wewnątrz męczy i dręczy. Wszystko to lud silny, po większej części w kwiecie lat i sił... Ciężkie są kajdany w tym wieku! Nie poetyzuję mówiąc to, i przekonany jestem o prawdzie tej mojej uwagi.

Nie dość, że w cieple, wśród blasku wiosennego słońca, kiedy całą duszą, całą istotą swoją czujesz i słyszysz wkoło siebie zmartwychwstającą z niepokonaną siłą przyrodę, jeszcze cięższymi staje się zamknięte więzienie, konwój i cudza wola; prócz tego w tę wiosenną porę na całym Sybirze i w całej Rosyi zaczyna się z pierwszym skowronkiem włóczęgostwo i uciekają ludzie z ostrogów i chronią się po lasach. Po dusznem więzieniu, po sądach, kajdanach i kijach, używają teraz w całej pełni swobody, wędrując, gdzie im się podoba, gdzie ich coś wabi i nęci; jedzą i piją, co się zdarzy, co Bóg pošle, a nocami zasypiają gdzieś w lesie albo w polu, bez wielkiego kłopotu, bez więziennej troski, jak leśne ptaki, żegnając się na noc tylko z gwiazdami niebieskimi pod okiem boskiem.

Czasem jednakże bywa ciężką i głodną i wyczerpującą »służba u generała Kukuszki«. Całymi dniami nieraz zdarza się nie widzieć chleba; przed każdym trzeba się ukrywać trzeba kraść i grabić, a niekiedy popełnić zabójstwo. »Posieleniec jak niemowlę, na co spojrzy, to i ciągnie«, tak mówią na Syberyi o posielencach. Przysłowie to w całej sile i z większą nawet słusnością może być zastosowane do włóczęgi. Włóczęga rzadko kiedy nie rozbójnik, a prawie zawsze złodziej, rozumie się więcej z konieczności, niż z powołania. Są zatwardziali, niepoprawni włóczęgowie. Życie wśród lasów, w nędzy i strachu, ale wolne i pełne przygód, ma w sobie jakąś ponętę, jakiś tajemniczy urok dla tych, którzy go raz zakosztowali i oto nieraz zdarza się, że ucieka człowiek, nawet

cichy i akuratny, który już przyrzekł zostać porządnym, osiadłym gospodarzem. Niejeden się nawet ożeni, ma dzieci, i pięć lat przemieszka na jednym miejscu i nagle pewnego pięknego poranku znika, zostawiając żonę, dzieci i gminę, do której przypisany, bez wieści o sobie. Pokazywano mi w ostrogu jednego z takich zbiegów. Nie popełnił on jakichś szczególnych przestępstw, przynajmniej nie o nich nie było słyhać, ale całe życie swoje spędził na włóczędździe. Wszędzie bywał: i na południowej granicy rosyjskiej za Dunajem, i w stepie Kirgiskim i we wschodniej Syberyi i na Kaukazie. Kto wie, może wśród innych okoliczności stałby się jakimś Robinsonem Kruzoe z namiętną żądzą podróżowania. Zresztą wszystko to mnie o nim inni mówili, sam on zaś rzadko w ostrogu rozmawiał, ograniczając się do rzeczy niezbędnych. Był to małeńki człowieczek, z pięćdziesiąt lat mający, nadzwyczajnie pokorny, z nadzwyczaj spokojną, bezmyślną, prawie idyotyczną twarzą. Latem lubił siedzieć na słońcu i zawsze bywało jakąś piosnkę mruczy pod nosem, ale tak cicho, że o pięć kroków już go nie słyhać. Rysy jego twarzy były jak zdrętviałe; jadał mało, najwięcej chleba; nigdy nie kupił sobie kołacza lub kieliszka wódki. I bodaj czy miał kiedykolwiek pieniądze i czy umiał je liczyć! Względem wszystkiego zachowywał się z całkowitym spokojem. Psom więziennym dawał niekiedy pokarm z rąk własnych, a u nas psów więziennych nikt nie karmił, w ogóle Rosyanin nie lubi psów karmić. Mówiono, że był żonaty i to nawet powtórnie, że gdzieś żyły jego dzieci... Za co się dostał do ostrogu — zupełnie nie wiem. Nasi oczekiwali ciągle, że i od nas się wyśliźnie; ale czy to jego czas jeszcze był nie nadszedł, czy już lata jego wędrowania przeszły, dość, że żył sobie wciąż spokojnie, kontemplacyjnie spoglądając na dziwną sferę, która go otaczała. Zresztą trudno było ręczyć, choć zdawało się na pozór, że nicby nie wygrał na ucieczce.

A przecież, w całości biorąc, życie leśne włóczęgi, to raj w porównaniu z życiem w ostrogu. Prawda, że to jest ciężkie, ale swobodne i dlatego to każdy aresztant w Rosyi,

gdziekolwiekby siedział, staje się niespokojnym na wiosnę, z piwskimi przyjemnymi promieniami wiosennego słońca, choć nie każdy ma zamiar uciekać. Stanowczo można powiedzieć, że z powodu trudności i odpowiedzialności, odważa się na to ze stu jeden; ale za to dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych przynajmniej pomarzy o tem, jakby to można było uciekać i dokąd: samo wyobrażenie możliwości ucieczki przyniesie ulgę ich tęsknocie. Niejeden przynajmniej przypomni sobie, jak to on kiedyś uciekał... Mówię teraz tylko o zasądzonych; daleko zaś częstsze bywa zbiegostwo wśród zostających pod sądem. Zasądzeni na czas oznaczony zbiegają chyba na początku swego aresztantstwa. Aresztant, przebywszy dwa, trzy lata katongi, zaczyna cenić te lata i powoli godzi się z myślą, że lepiej legalnym sposobem zakończyć lata robót więziennych i wyjść na *posielenie*, aniżeli hazardować i narażać się na zgubę w razie niepowodzenia.

A powodzenie tak trudne. Zaledwie dziesiątemu uda się los swój zmienić. Z pomiędzy zasądzonych odważają się na ucieczkę częściej od innych ci, których skazano na długoletnie roboty. Piętnaście, dwadzieścia lat wydaje się nieskończonością; skazany na taki termin gotów jest zawsze pomarzyć o przemianie losu, choćby już dziesięć lat odsiedział w katordze. Wreszcie i piętna stanowią wielką przeszkodę w ucieczce. Wyrażenie zaś: przemienić los — to termin techniczny. To też i przy śledztwie zbieg schwytyany odpowiada zwykle, że chciał swój los przemienić. To nieco książkowe wyrażenie daje się dosłownie zastosować do rzeczy. Każdy zbieg ma na widoku nie tyle zupełne wyzwolenie — on wie, że to prawie rzecz niemożliwa — ile nadzieję dostania się do innego zakładu karnego, albo na *posielenie*, albo wreszcie spodziewa się, że go na nowo sądzić będą, wskutek nowego przestępstwa, które już jako włóczęga popełnił — jednym słowem chce dokądkolwiek się dostać, byle nie na dawne miejsce, które mu obrzydło, nie do dawnego ostrogu. Wszyscy ci zbiegowie, jeżeli nie znajdą sobie przypadkowo

w przeciagu lata jakiego miejsca, gdzieby mogli przezimować — jeżeli naprzykład nie natkną się na jakiego ukrywacza zbiegów, który ciągnie z tego ukrywania korzyść; jeżeli wreszcie nie zdobędą, niekiedy zapomocą zabójstwa, jakiego paszportu, z którym można wszędzie mieszkać — wszyscy oni pod jesień, jeśli ich przedtem nie wyłowią — przybywają gęstymi tłumami do miast i do ostrogów w charakterze włóczęgów i idą zimować do więzień, naturalnie nie bez nadziei uciec znowu latem.

Wiosna oddziaływała i na mnie. Pamiętam, z jaką chciwością patrzyłem niekiedy przez szczeliny między palami i jak długo stawałem, bywało, oparłszy głowę o parkan, nie mogąc się nasycić widokiem trawy zielonej, co rosła na wale fortecym i sinego dalekiego nieba, które coraz ciemniejszej barwy nabierało. Niepokój i tęsknota z każdym dniem rosły we mnie i ostróg stawał mi się coraz bardziej nienawistnym. Nienawiść, której w ciągu pierwszych lat doznawałem niestannie, jako szlachcic, ze strony aresztantów, dręczyła mnie niesłychanie, zatruwała mi życie. W te pierwsze lata często, bez choroby, podawałem się do szpitala, jedynie dlatego, ażeby nie być w ostrogu, ażeby się uchylić od tej uporeczywej, niczem nie poskramianej powszechnej nienawiści. »Wy — żelazne dzioby, wyście nas zadziobali!« — mówili do nas aresztanci; jakże zazdrościłem nieraz ludziom z pospólstwa, którzy się dostawali do ostrogu! Ci stawali się odrazu towarzyszami dla wszystkich. I dlatego wiosna, mara wolności, powszechna radość w przyrodzie, i we mnie wywoływała smutek i rozdrażnienie.

Przy końcu postu, zdaje się, że w szóstym tygodniu, przypadła na mnie kolej gotowania się do spowiedzi. Już od pierwszego tygodnia cały ostróg podzielony został przez starszego podoficera na siedm zmian, stosownie do liczby tygodni wielkopostnych, które to zmiany kolejno miały gotować się do spowiedzi. Tym sposobem w każdej zmianie znalazło się po trzydziestu ludzi. Tydzień gotowania się do spowiedzi

bardzo mi się podobał. Aresztantów mających się spowiadać uwalniano od robót. Po dwa i trzy razy dziennie chodziliśmy do cerkwi, która stała niedaleko ostrogu. Dawno już nie byłem w cerkwi. Wielkopostne nabożeństwo, tak mi znajome z czasów dalekiego dzieciństwa i rodzicielskiego domu, uroczyste modlitwy, pokłony ziemne -- wszystko to rozbudziło w mej duszy najodleglejszą przeszłość, przypominało wrażenia z lat dziecinnych i pamiętam, jak mi było przyjemnie, kiedy nas rankiem po ziemi przymarzłej w nocy, wodzone pod strażą z nabitą bronią do Domu Bożego. Straż zresztą nie wchodziła do cerkwi. W cerkwi stawaliśmy zbitym tłumem u drzwi, na ostatniem miejscu, skąd słyhać było zaledwie silniejszy głos dyaka i zrzadka dostrzedz można było czarnego ornatu i łysiny księdza. Przypominałem sobie wtedy, jak niegdyś w dzieciństwie, stojąc w cerkwi, spoglądałem nieraz na lud prosty, cisnący się u wejścia i z niewolniczą skwapliwością rozstępujący się przed sutymi epoletami, przed grubym panem, albo przed wyfiokowaną ale nader pobożną panią, którzy koniecznie docisnąć się chcieli do pierwszych miejsc i gotowi byli co chwila pokłócić się o pierwsze miejsce. Tam u wejścia, zdawało mi się wówczas, i modlono się jakoś inaczej, niż u nas, modlono się pokornie, gorąco, z pełną świadomością swojego upośledzenia.

Teraz i mnie wypadło stać na tych samych miejscach, a nawet gorzej, niż na tych: byliśmy okuci i piętrem hańby naznaczeni; od nas wszyscy stronili, nas się bano i każdym razem obdarzano jałmużną. Pamiętam, że mi to nawet sprawiało jakieś dziwne, subtelne zadowolenie. »Więc niechże tak będzie!« myślałem sobie. Aresztanci bardzo gorliwie się modlili i każdy z nich za każdym razem przynosił do cerkwi swoją żebraczą kopiejkę, kupował za nią świeczkę, lub rzucał do składowki cerkiewnej. »Wszakżem i ja człowiek«, tak może myślał lub czuł dając, »przed Bogiem wszyscyśmy równi...« Przyjmowaliśmy komunię podczas Mszy rannej. Kiedy duchowny z kielichem w ręku przemawiał: »....ale

przyjm mię jakoś przyjął rozbójnika...» prawie wszyscy padli z brzękiem kajdan na ziemię, literalnie, jak się zdaje, wzięwszy te słowa do siebie.

Ale oto i niedziela wielkanocna nadeszła. Od zwierzchności dostaliśmy po jaju i kawałku wielkanocnego placka; miasto znowu zasypało ostróg jałmużną. Znowu odwiedziny popa z krzyżem, znów odwiedziny zwierzchności, znowu dobrze omaszczony kapuśniak, znów pijaństwo i włóczęga — wszystko co do joty, jak na Boże Narodzenie, z tą różnicą, że teraz można było przechadzać się po dziedzińcu ostroga i wygrzewać się na słońcu. Było jakoś jaśniej, przestronniej, niż w zimie, ale zarazem znacznie ciężiej na duszy. Nieskończenie długi dzień letni stawał się ogromnie nużącym podczas świąt. Dzień powszedni mniej długim się wydawał, bo go skracała robota.

Letnie roboty okazały się w istocie daleko trudniejszymi od zimowych. Były to przeważnie budowy inżynieryjne. Aresztanci budowali, kopali ziemię, kładli cegły; inni zajmowali się robotą ślusarską, stolarską lub malarską przy corocznej restauracji rządowych budynków; inni wreszcie chodzili do fabryki robić cegły. Ta ostatnia robota uchodziła u nas za najcięższą. Cegielnia odległą była o trzy czy cztery wiorsty od fortecy. Co dzień w ciągu lata o godzinie szóstej rano, wyprawiano całą partyę aresztantów, z pięćdziesięciu ludzi, dla robienia cegły. Do tej roboty wybierano takich, co nie byli majstrami i żadnego rzemiosła nie umieli. Brali oni z sobą chleba, ponieważ z powodu odległości miejsca niewygodnie było wracać na obiad do ostrogu i robić tym sposobem ośm wiorst zbyt ciężkich — i dopiero wieczorem, wróciwszy do ostrogu, jedli obiad. Pracę zaś zadawano na cały dzień i dużą pracę, z którą nie łatwo się było uporać. Trzeba było naprzód nakopać gliny, wywieźć ją, nanosić wody, wydeptać glinę w przeznaczony do tego jamie, wreszcie zrobić znaczną ilość cegieł, bodaj czy nie dwieście lub nawet półtrzecia sta. Ja tylko dwa razy chodziłem do cegielni.

Powracali ceglarze dopiero wieczorem, znużeni, zmęczeni, i ciągle przez całe lato wymawiali innym, że mają najtrudniejszą robotę. Zdaje się, że im to przynosiło ulgę. Niektórzy jednak chodzili tam dość chętnie: a naprzód robota odbywała się za miastem, miejsce było odkryte, swobodne, na brzegu Irtysza. Zawsze spojrzeć dokoła przyjemniej, — nie forteczny, kazienny widok! Można było i zapalić lulkę swobodnie i nawet poleżeć z pół godziny z wielkiem zadowoleniem. Co się mnie tyczy, to albo jak dawniej chodziłem do warstata lub do wypalania alabastru, albo wreszcie używany byłem w charakterze podającego cegły przy budowach. Pewnego razu wypadło mi prznosić cegły z nad brzegu Irtysza do budującej się kasarni; trzeba było prznosić je na przestrzeni siedmdziesięciu sążni, przez wał forteczny, i robota trwała przez dwa miesiące z rzędu. Podobała mi się ona, pomimo, że sznur, na którym trzeba było nosić cegły, ciągle mi plecy nacierał. Ale podobało mi się to, że ta praca widocznie rozwijała we mnie siłę. Z początku mogłem dźwigać tylko po ośm cegieł, a każda cegła ważyła do dwunastu funtów. Potem zaś doszedłem do dwunastu i piętnastu cegieł i to mię bardzo cieszyło. Fizyczna siła w katordze potrzebna nie mniej od moralnej dla przeniesienia wszystkich niewygód tego przeklętego życia.

A ja chciałem żyć jeszcze i po wyjściu z ostroga.

Lubiłem zresztą dźwigać cegły nietylko dlatego, że ta praca wzmacniała ciało, ale i dlatego, że odbywała się na brzegu Irtysza. Dlatego tak często mówię o tym brzegu, że jedynie stamtąd widać było świat boży, czystą, jasną dal, niezasiedlone stepy wolne, które swoją pustynią dziwne na mnie wrażenie wywierały. Tylko na tym brzegu można było stać tyłem do fortecy i nie widzieć jej; wszystkie zaś inne miejsca naszych robót były albo w fortecy albo koło niej. Od pierwszych dni zniechęciłem tę fortecę i niektóre inne budowle. Dom naszego plac-majora wydawał mi się jakimś przeklętym, wstrętnym miejscem, i przechodząc mimo niego,

z nienawiścią zawsze nań spoglądałem. Na brzegu zaś można się było zapomnieć; patrzę, bywało, na tę nieobjętą okiem pustynię, jak więzień patrzy przez okno więzienia na świat wolny. Wszystko tu dla mnie było miłem i drogim: i złote i gorące słońce na bezdennym błękicie nieba i daleka pieśń Kirgiza, dolatująca z brzegu kirgizkiego. Wpatrując się długo, dostrzegałem nakoniec jakiejś biednej, odymionej jurty bajgusza ¹⁾, spostrzegałem dymek, wychodzący z jurty, kirgizkę krzątającą się około swych dwóch baranów. Wszystko to biedne i dzikie, ale swobodne. Dojrzę jakiego ptaka w sonej dalekiej przeźroczy i długo, uporczywie śledzę lot jego; oto musnął falę, oto znikł w błękicie, oto znów ukazał się ledwie dostrzegalnym punkcikiem... Nawet biedny suchotniczy kwiatek, który znalazłem w rozpadlinie kamienistego brzegu, i ten jakoś chorobliwie zatrzymał moją uwagę. Smutek, którego doznawałem w tym pierwszym roku katorgi, był nie do zniesienia ciężkim, rozdrażniał mię, czynił mię gorzkim, nie pozwalał mi wielu rzeczy widzieć wkoło siebie. Zakrywałem oczy i nie chciałem się przypatrywać. Pośród towarzyszy moich, złych i nienawistnych katorżników, nie dostrzegałem ludzi dobrych, zdolnych i czuć i myśleć, pomimo wstrętnej skorupy, która ich zewnątrz pokrywała. Wśród jadowitych słów nie dostrzegałem nieraz słowa uprzejmego i łaskawego, które było tem droższe, że wypowiedziane bez wszelkich widoków, nieraz wprost z duszy, co może więcej od mojej wycierpiała i zniosła. Ale poco się nad tem rozwodzić?

Byłem niezmiernie rad, gdy bardzo zmęczony, wracając do domu, mogłem sobie pomyśleć, a nuż zasnę! a to dlatego, że u nas spanie latem było jeszcze większą męką, niż w zimie. Wieczory wprawdzie bywały czasem bardzo ładne. Słońce, które przez cały dzień prawie nie schodziło z dziedzińca więziennego, zachodziło nakoniec. Następował chłód

¹⁾ Jurta nazywa się namiot u koczujących ludów syberyjskich; bajgusz — żebrak, kirgiz zubożały.

przyjemny, a potem stepowa noc, prawie zimna. Aresztanci, oczekując zamknięcia kazarmy, tłumami, bywało, chodzą po dziedzińcu, główna zaś masa cisnie się w kuchni. Tam zawsze podejmowano jakąś kwestyę z codziennego życia więziennego, rozprawiano o tem i owem, rostrząsano jakąś pogłoskę, często niedorzeczną, ale budzącą wielkie wrażenie wśród tych ludzi, odciętych od świata. Tak naprzykład rozeszła się wieść, że nasz plac-major ma być usunięty. Aresztanci są łatwowierni, jak dzieci; wiedzą dobrze, że pogłoska fałszywa, że przyniósł ją znany plotkarz i »niedorzeczny« człowiek, aresztant Kwasow, któremu od dawna już postanowili nie wierzyć i który w każdym słowie kłamie, — a przecież wszyscy chwytają tę wiadomość, sądzą, radzą, cieszą się, a kończy się tem, że się sami na siebie rozgniewają, wstyd im się zrobi, że uwierzyli Kwasowowi.

— Kto go tam przepędzi! — woła jeden, mówiąc o majorze: — nie bój się, gruby kark, wytrzyma!

— A przecież i nad nim są starsi! — odpowiada inny, gorącego temperamentu, i nie głupi człowiek, który z różnych pieców chleb jadał, ale gwałtownie lubił się sprzeczać.

— Kruk krukowi oka nie wykole! — ponuro, jakby do siebie przemówił trzeci, już siwy człowiek, samotnie w kącie dojadający swój kapuśniak.

— A starszyzna pewno się przyjdzie pytać, czy go usunąć, czy nie? — dodaje obojętnie czwarty, zlekka trącając palcami po bałałajce.

— A czemużby nie mieli mnie pytać? — z gniewem odpowiada drugi — to znaczy, że cała biedność prosi, wszyscy wtedy świadczą, gdy zaczną się rozpytywać. Ale to u nas tak bywa, że przed czasem krzyczą, a jak przyjdzie do rzeźby, stehórzą.

— A ty jak myślałeś? — mówi ten, co grał na bałałajce. — Na toż jest katorga.

— A onegdaj — ciągnie dalej, nie słuchając co do niego mówią, i rozgorączkowany amator sporów — zostało

trochę mąki. Zebrano wyskrobki, posłano sprzedać. Nie, do-
wiedział się; *artielszczyk* doniósł, odebrali; oszczędność każe.
Co? sprawiedliwie, czy nie?

— Ale przed kim się ty chcesz skarżyć?

— Przed kim? przed samym *lewizorem*, co jedzie.

— Przed jakim lewizorem?

— To prawda, bracia, że jedzie lewizor, mówi młody,
zuchowaty parobek, piśmienny, były pisarz, który czytał *Księż-
nę Lavallière* czy coś w tym rodzaju. Był on zawsze wesóły
i figlarny, ale poważano go za pewien zasób wiedzy i otartość.
Nie zwracając uwagi na to, że wiadomość o jadącym rewiz-
zorze obudziła powszechną ciekawość, idzie prosto do ku-
charza i każe sobie dać kawałek pieczeni. Nasi kucharze
często handlowali żywnością. Kupią naprzykład za swoje pie-
niądze wielki kawał pieczeni, upieką go i sprzedają małymi
kawałkami aresztantom.

— Za grosz czy za dwa? zapytuje kucharz.

— Różnij za dwa: niech ludzie zazdroszczą! odpowiada.
Generał, bracia, generał taki z Petersburga jedzie, co będzie
cały Sybir oglądał. Rzecz pewna, ludzie od komendanta po-
wiadali.

Wiadomość wywołuje nadzwyczajne poruszenie. Z kwa-
drans trwają dopytywania: kto mianowicie, jaki generał, w ja-
kiej randze, czy wyższy od tutejszych generałów? O rangach,
naczelnikach, kto z nich wyższy, kto kogo może przygiąć do
ziemi, a kto się sam zegnije, o tem wszystkim ogromnie lubią
rozmawiać aresztanci, nawet kłócą się, łają, gotowi nawet
bić się za generałów. Na pozór co za korzyść z tych sporów?
Ale szczegółową znajomością generałów i wogóle władz wyż-
szych mierzy się stopień wiedzy, rozgarnienia i dawniejszego,
dowieziennego znaczenia człowieka w społeczeństwie. Wogóle
rozmowa o władzach wyższych uważaną jest w ostrogu za
najpiękniejszą i najpoważniejszą rozmowę.

— Z tego wypada, bracia, że to naprawdę jadą zmie-
nić majora, robi uwagę Kwasow, mały, czerwoniutki czło-

wieczek, gorący i strasznie nierozgarnięty. On to pierwszy przyniósł wiadomość o majorze.

— Przekupi! krótko odpowiada ponury, siwy aresztant, który już uporał się z kapuśniakiem.

— Pewno, że przekupi — powiada drugi. — Czy mało to on pieniędzy nagrabił! Nim do nas przybył, już dowodził batalionem. A niedawno chciał się żenić z córką protopopa.

— A przecie się nie ożenił: drzwi pokazali; znaczy, biedny. Jaki z niego pan młody? Wstał z ławy i wszystko z nim. Na Wielkanoc wszystko puścił w karty. Fiedka powiadał.

— Ech, bracie i ja byłem żonaty. Źle się ożenić biednemu; ożeń się a i noc ci będzie krótka! — wtrąca uwagę Skuratow, który nawinął się w tej chwili i wniósł do rozmowy.

— A jakże! O tobie tu mowa — odzywa się niedbale były pisarz. — A ty Kwasow, powiem ci, jesteś wielki głupiec. Czy ty myślisz, że takiego generała major przekupi i że taki generał będzie umyślnie jechał z Petersburga, żeby rewizję robić u majora? Głupi jesteś bratku, oto co ci powiem.

— A co? czy dlatego że generał, więc już nie weźmie? — sceptycznie ktoś zauważył w tłumie.

— Wiadoma rzecz, nie weźmie, a jeśli weźmie, to już grubo weźmie.

— Rozumie się grubo; według rangi.

— Generał zawsze weźmie — stanowczo oświadczył Kwasow.

— Co? tyś mu dawał? — z pogardą odzywa się Bakłuszyn, który w tej chwili wszedł do kuchni. — Bodaj czyś ty widział kiedy generała?

— Otóż widziałem.

— Łżesz!

— Sam zełżyj.

— Dzieci, jeżeli widział, niech tu zaraz przy wszystkich mówi, którego zna generała? No, mów, bo ja znam wszystkich generałów.

— Widziałem generała Zyberta, chwiejnym głosem odpowiedział Kwasow.

— Zyberta? Takiego generała niema. Widać, że ci w grzbiet zaglądał, ten Zybert, kiedy jeszcze może był podpułkownikiem, a tobie ze strachu zdało się, że to generał.

— Nie, wy mnie posłuchajcie! — krzyczy Skuratow — bo ja żonaty człowiek. Taki generał był rzeczywiście w Moskwie, Zybert, z Niemców, ale Rosyanin. U rosyjskiego popa co rok spowiadał się przed Wniebowzięciem Maryi Panny, i ciągle bracia, pił wodę, jak kaczka. Co dzień wypijał czterdzieści szklanek wody z rzeki Moskwy. Powiadali, że to on się od jakiejś choroby tak leczy wodą; mnie sam jego kamerdyn mówił.

— Pewno mu się z tej wody w brzuchu karasie wyłyły? robi uwagę aresztant z bałałajką.

— No, dosyć tego, tu o rzecz chodzi, a oni... Jakiż to lewizor bracia? — niespokojnie zapytuje aresztant Martynow, stary żołnierz, były huzar.

— Łżą ludzie i koniec! — odzywa się jeden ze sceptyków. — I skąd to wszystko wymyślą i poco? A wszystko brednia?

— Nie, nie brednia! dogmatycznie twierdzi Kulikow, który dotychczas milczał wspaniale. Jest to powaga aresztantka, chłop do pięćdziesięciu lat mający, o bardzo przyjemnej twarzy i pogardliwie wspaniałych manierach. Wie on sam o tem i jest z tego dumny. Trochę cygan, weterynarz, zarabia w mieście, lecząc konie, a u nas w ostrogu handluje wódką. Mądry chłop i wiele rzeczy widział. Kiedy mówi, to jakby ruble kładł na stole.

— Tak jest, bracia — spokojnie ciągnie dalej — jeszcze przeszłego tygodnia słyszałem: jedzie generał, bardzo ważna figura, będzie zwiedzał całą Syberyę. Wiadoma rzecz, przepiją i jego, tylko nie nasz ósmiooki: on i podsunąć się do niego nie odważy. Bo generał generałowi nierówny, bracia! Różni bywają. Tylko ja wam mówię, że major w każdym

razie na swoim terazniejszym miejscu zostanie. To rzecz pewna. My — lud bez języka, a między władzami swój na swego donosić nie będzie. Rewizor zajrzy do ostrogu, nie zobaczy i doniesie, że wszystko znalazł w porządku...

— Tak, tak, bracia, a major stchórzył: wszak od rana pijany.

— A wieczorem drugą furę wiezie. Fiedka powiadał.

— Czarnego psa nie wymyjesz do białą. Czy to on pierwszy raz pijany?

— Nie, tego już nadto, jeżeli nawet generał nic nie poradzi! — z oburzeniem mówią do siebie aresztanci.

Wieść o rewizorze w mgnieniu oka rozbiega się po ostrogu. Po dziedzińcu włóczą się ludzie i jedni drugim skwapliwie podają tę wiadomość. Niektórzy umyślnie milczą, zachowując zupełną obojętność i tem widocznie starają się przydać sobie powagi. Inni naprawdę są obojętni. Na gankach kazarmy rozsiadają się aresztanci z bałałajkami, tam jeszcze nie przestają gawędzić, ówdzie zaczynają śpiewać, ale wogóle wszyscy tego wieczora są w bardzo podnieconem usposobieniu.

O godzinie dziesiątej liczone nas wszystkich, zapędzano do kazarmy i zamykano na noc. Noce były krótkie; budzono nas o piątej rano, zasypiali zaś wszyscy nie wcześniej, jak o jedenastej wieczór. Do tej godziny trwała jeszcze zwykła gawęda, krzątania, a niekiedy, jak w zimie, bywały majdany. W nocy robiło się nieznośnie duszno i garąco. Choć z niezamkniętego okna ciągnie chłódek, pomimo to aresztanci rzucają się na swoich narach jak w gorączce. Pchły roją się tysiącami. Bywały one i w zimie w bardzo okazałej liczbie, ale począwszy od wiosny, rozradzają się do takich rozmiarów, w które nie mógłbym uwierzyć, gdybym ich sam nie doświadczył. A im bliżej lata, tem złośliwszemi się stają. Prawda, że do pcheł można przywyknąć, przekonałem się na sobie, ale bądź co bądź okropnie dokuczają. Nieraz, bywało, tak zmęczą, że leżą, jak w gorączce. Nakoniec kiedy przed samym rankiem uspokoją się, rzekłbyś, zamrą, i kiedy pod powiewem

rannego chłodu słodko się zaśnie — zaraz u wrót więziennej rozlega się niemiłosierny huk bębna, nakazujący wstawać. Z przekleństwem słucham, zakutując się w kożuch, głośnych, wyrazistych dźwięków, zdaje się, że je liczę, a przez sen lezie mi do głowy nieznośna myśl, że taksamo będzie i jutro i pojutrze i przez kilka lat z rzędu, aż do puszczenia na wolność. A kiedyż to nareszcie ta wolność nadejdzie i gdzie ona? A tymczasem trzeba wstawać; zaczyna się codzienne chodzenie, ciżba... Ludzie ubierają się, spieszą na robotę. Prawda, można jeszcze było zasnąć z godzinę w południe.

Pogłoska o rewizorze była prawdziwą. Każdego dnia dochodziły potwierdzające wieści i wreszcie wszyscy napewno już wiedzieli, że jedzie z Petersburga pewien znaczny generał zwiedzać całą Syberyę, że już przyjechał, że już jest w Tobolsku. Przychodziły wieści i z miasta: mówiono, że wszyscy tchórzą, krzątają się, chcą wszystko w jaknajlepszym świetle przedstawić. Wyższe władze gotowały przyjęcia, bale, uroczystości. Aresztantów całemi gromadami wysyłano równać ulice, skopywać stwardniałe kopce błota, podmalowywać parkany i słupki, tynkować, bielić, jednym słowem chciano w jednej chwili naprawić wszystko, co trzeba było pokazać. Nasi bardzo dobrze rozumieli te rzeczy i coraz goręcej i kłótliwiej rozprawiali o tem. Ich rojenia przybierały kolosalne rozmiary. Zabierali się nawet do wystąpienia z pretensją, kiedy generał zacznie ich pytać o żywność. A tymczasem kłócili się i łajali. Plac-major był niespokojny. Częściej zjeżdżał do ostroga, częściej krzyczał, częściej rzucał się na ludzi, zabierał ich do kordegardy i pilnie przestrzegał czystości i porządku. W owym czasie, jak na toż, zaszło pewne zdarzenie, które zresztą bynajmniej nie zaniepokoiło majora, jakby się można było spodziewać, ale i owszem, sprawiło mu zadowolenie. Pewien aresztant w bójce pchnął drugiego sztyłem w piersi, prawie pod samo serce.

Aresztant, który się dopuścił przestępstwa, nazywał się Łomow; tego, który otrzymał ranę, zwano u nas Gawryłką;

był to jeden z niepoprawnych włóczęgów. Łomowych było dwóch u nas, obaj chłopci niegdyś bogaci, żyli w ostrogu dostatnio: mieli samowar, pili herbatę. Nasz major wiedział o tem i nienawdził ich obu do najwyższego stopnia. Widać było, że szuka przyczepki; Łomowowie tłómaczyli to major-ską chęcią dostania od nich wziętki, ale mu nic nie dawali.

Niewątpliwie, gdyby Łomow choć trochę głębiej pchnął szydłem, zabiłby był Gawryłkę. Ale skończyło się wszystko na draśnięciu. Doniesiono majorowi. Pamiętam, jak przypędził zadyszany i widocznie rad z tego, co zaszło. Względem Gawryłki okazywał zadziwiającą łaskawość, obchodził się z nim, jak z rodzonym synem.

— Cóż, *drużok*, czy możesz tak dojść do szpitala czy nie? Nie, już lepiej mu zaprządz konia. Zaprządz natychmiast konia! — zawołał skwapliwie do podoficera.

— Ale ja, wasze wysokobłagorodje, nic nie czuję. Zlekka mię tylko ukłół, wasze wysokobłagorodje.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz, mój miły; zobaczysz potem... Miejsce niebezpieczne; wszystko od miejsca zależy; pod samo serce ugodził rozbójnik! — A ciebie, ciebie — zarzycał zwracając się do Łomowa — no, teraz ja ci się dam we znaki!... Do kordegardy!

I rzeczywiście dał się we znaki. Łomowa sądzą i choć rana okazała się bardzo lekkim ukłóciem, zamiar był widoczny. Przestępcy dodali lat katorgi i przepędzili go przez tysiąc pałek. Major był całkiem zadowolony.

Nareszcie przybył rewizor.

Nazajutrz, po przybyciu do miasta, przyjechał do naszego ostrogu. Dzień był świąteczny. Już na kilka dni przedtem, wszystko u nas było wymyte, wygładzone i wylizane. Aresztanci ogoleni na nowo, odzież na nich biała i czysta. Latem, podług przepisu, chodzili wszyscy w białych płócien-nych kurtkach i spodniach. Na plecach mieli wszyte czarne kółka o parocalowej średnicy. Przez całą godzinę uczono aresztantów, jak mają odpowiadać, jeżeli wysoka osoba zechce

ich pozdrowić. Powtarzano próby, major latał, jak kot zago-
rzały. Na godzinę przed zjawieniem się generała wszyscy
stali na swoich miejscach, jak kloce, z wyprostowanymi po
bokach rękami. Nakoniec o pierwszej z południa generał przy-
jechał. Była to ważna figura, tak ważna, iż zapewne wszyst-
kie serca urzędowe w Zachodniej Syberji musiały zadrżeć
przy jego zjawieniu się. Wszedł z miną surową i wspaniałą;
za nim wwałała się wielka świta naczelných władz miejsco-
wych, które mu towarzyszyły, kilku generałów i pułkowników.
Był jeden cywilny, wysoki i piękny pan, we fraku i pończo-
kach, który także przyjechał z Petersburga i zachowywał się
nadzwyczaj swobodnie i niezależnie. Generał często zwracał
do niego, z wielką grzecznością. Niezmiernie to zaintrygowało
aresztantów: cywilny, a takie uszanowanie dla niego i to
jeszcze od takiego generała! Nasz major, ściśnięty w mun-
durze, z pomarańczowym kołnierzem, z nalanemi krwią ocz-
ami, z czerwoną pryszczowatą twarzą, nie wywarł, zdaje się,
zbyt przyjemnego wrażenia na generale. Stał opodal, wycią-
gnięty jak struna i całą istotą woją wyczekiwał chwilki, w któ-
rejby się mógł na coś przydać, w którejby mógł popędzić, aby
spełnić rozkazy *Prewoschoditielstwa*. Ale na nic się nie przy-
dał. Generał milcząc, obszedł kazarmy, zajrzał, zdaje się, do
kuchni, popróbował kapuśniaku. Wskazano mu na mnie; taki
to a taki, szlachcie.

— A! — odpowiedział generał. — A jakże on się teraz
prowadzi?

— Dotychczas dobrze, Wasze Prewoschoditielstwo —
odpowiedziano.

Generał kiwnął głową i po dwóch minutach wyszedł
z ostroga. Aresztanci naturalnie byli olśnieni, ale pewien za-
wód uczuwali. O żadnej skardze na majora nie mogło być
mowy i major już z góry był tego zupełnie pewny.

XI.

Zwierzęta w katordze.

Kupienie gniadosza, które wkrótce potem nastąpiło w ostrogu, było dla aresztantów daleko przyjemniejszą rozrywką od wysokich odwiedzin. Ostróg nasz miał swojego konia dla przywożenia wody i wywożenia nieczystości i t. d. Do chodzenia koło niego przeznaczony był pewien aresztant. Roboty naszemu koniowi nie brakło i rano i wieczorem. Gniadek służył już u nas od bardzo dawna. Konik był dobry, ale sterał siły. Pewnego pięknego poranku, przed samym św. Piotrem, Gniadek, przywiózłszy wieczorną beczkę, padł na ziemię i zdechł w kilka minut potem. Żałowano go; wszyscy się dokoła niego zgromadzili, rozprawiali, spierali się. Dymisyonowani kawalerzyści, handlarze, weterynarze i t. p., jacy u nas byli, okazali przy tej sposobności wielką znajomość spraw końskich, pokłócili się nawet, ale gniadosza nie wskrzesili. Leżał martwy, ze wzdętym brzuchem, który wszyscy uważali sobie za obowiązek pocisnąć palcem.

Doniesiono majorowi o zrządzeniu boskiem, a on rozkazał, aby natychmiast kupiono nowego konia. W dzień św. Piotra, rano po nabożeństwie, przy pełnem zgromadzeniu aresztantów, zaczęto przyprowadzać konie na sprzedaż. Rzecz naturalna, że kupno poruczono samym aresztantom. Byli u nas prawdziwi znawcy i oszukać dwustu pięćdziesięciu ludzi, którzy się tem tylko dawniej zajmowali, było rzeczą trudną.

Zjawiali się Kirgizi, przekupnie, cyganie, mieszczanie. Aresztanci niecierpliwie oczekiwali zjawienia się każdego nowego konia. Cieszyli się, jak dzieci. Najbardziej im to schlebiało, że oto oni, jak ludzie wolni, kupują konia dla siebie i jakby ze swojej kieszeni i mają zupełne do tego prawo. Trzy konie z kolei przyprowadzano i odprowadzano, czwartego dopiero kupiono. Handlarze wchodzący do ostrogu z pewnym zdumieniem i nieśmiało oglądali się dokoła, a nawet czasem rzucali okiem na konwojowych, którzy ich wprowadzali. Wataha z dwustu takich ludzi, z golonami głowami, piętnowanych, w łańcuchach i u siebie w domu, w swoim gnieździe katorżnym, którego progów nikt nie przestępuje, budziła w swoim rodzaju uszanowanie. Nasi zaś wysilali się na rozmaite sztuki przy badaniu konia, którego przyprowadzano. Dokąd oni nie zaglądali, czego nie dotykali! I to z takim zajęciem i z tak poważną miną, jak gdyby od tego zależał dobrobyt więzienny. Czerkiesi nawet wskakiwali na konia oklep; oczy ich zapalały się i prędko coś trzepali swoim niezrozumiałym językiem, szczerząc zęby i kiwając smagłami o orlich nosach twarzami. Niejeden z Rosyan jak przykuty przysłuchuje się ich sporum, rzekłbyś, w oczy im chce skoczyć. Słów nie rozumie, więc choć z wyrazu chce się domyślić, jak rozstrzygnęli: czy wart co koń, czy nie? Dla postronnego spostrzegacza taka wyteżona uwaga dziwną by się wydała. Zdawałoby się, poco się ma tak troszczyć o to aresztant, i to niejeden aresztant pokorny, przybity, który wobec niektórych towarzyszy nie śmie nawet pisnąć. Zdawałoby się, że to on dla siebie kupuje konia, i że w istocie nie wszystko mu jedno, jakiego konia kupią. Oprócz Czerkiesów najwięcej się odznaczeni w tej sprawie byli przekupnie i handlarze; im dawano pierwsze miejsce i słowo.

Zaszedł tu nawet pewnego rodzaju szlachetny pojedynek między dwoma aresztantami: Kulikowem, byłym przekupniem i koniokradem a pewnym weterynarzem samoukiem, przebiegłym sybirskim chłopem, który niedawno przybył do ostrogu

i już zdołał odciągnąć od Kulikowa całą jego miejską praktykę. Trzeba wiedzieć, że naszych więziennych weterynarzy-samouków ceniono zawsze w mieście, i że nie tylko mieszczanie i kupcy, ale nawet wyżsi urzędnicy, kiedy im zasłabły konie, zwracali się do tych samouków po radę, pomimo iż w mieście było kilku dyplomowanych weterynarzy. Kulikow do przybycia Jełkina, owego sybirskiego chłopca, nie miał współzawodnika, cieszył się wielką praktyką i naturalnie otrzymywał za nią pieniężną nagrodę. Był to wielki cygan i szarlatan i daleko mniej umiał, niż z pozoru sądzić można było. Pod względem dochodów był arystokratą między arestantami. Znajomością świata, rozumem, śmiałością i stanowczością swoją oddawna już w nich wszystkich budził mimowolne uszanowanie. Słuchali go i byli mu posłuszni. Mówił mało i tylko wtedy, gdy o coś bardzo ważnego chodziło, ale mówił, jakby rublem darzył. Był to wielki blagier, ale miał dużo prawdziwej, przyrodzonej energii. Choć już nie młody, był bardzo piękny, był też i bardzo rozumny. Z nami szlachtą obchodził się delikatnie a zarazem z niezwykłą godnością. Myślę, że gdyby go przebrać i pod imieniem jakiego hrabiego wprowadzić do stołecznego klubu, to on i tutaj umiałby się znaleźć, zagrałby w wista, wziąłby udział w rozmowie, mówiąc niewiele, ale z aplombem i możeby przez cały wieczór nie poznano się, że to nie hrabia, ale włóczęga. Mówię na seryo: tak był rozumny i bystro orientujący się. A przytem manieri jego były w całym znaczeniu słowa wytwornie eleganckie: widać, że z różnych pieców jadał chleby. Zresztą przeszłość jego była zupełnie ciemną.

Ale z przybyciem Jełkina, chociaż chłopca, ale niezmiernie przebiegłego, lat pięćdziesięciu, z rozkolników, przyćmiła się weterynarska sława Kulikowa. W jakie dwa miesiące zabrał mu Jełkin całą miejską praktykę. Uzdrawiał on i bardzo łatwo takie konie, od których leczenia jeszcze przedtem wymawiał się Kulikow; uzdrawiał nawet takie, o których zwątpili miejscy weterynarze. Chłop ten dostał się tu wraz z innymi

za robienie fałszywych pieniędzy. Trzebaż mu było na starość przybierać do takiej roboty towarzysza! Sam, śmiejąc się z siebie, opowiadał, że z trzech prawdziwych złotych wyszedł u nich jeden fałszywy. Kulikow był trochę dotknięty jego weterynarskiem powodzeniem, nawet wśród aresztantów sława jego zaczęła blednąć. Utrzymywał on kochankę na przedmieściu, chodził w pluszowej kamizelce, nosił srebrną obrączkę na palcu, kółczyk, miał własne buty z wyłogami, i nagle, gdy zabrakło dochodów, musiał zostać szynkarzem; dlatego też wszyscy oczekiwali, że teraz przy kupowaniu gniadosza przeciwnicy wezmą się do siebie, może nawet pobiją. Oczekiwano z wielką ciekawością, każdy z nich miał swoje stronictwo. Już ruchliwsi w każdej partyi zaczynali się gorączkować i już powoli obrzucali się wzajem obelgami. Sam Jełkin już ściągnął chytrą twarz swoją do szyderczego uśmiechu. Ale stało się inaczej: Kulikow nie myślał łajać, ale i bez łajania postąpił po mistrzowsku. Zaczął od ustępstwa, z pewnem nawet uznaniem wysłuchał uwag krytycznych swego współzawodnika, ale złapawszy go na jednym słowie, skromnie i stanowczo zrobił mu uwagę, że się myli, i zanim Jełkin zdołał się opamiętać i objaśnić swoje słowa, dowiódł mu, że mianowicie w tem a tem się myli. Jednem słowem Jełkin zbity został bardzo niespodziewanie i zręcznie, a choć pomimo tego wziął górę, przecież i partya Kulikowa była zadowolona.

— Nie, dzieci, jego nie łatwo zbijesz, umie się bronić — mówili jedni.

— Jełkin więcej umie! — robili uwagę inni, ale tonem łagodnym.

W obu partyach nagle zapanowała wielka gotowość do ustępstw.

— Nie to, że umie, ale ma rękę lżejszą. A co się tyczy bydłęcia, to i Kulikow nie da się zjeść w kaszy.

— Nie da się zjeść w kaszy! Zuch!

— Nie da się.

Nakoniec wybrano i kupiono nowego Gniadka. Był to wyborny konik, młody, ładny, mocny, wyglądał nadzwyczaj przyjemnie i wesoło. Rozumie się, że i pod wszelkimi innymi względami okazał się bez błędu. Zaczęły się targi: żądano trzydziestu rubli, nasi dawali dwadzieścia pięć. Targowano się gorąco i długo, dodawano i opuszczano. Nareszcie samym aresztantom wydało się to śmieszną rzeczą.

— Czy to ty ze swego worka, czy co, będziesz brał pieniądze? — mówili jedni — po co się targować?

— Czy to *kazny* (skarbu) mamy żałować?

— A jednak, bracia, zawsze to pieniądze *artielne*.

— *Artielne!* Nie, widać że naszego brata, duraków, nie sięją, sami się rodziny...

Nareszcie za dwadzieścia ośm rubli stargowano konia, doniesiono majorowi i kupno zostało dokonane. Naturalnie, że natychmiast wyniesiono chleb i sól i z honorami wprowadzono nowego gniadosza do ostrogu. Zdaje się, że nie było aresztanta, któryby go przy tej okazji nie potrząsał po karku lub nie pogłodził po pysku. Tegoż dnia zaprzężono Gniadka do wożenia wody, i wszyscy ciekawie patrzali, jak nowy Gniadek wiezie beczkę wody. Nasz woziwoda Roman spoglądał na nowego konika z nadzwyczajnem zadowoleniem. Był to chłop lat pięćdziesięciu, milczący i poważny. Wszyscy zresztą rosyjscy furmani bywają bardzo poważni i milczący; zdawałoby się, że ciągłe obcowanie z koniem nadaje stateczność a nawet powagę człowiekowi. Roman był cichy, względem wszystkich uprzejmy, niegadatliwy, zażywał tabakę z rogu i od niepamiętnych czasów miał do czynienia z więziennymi gniadoszami. Nowokupiony był już trzecim tej maści. U nas wszyscy byli przekonani, że ostróg powinien mieć gniadego konia, że to mu do twarzy. Potwierdzał tę opinię i Roman. Srokatego naprzykład za nie by nie kupiono. Miejsce woziwody, stałe na mocy jakiegoś prawa zajmował Roman, i nikt u nas nigdy nie myślał nawet zaprzeczać mu tego prawa. Kiedy padł poprzedni gniadek, nikomu do głowy

nie przyszło, nawet majorowi, obwiniać o to Romana: wola Boża i koniec, a Roman dobry woźnica.

Wkrótce nowy koń stał się ulubieńcem ostroga. Aresztanci, choć lud surowy, podchodzili doń często i głąskali. Roman, bywało, wracając od rzeki, zamyka wrota, które mu otworzył podoficer, a gniadek wszedłszy na dziedziniec, stoi z beczką i czeka i strzyże nań uszami. »Ruszaj sam!« — krzyknie mu Roman, i gniadek natychmiast pociągnie sam beczkę, dowiezie ją do kuchni i zatrzyma się, oczekując na kucharzy i paraszników, którzy przychodzą z wiadrami. »Mądrała, gniadek!« — wołają aresztanci — »sam przywiózł!.. Słucha rozkazu!«

— Widzisz go, w samej rzeczy: bydlę, a przecież pojmuje

— Zuch, gniadek!

Gniadek obraca głową i parska, rzekłbyś rozumie, co o nim mówią i cieszy się z pochwał. I zaraz ktoś się znajdzie, co mu wyniesie chleba z solą. Gniadek spożywa i znowu głową zamacha, jakby mówił: »Znam ciebie, znam! I jam miły konik, i tyś dobry człowiek!«

Ja również lubiłem podawać chleb gniadkowi. Przyjemnie mi było patrzeć na jego piękną głowę i czuć na dłoni jego ciepłe, miękkie wargi, żwawo zabierające wkoło żywność z dłoni.

Wogóle nasi aresztanci mogliby lubić zwierzęta i gdyby im tylko pozwolono, hodowaliby w ostrogu mnóstwo domowego bydła i ptactwa. I cóżby, jak się zdaje, mogło lepiej zmiękczyć i uszlachetnić ich surowy i zwierzęcy charakter, od tego zajęcia? Ale nie wolno było; ani porządki nasze, ani miejsce nie pozwalało na to.

W ostrogu jednak przypadkiem podczas mojego tam pobytu, przebywało kilkoro zwierząt. Oprócz gniadka mieliśmy psy, gęsi, kozła Waśkę, a przez jakiś czas żył tu orzeł.

W charakterze psa więziennego, jak to już dawniej wspominałem, był u nas Szaryk, rozumny i dobry pies, z którym zostawałem ciągle w stosunkach przyjacielskich. Ale po-

nieważ u naszego ludu pies wogóle uważa się za stworzenie nieczyste, na które nie warto zwracać uwagi, więc i na Szaryka prawie nikt nie zwracał uwagi. Żył sobie pies, spał na dworze, jadł resztki kuchenne, i w nikim nie budził szczególnego zajęcia; wszystkich jednakże znał i wszystkich w ostrogu miał za swoich panów. Kiedy aresztanci wracali z roboty, na sam krzyk przed kordegardą: »gefreitera!«, biegł do bramy, uprzejmie witał każdą partyę, kręcił ogonem i życzliwie spoglądał w oczy każdemu wchodzącemu, oczekując jakiegokolwiek łaskawości. Ale w przeciągu wielu lat od nikogo się jej nie doczekał, chyba tylko odemnie. Dlatego też lubił mię najwięcej. Nie pamiętam, w jaki sposób zjawił się potem w ostrogu i drugi pies, Białka. Trzeciego, Kultiapkę¹⁾, gdy był jeszcze szczenięciem sam do ostrogu przyniosłem, wracając kiedyś z roboty.

Białka było to dziwne stworzenie. Ktoś ją wozem przejechał i miała grzbiet wklęsnięty, tak, że kiedy biegła, to zdaleka zdawało się, że biegną jakieś dwa białe zrosnięte ze sobą zwierzątka. Była ona przytem cała jakby parszywa, z gnojącemi się oczyma, z ogonem oblatłym, bez sierści i zawsze podgiętym. Od losu upośledzona, postanowiła widoocznie być pokorną. Nigdy na nikogo nie szczekała i nie warczała, rzekłbyś nie śmiała. Przebywała zwykle za kazarmami, poszukując tam sobie żywności; ujrawszy zaś którego z naszych, natychmiast, jeszcze na kilka kroków przed nim, przewracała się na znak pokory na grzbiet, jak gdyby chciała powiedzieć: »rób sobie ze mną, co ci się podoba, a ja, jak widzisz, nie myślę się nawet sprzeciwić«. I każdy aresztant, przed którym się tak przewróciła, trącał ją butem, uważając to niejako za swój konieczny obowiązek: »Widzisz ją, podła!« mówili aresztanci. Ale Białka nawet skomleć nie śmiała i kiedy ją zbyt już zabolalo, zawyła tylko głucho i żałośnie. Tak samo

¹⁾ Kultiapa w ludowym narzeczu oznacza człowieka bez rąk, bez palców, kalekę. (*Przypisek tłómacza*).

przewracała się i przed Szarykiem i przed każdym innym psem, gdy wybiegała w swoich sprawach za ostróg. Bywało przewróci się i leży pokornie, kiedy jaki wielki kłapouchy pies rzuci się na nią z groźnym szczekaniem. Ale psy lubią pokorę w podobnych do siebie stworzeniach. Srogi pies natychmiast łagodniał, w pewnym zadumaniu stawał nad pokornym psem, co leżał przed nim z nogami w górę wystawionymi i powoli z wielką ciekawością zaczynał go obwąchiwać. Co to musiała sobie wówczas myśleć Białka, cała trzęsąca się ze strachu. »A cóż będzie, jak rozbójnik ukąsi?« przychodziło jej zapewne do głowy. Ale obwąchawszy uważnie, pies rzucał ją, nie znajdując w niej nic godnego uwagi. Białka natychmiast zrywała się i kulejąc, puszczała się za długim sznurem psów, które towarzyszyły jakiej Żuczce. Wiedziała ona napewno, że z Żuczka jej nigdy za pan brat nie być, a przecież choćby zdaleka za nią pokuleć — i to było dla niej w jej nieszczęściach pociechą. O zaszczytach widocznie przestała już myśleć. Utraciwszy wszelką karierę w przyszłości, żyła tylko dla chleba, i miała tego zupełną świadomość. Próbowalem ją raz pogłaskać. Było to dla niej czemś tak nowem i niespodzianem, że cała nagle przysiadła do ziemi, na wszystkie cztery łapy, zaczęła drżeć i głośno piszczeć z radości. Przez litość głaskałem ją często, za to też nie spotykała mię inaczej, jak ze skomleniem. Ujrzy zdaleka i skomli żałośnie. Skończyło się na tem, że ją psy na wale za ostrogiem rozszarpały.

Zupełnie inny charakter miał Kultiapka. Dlaczego przeniósłem go jeszcze ślepem szczenięciem z warstata do ostrogu, sam nie wiem. Przyjemnie mi było karmić go i chować. Szaryk natychmiast wziął Kultiapkę pod swoją opiekę i sypiał z nim razem. Kiedy Kultiapka zaczął podraść, pozwalał mu kąsać swoje uszy, targać szersć swoją i bawić się z sobą, jak się zwyczajnie bawią starsze psy z młodemi. Rzecz dziwna, że Kultiapka prawie nic nie rósł w górę, tylko wzdłuż i wszertz. Szersć miał kosmatą, koloru jasnej myszy; jedno ucho rośło

w górę, drugie w dół. Był pełen zapału, jak każdy szczeniak, który z radości, że widzi swego pana, rzuca się na niego z piskiem i gotów nawet twarz lizać. Gdziekolwiek byłem, na moje wołanie: »Kultiapka!« zjawiał się nagle a za jakiegoś węgła, jak z pod ziemi i z piskliwym zachwytem leciał ku mnie, tocząc się, jak piłka, i przewracając się po drodze. Strasznie lubiłem tego małego potworka. Zdawało się, że los gotował mu w życiu samo tylko powodzenie. Ale pewnego pięknego dnia, aresztant Nieustrojew, który trudnił się szyciem trzewików kobiecych i wyprawą skór, zwrócił na niego szczególną uwagę. Coś go nagle uderzyło. Przywołał Kultiapkę do siebie, obmacał sierść jego, przewrócił go łaskawie i potarzał. Kultiapka, nic nie podejrzewając, piszczał z zadowolenia. Ale nazajutrz rano gdzieś zniknął. Szukałem długo: jak w wodę wpadł; dopiero we dwa tygodnie potem rzecz się wyjaśniła. Sierć Kultiapki bardzo się podobała Nieustrojewowi. Zabił go, zdarł skórę, wyprawił i podłożył w aksamitne zimowe półbuciki, które zamówiła u niego pani audytorowa. Pokazywał mi te półbuciki, kiedy już były gotowe. Futro było wyborne. Biedny Kultiapka!

W naszym ostrogu wielu zajmowało się wyprawą skór i często bywało, przyprowadzali z sobą psy o ładnej sierci, które natychmiast znikały. Niektóre kradziono, inne nawet kupowano. Pamiętam raz za kuchniami ujrzałem dwu aresztantów. O czemś naradzali się z sobą, a jeden z nich trzymał na sznurze wspaniałego, wielkiego, czarnego psa, widocznie drogiego gatunku. Jakiś łotr lokaj uprowadził go od swego pana i sprzedał naszym fabrykantom za 30 kopiejek srebrem. Aresztanci zabierali się do wieszania go. Robiło się to bardzo łatwo: skórę zdzierano, a trupa rzucano do wielkiego i głębokiego zlewu, który znajdował się w najdalszym kącie naszego ostroga, z którego latem podczas wielkich upałów wychodziły straszliwe wyziewy, bo go rzadko czyszczono. Biedny pies, zdawało się, przeczuwał los, który go czeka. Bawczyczo i niespokojnie spoglądał na nas trzech po kolei

i z rzadka tylko ośmielał się pokręcić swoim puszystym opuszczonym ogonem, jakby pragnąc nas zmiękczyć tym znakiem swojej ku nam ufności. Odszedłem co prędzej, a oni naturalnie rzecz swoją zakończyli szczęśliwie.

Gęsi u nas zaczęto hodować także jakoś przypadkiem. Kto je zaczął hodować i do kogo właściwie one należały, nie wiem, ale wiem, że przez jakiś czas sprawiały one wielką uciechę aresztantom, a nawet w mieście nabrały rozgłosu. Wylęgły się w ostrogu, a trzymano je przy kuchni. Kiedy młode podrosły, to wszystkie gęsi, całym kahałem, przyuczyły się chodzić wraz z aresztantami na robotę. Jak tylko zagrzmi bęben i katorga poruszy się, nasze gęsi z krzykiem biegają za nami, rozspotałszy skrzydła, jedna za drugą przeskakują wysoki próg furtki i niezawodnie udają się na prawy flank, gdzie szykują się, czekając aż się skończy *razwodka*, t. j. rozprowadzenie aresztantów. Przyłączały się zwykle do największej partii i podczas roboty pasły się gdzieś niedaleko. Jak tylko ruszała partya z powrotem do ostrogu i one z nią wracały. W fortecy rozeszły się wieści, że gęsi chodzą z aresztantami na robotę. Spotykający mawiali: »No, no, aresztanci idą ze swojemi gęsiami! — jakżeście to ich przyuczyli?« — »Oto wam na gęsi« dodawał kto czasem i wręczył jałmużnę. Ale mimo całej ich wierności wszystkie je na pewną uroczystość zarżnięto.

Za to naszego kozła Waśkę zanicby nie zarżnięto, gdyby nie pewna szczególna okoliczność. I ten skąd się wziął i kto przyniósł jego, nie wiem; niespodzianie znalazł się w ostrogu mały, białutki przesłiczny koziołek. W ciągu kilku dni wszyscy go polubili i stał się on powszechną rozrywką a nawet osłoda, wyszukano i przyczynę, aby go chować: trzebaż mieć w ostrogu przy stajni kozła. Jednak on przebywał nie w stajni, ale z początku w kuchni, a potem chodził po całym ostrogu. Było to niezmiernie wdzięczne i swawolne stworzenie. Biegł na zawołanie, wskakiwał na ławki, na stoły, bódł się z aresztantami, był zawsze wesoły i zabawny. Kiedy mu już się

porządne różki przerzynały, pewnego razu wieczorem Lezgin Babaj, siedząc na ganku kazarmy w tłumie innych aresztantów, zaczął się z nim bość. Długo się już stukali łbami — była to ulubiona zabawa aresztantów — gdy nagle Waśka skoczył na najwyższy schód ganku i jak tylko Babaj się odwrócił, w mgnieniu oka podniósł się na tylnych nogach przygiął do siebie przednie kopytka i z całym rozpędem uderzył Babaję w tył głowy, tak że ten wywrócił się i zleciał z ganku ku największej ucieście obecnych i samegoż Babaję. Jednem słowem Waśkę wszyscy okropnie lubili. Kiedy zaczął podrastać, dokonano na nim — wskutek ogólnej, bardzo poważnej narady — pewnej operacji, którą nasi weterynarze znakomicie umieli robić. »Inaczej pachnąć będzie kozłem«, mówili aresztanci. Potem Waśka zaczął tyć bardzo. Karmiono też go jak na wypas. Nakoniec wyrósł przesliczny wielki kozieł, z niezmiernie długimi rogami i niezwykle gruby. Bywało idzie i zatacza się. Jego także przyuczono chodzić z nami na robotę dla uciechy aresztantów i spotykanej publiczności. Wszyscy znali aresztanckiego kozła Waśkę. Bywało, gdy pracowano naprzykład na brzegu, aresztanci nałamię gibkich gałązek łożyny, narwą jeszcze jakich liści, a na wale kwiatów, i we wszystko to przystroją Waśkę: rogi oplotą gałęźmi i kwiatami, po całym tułowiu puszcza girlandy. Wraca bywały Waśko do ostrogu, idąc zawsze przed aresztantami, wystrojony, przyozdobiony, a oni idą za nim i widać, że się pysznią wobec przechodniów. Do tego doszło to lubowanie się Waśką, że niektórym z naszych przychodziło nawet do głowy, jak dzieciom: »czyby nie pozłocić rogów Waśce?« Ale o tem tylko pogadano, nie zrobiono tego. Pamiętam zresztą, że m pytał Akima Akimycza, najlepszego u nas złotnika po Icku: czy można naprawdę pozłocić kozłowi rogi? Akim uważnie spojrział na kozła, głęboko się zastanowił i odpowiedział, że ostatecznie można, »ale to będzie nie trwałe, a przytem zupełnie nieużyteczne«. Na tem się skończyło.

I długoby żył Waśka w ostrogu i umarłby chyba z dychawicy. Ale pewnego razu wracając na czele aresztantów z roboty, przystrojony w sposób wyżej opisany, wpadł w oczy majorowi, który jechał naprzeciw dorożką. — »Stój!« — wrzasnął — »czyj kozieł?« Dano mu objaśnienie. »Jak to? W ostrogu kozieł i bez mego pozwolenia? Podoficera!« Zjawił się podoficer i natychmiast wydano rozkaz niezwłocznego zarżnięcia kozła. Skórę zedrzeć, sprzedać na targu, a pieniądze otrzymane włączyć do kazienniej aresztanckiej sumy, mięso zaś oddać aresztantom do kapuśniaku. W ostrogu pogadano o tem, pożałowano, ale nie ośmielono się nie usłuchać rozkazu. Waśkę zarżnięto, mięso kupił jeden z aresztantów w całości zapłaciwszy ostrogowi półtora rubla. Za te pieniądze kupiono kołaczy, a ten, który kupił Waśkę, rozprzedał go częściami swoim także na pieczyście. Mięso okazało się w istocie bardzo smacznem.

Żył u nas także przez jakiś czas w ostrogu orzeł (karagusz), z rodzaju stepowych, niewielkich orłów. Ktoś go przyniósł do ostrogu rannego i zmęczonego. Cała katorga obstała go; nie mógł latać: prawe skrzydło zwisło ku ziemi, jedną nogę miał wywichniętą. Pamiętam, jak gniewnie oglądał się wkoło, patrząc na tłum ciekawy i otwierał dziób zagięty, gotując się drogo sprzedać życie. Kiedy się na niego napatrzono i ludzie zaczęli się rozchodzić, odsunął się, kulejąc, skacząc na jednej nodze i pomachując zdrowem skrzydłem, w najdalszy koniec ostroga i tam się w kącie zaparł, szczelnie do palów się cisnąc. Tak przeżył trzy miesiące i ani razu przez ten czas nie wyszedł ze swego kąta. Z początku przychodzono patrzeć na niego i psem go szczuto. Szaryk rzucał się ku niemu groźnie, ale widocznie bał się bliżej przystąpić, co bardzo bawiło aresztantów. »Zwierz! — mówili — nie daje się!« Potem i Szaryk zaczął mu mocno dukuczać; strach minął, i kiedy go podszczuwano, potrafił chwycić orła za chore skrzydło. Orzeł bronił się ze wszystkich sił pazurami i dziobem i zaparłszy się w swym kącie, jak król raniony,

dumnie i dziko spoglądał na ciekawych, którzy przychodzili, aby mu się przypatrzeć. Nakoniec znudził się wszystkim, porzucono go i zapomniano o nim, a jednak codzień można było widzieć przy nim kawałki świeżego mięsa i czerepek z wodą. Ktoś przecież myślał o nim. Orzeł z początku nawet jeść nie chciał i nie jadł przez dni kilka; nakoniec zaczął przyjmować pokarm, ale nigdy z ręki albo przy ludziach. Zdarzało mi się nieraz zdaleka mu się przypatrywać. Nie widząc nikogo i myśląc, że jest sam, decydował się niekiedy wyjść z kąta i włókł się kulejąc wzdłuż palów na jakich dwanaście kroków od swego miejsca, potem wracał, potem znowu wychodził, rzekłbyś, używał przechadzki dla ruchu. Spostrzegłszy mnie, natychmiast ze wszystkich sił, kulejąc, spieszył na swoje miejsce, i odwróciwszy wtył głowę, rozwarłszy dziób i najeżywszy się, patychmiast gotował się do boju. Niczem nie mogłem go ugłaskać: kąsał mię i bił, mięsa nie chciał brać z rąk moich, i przez cały czas, kiedy bywało, nad nim stoję, uporczywie patrzy — patrzy mi w oczy swoim złym, przesywającym wzrokiem. Samotnie i gniewnie oczekiwał śmierci, nie dowierzając nikomu i z nikim nie chcąc zgody. Nakoniec aresztanci jak gdyby sobie o nim przypomnieli i choć przez dwa miesiące nikt się o niego nie troszczył i nikt o nim nie wspominał, teraz nagle wzbudziło się we wszystkich współczucie ku niemu. Zaczęto mówić, że trzeba wynieść orła. »Niechaj przynajmniej zdechnie nie w ostrogu«, mówili jedni.

— Wiadomo, ptak wolny, surowy, nie przyuczysz go do ostroga — potakiwali drudzy.

— Widać, że on nie taki, jak my — ktoś dodał.

— Powiedział, co wiedział: to ptak, a my przecież ludzie.

— Orzeł, bracia, jest królem lasów... — zaczął mówić Skurátow, ale tym razem nie chciano go słuchać. Raz po obiedzie, gdy przegrzmiał bęben wzywający na robotę, wzięto orła, ścisnąwszy mu dziób ręką, ponieważ nie dawał się

wziąć inaczej i wyniesiono z ostroga. Aresztanci doszli do wału. Dwunastu ludzi było w tej partyi i wszyscy byli bardzo ciekawi, dokąd pójdzie orzeł. Rzecz dziwna; wszyscy byli z czegoś zadowoleni, jak gdyby cząstkę własnej swobody otrzymywali.

— Widzisz go, sobacze mięso: dobrze mu robisz, a on cię wciąż kąsa! — mówił ten, który go trzymał, prawie z lubością patrząc na złego ptaka.

— Puszczaj go, Mykitka!

— On widać nie da z sobą igrać. Jemu wole podawaj, prawdziwą wolę woleńską.

Orła zrzucono z wału w step. Była głęboka jesień, dzień chłodny i pochmurny. Wiatr świstał w gołym stepie i szumiał w pożółkłej, wyschłej, kępiastej trawie stepowej. Orzeł puścił się prosto, machając chorem skrzydłem i jakby spiesząc się ująć od nas, dokąd oczy poniosą. Aresztanci ciekawie śledzili, jak migała w trawie jego głowa.

— Widzisz go jaki! — w zamyśleniu odezwał się jeden.

— I nie obejrzy się! — dodał drugi. — Ani razu, bracia, nie obejrzał się, wciąż bieży naprzód.

— A ty myślałeś, że wróci dziękować? — wtrącił uwagę trzeci.

— Wiadomoma rzecz, wola. Wolę poczuł.

— Ot, co znaczy słoboda.

— I nie widać go już, bracia...

— Dość tego stania! Marsz! — zawołali konwojowi żołnierze i wszyscy milcząc powlekli się na robotę.

XII.

P r e t e n s y a .

Tego pierwszego lata błąkałem się po ostrogu prawie samotny. Powiedziałem już, że byłem wówczas w takim usposobieniu ducha, iż nie mogłem nawet ocenić i odróżnić tych z pomiędzy katorżników, którzy mogli byli mię polubić kiedyś, choć nigdy nie stanęliby na równej stopie ze mną. Miałem i ja towarzyszy ze szlachty, ale i to towarzystwo nie zdejmowało z duszy mojej całego brzemienia. I oto naprzykład jeden z tych wypadków, które od razu dały mi poczuć całe moje odosobnienie, całą wyjątkowość mojego położenia w ostrogu. Pewnego razu tegoż lata, kiedy już sierpień się zbliżał, w powszedni dzień, jasny i gorący, o pierwszej godzinie popołudniu, kiedy zwyczajnie wszyscy spoczywali przed poobiednią robotą, cała katorga naraz podniosła się, jak jeden człowiek i zaczęła szykować się na dziedzińcu więziennym. Nie wiedziałem o co chodzi, aż do tej chwili. W owym czasie bywałem nieraz tak zagłębiany w samym sobie, że prawie nie spostrzegałem, co się wkoło mnie dzieje. A tymczasem już od trzech dni panowało w katordze głuchoe wzburzenie. Może się ono już i daleko wcześniej zaczęło, jak to później domyślałem się, przypomniawszy sobie niektóre rzeczy z rozmów aresztanckich, zdwojoną kłótniwość aresztantów, ponurość i szczególne rozdrażnienie, jakiem się odznaczali w ostatnich czasach. Przyписыwałem to ciężkiej robocie, nudnym, długim dniom letnim,

mimowolnym rojeniom o losach i życiu wolnem, krótkim nocom, nie dającym dość czasu do wyspania się. Być może, że to wszystko połączyło się teraz w jeden wybuch, ale pretekstem do wybuchu była — żywność. Już od kilku dni rozlegały się w kazarmach, a szczególnie w kuchni przy obiedzie i wieczerzy, głośne skargi i sarkania, aresztanci niezadowoleni byli z kucharzy, jednego z nich nawet zmienili, ale natychmiast nowego odpędzili i wzięli napowrót dawnego. Jednem słowem wszyscy byli dziwnie rozstrojeni.

W naszym ostrogu było kilku ludzi takich, którzy się tu dostali za *pretensyę*. Oni to się najwięcej burzyli. Takim był szczególnie Martynow, który służył kiedyś w huzarach, gorący, niespokojny i podejrzliwy człowiek, zresztą uczciwy i szczery. Drugim — Wasilij Antonow, człowiek bardzo rozwinięty, z zuchwałem spojrzeniem, z dumnym, sarkastycznym uśmiechem, który rozdrażniając się zachowywał krew zimną, zresztą także uczciwy i szczery. Ale wszystkich nie będę opisywał. Pietrow, między innymi, snuł się tędy i owędy, przysłuchiwał się temu, co mówiono w różnych gromadkach, sam mało mówił, ale widocznie był wzburzony i pierwszy wyskoczył z kazarmy, kiedy zaczęto się szykować.

Nasz więzienny podoficer, który pełnił urząd feldwebła, wyszedł też natychmiast przestraszony. Uszykowawszy się ludzie grzecznie go poprosili, aby powiedział majorowi, że katorga chce z nim pomówić i osobiście go prosić o niektóre rzeczy. Za podoficerem wyszli wszyscy inwalidzi i uszykowali się z drugiej strony, naprzeciw katorgi. Polecenie, które otrzymał podoficer, było niezwykle i wprawiło go w wielki przestach. Ale nie donieść o tem natychmiast majorowi — nie śmiał. Naprzód, jeżeli cała katorga wystąpiła, to mogło coś gorszego jeszcze stąd wyniknąć; wszystkie władze nasze trwożliwie spoglądały na katorgę. Powtóre, gdyby nawet nie było, gdyby nawet wszyscy natychmiast się odmyśleli i rozeszli, to i w takim razie podoficer powinien był niezwłocznie donieść władzy o tem, co zaszło. Blady i drżący ze

strachu pospieszył natychmiast do majora, nawet nie próbując dopytywać się i napominać aresztantów. Widział, że z nim teraz nie zechcą nawet mówić.

Zupełnie nie wiedząc, o co chodzi, i ja wyszedłem stanąć w szyku. O wszystkich szczegółach sprawy dowiedziałem się już potem. Teraz myślałem, że odbywa się jakieś sprawdzanie; ale nie spostrzegłszy karaulnych, którzy dokonywają sprawdzania, zdziwiłem się i zacząłem rozglądać dokoła. Na twarzach był wyraz wzburzenia i rozdrażnienia, niektóre aż pobladyły. Wszyscy w ogóle byli mocno przejęci sprawą i milczący w oczekiwaniu chwili, kiedy wypadnie przemówić do majora. Uważałem, że wielu spojrzało na mnie z wielkiem zdziwieniem, ale milcząc, odwrócili się. Widocznie dziwnem się im to wydało, że stanąłem w szyku razem z nimi; widocznie nie wierzyli, żebym i ja z nimi chciał występować z pretensją. Wkrótce jednak prawie wszyscy, którzy mię otaczali, zaczęli się znów zwracać ku mnie. Wszyscy spoglądali na mnie pytająco.

— Tyś tu po co? — po grubiańsku zapytał mię Wasilij Antonow, który stał nieco dalej odemnie, a który dotychczas zawsze w y do mnie mówił i grzecznie się obchodził ze mną.

Patrzałem na niego zdziwiony, wciąż jeszcze usiłując zrozumieć, co to znaczy, i już domyślając się, że tu coś niezwykłego zachodzi.

— W samej rzeczy po co ci tu stać? Ruszaj do kazarmy — odezwał się młody parobczak, z wojskowych, z którym się dotychczas wcale nie znałem, chłopiec dobry i cichy.
— To nie twoja sprawa.

— A przecież szykują się — odpowiedziałem mu; myślałem, że to sprawdzanie.

— Wylazł ze sprawdzaniem! — krzyknął jeden z aresztantów.

— Żelazny nos — odezwał się drugi.

— Dławimuchy! — przemówił trzeci z nieopisaną pogardą. Nowe to przezwisko wywołało śmiech powszechny.

— Na łaskawym chlebie żyje w kuchni — dorzucił ktoś jeszcze.

— Im wszędzie raj. Tu katorga, a oni kołaczę jedzą i prosięta kupują. Ty przecież swoje własne jesz, po cóż tu leziesz ?

— To nie jest dla was miejsce — przemówił Kulikow, niedbale podchodząc ku mnie. Wziął mię za rękę i wypro-wadził z szeregów.

Sam był błydy, czarne jego oczy błyskały, dolną wargę zagryzał. Nie czekał on na majora z zimną krwią. Muszę dodać, że ogromnie lubił patrzeć na Kulikowa w podobnych razach, to jest wtedy, kiedy mu trzeba było pokazać się. Strasznie lubił pozować, ale też i rzecz swoją robił. Zdaje mi się, że i na śmierć skazany szedłby z pewnym szykiem i elegancją. Teraz, kiedy wszyscy mówili mi »ty« i urągali, on widocznie z umysłu podwoił swoją grzeczność względem mnie; pomimo to jednak ton jego słów był jakiś dumny, nalegający, który zdawał się nie dopuszczać przeczenia.

— My tu o swoich sprawach, Aleksandrze Piotrowiczu, wy tu nie macie nic do czynienia. Idźcie gdziekolwiek, przeczekajcie... Oto wasi wszyscy na kuchni, idźcie tam.

— Pod dziewiąty filar, gdzie mieszka Antypka bezpięty! — dorzucił ktoś urąganie.

Przez otwarte okno kuchni dostrzegłem tam rzeczywiście naszych Polaków; zresztą zdało mi się, że tam prócz nich jest wiele ludu więziennego. Nie rozumiejąc jeszcze dobrze, o co chodzi, poszedłem do kuchni. Śmiech, urągania i wołanie: tiu! tiu! (które u aresztantów zastępowało gwizdanie) rozgłeły się w ślad za mną.

— Nie podobało się!... Tiu-tiu-tiu! Bierz go!...

Nigdy jeszcze dotychczas w ostrogu nie byłem tak obrażony i obraza ta bardzo ciężko mię dotknęła. Alem się nawinał w taką chwilę. W sieniach przed kuchnią spotkał mię Tokarzewski, młodzieniec silnego charakteru i wielkiego serca, bez wyższego wykształcenia, który niezmiernie kochał swego

towarzysza Józefa Bogusławskiego. Katorżnicy wyróżniali go z pomiędzy innych i poczęści nawet lubili. Był waleczny, odważny i silny i to się odbijało prawie w każdym jego ruchu.

— Cóż wy, Gorianczikow — zawołał do mnie: — chodź pan tutaj!

— Cóż tam jest takiego?

— Pokazują *pretensyę*, czyż nie wiecie? Im się to, naturalnie, nie uda: kto wierzy katorżnikom? Zaczną poszukiwać podżegaczy, i jeżeli my tam będziemy, na nas pierwszych, rozumie się, zwałą winę buntu. Przypomnijcie tylko sobie, za cośmy się tutaj dostali. Ich tylko oćwiczą, a nas pod sąd. Major nas wszystkich nienawidzi i chciałby w łyżce wody utopić. My mu posłużymy do usprawiedliwienia się.

— A i katorżnicy nas wydadzą — dorzucił Mirecki, kiedyśmy weszli do kuchni.

— Można być pewnym, że nie pożałują — dodał Tokarzewski.

W kuchni oprócz szlachty było wielu jeszcze innych aresztantów, ludzi ze trzydziestu. Pozostali tutaj, nie chcąc objawiać pretensyi — jedni z tchórzostwa, drudzy wskutek głębokiego przekonania o nieużyteczności wszelkiej pretensyi. Był tu i Akim Akimycz, zawzięty wróg wszelkich podobnych pretensyj, zawichrzających prawidłowy bieg służby i obyczajności. W milczeniu i z wielkim spokojem wyczekiwał końca sprawy, ani trochę nie trwając się o jej rezultat, i owszem zupełnie przekonany o niezawodnym tryumfie porządku i władzy więziennej. Był tu i Isaj Fomicz, stał mocno zakłopotany, ze zwieszonym nosem, chciwie i trwożnie przysłuchując się naszej rozmowie. Byli tu i wszyscy Polackowie z ludu prostego, którzy stanęli przy szlachcie. Było kilka bojaźliwych indywiduów z pomiędzy Rosyan, ludzi wiecznie milczących i przybitych. Nie mieli odwagi wyjść razem z innymi i ze smutkiem czekali, jak się sprawa skończy. Było nakoniec kilku ponurych, zawsze nachmurzonych aresztantów, ludzi nieboja-

żliwych. Ci pozostali wskutek uporczywego i pogardliwego przekonania, że to wszystko głupstwo i nic stąd dobrego wyniknąć nie może. Zdaje mi się jednak, że uczuwali pewne skrupuły i patrzali niezbyt śmiało. Wiedzieli wprawdzie, że mają zupełną słuszość pod względem pretensyi i rezultat potwierdził ich przekonanie, mieli jednak takie uczucie, jak gdyby byli odstępcami opuszczającymi *artiel* i wydającymi swoich towarzyszy. Znalazł się tu i Jełkin, ten chłop sybirski, który tu się dostał za fałszowanie pieniędzy. Staruszek ze Słobód starodubowskich był tu także. Kucharze wszyscy co do jednego pozostali w kuchni, zapewne wskutek przekonania, że i oni stanowią część administracyi, a więc nie przystoi im przeciw niej występować.

— Jednakże — powiedziałem z pewnem wahaniem się zwracając do Mireckiego — prócz tych, prawie wszyscy wyszli.

— A nam co do tego? — mruknął Bogusławski.

— Mybyśmy sto razy więcej ryzykowali, gdybyśmy wyszli, a po co?

— *Je hais ces brigands*. I czy pan wierzysz choć przez chwilę, że ich pretensya odniesie skutek? Co za ochota mięszać się w głupią sprawę.

— Nic z tego nie będzie — wtrącił jeden z katorżników, uparty i gniewliwy starzec. — Ałmazow, który tu był także, pospieszył z potwierdzeniem słów jego.

— Oprócz tego, że oćwiczą z pół sotni, nic więcej nie będzie.

— Major przyjechał! ktoś krzyknął i wszyscy chciwie rzucili się do okienek.

Major wleciał zły, wściekły, czerwony, w okularach. Milcząc, ale pewnym krokiem podszedł do frontu. W takich razach był on rzeczywiście śmiały i nie tracił przytomności umysłu. Zresztą był prawie zawsze na pół pijany. Nawet jego zatłuszczona czapka oficerska z pomarańczowym paskiem i zabrudzone, srebrne epolety miały w sobie w tej chwili coś złowieszczego. Za nim szedł pisarz Diatłow, nadzwyczaj wa-

zna osoba w naszym ostrogu, ten, który właściwie rządził wszystkim w ostrogu i nawet miał wpływ na majora, przebiegły, roztropny, ale i niezły człowiek. Aresztanci byli z niego zadowoleni. Z tyłu za nim szedł nasz podoficer, który już widocznie otrzymał od majora najstraszniejszą »raspiekancją«, a spodziewał się otrzymać dziesięćkroć więcej; za tym konwojowi, trzech czy czterech ludzi, nie więcej. Aresztanci, którzy stali bez czapek, jak się zdaje, jeszcze od chwili, kiedy posłali po majora, wszyscy teraz wyprostowali się, poruszyli, przestąpili z nogi na nogę, a następnie jakby zamarli, oczekując pierwszego słowa, albo lepiej powiedziawszy, pierwszego krzyku wyższej władzy.

Ten krzyk niezwłocznie nastąpił: począwszy od drugiego słowa major wrzasnął na całe gardło, tym razem nawet z jakimś piskiem: strasznie był rozwścieczony. Widzieliśmy z okien, jak biegał przed frontem, rzucał się, dopytywał. Pytań zresztą jego, zarówno jak i odpowiedzi aresztantów, z powodu oddalenia nie mogliśmy słyszeć. Dosłyszeliśmy tylko, jak piskliwie krzyczał:

— Buntownicy!... Przez strój!... *Zaczynszczyki!* Ty *zaczynszczyk!* Ty *zaczynszczyk!* — rzucał się do kogoś.

Odpowiedzi nie było słychać. Ale po chwili ujrzelśmy, jak jeden aresztant wyszedł z szeregów i udał się do kordegardy. Znow po chwili ruszył za pierwszym drugi, potem trzeci.

— Wszystkich pod sąd! Ja was! A tam kto w kuchni? — wrzasnął, zobaczywszy nas w otwartych okienkach. — Wszystkich tutaj! Spędzić ich tu zaraz!

Pisarz Diatłow ruszył do nas, do kuchni. W kuchni powiedziano mu, że tu nie mają pretensyi. Niezwłocznie wrócił do majora i doniósł mu o tem.

— A, nie mają! — przemówił o dwa tony niżej, widocznie uradowany. — Wszystko jedno, wszystkich tutaj!

Wyszliśmy. Czułem, że jakoś nam wstyd wychodzić. Wszyscy też szli jakby ze zwieszoną głową.

— A, Prokofjew! Jełkin także, a to ty Ałmazow... Stawajcie tutaj, w kupie — mówił do nas major spiesznym, ale miękkim głosem, łaskawie spoglądając na nas. — Mirecki, ty także tutaj... Diatłow! Natychmiast spisać wszystkich, nie mających pretensyi osobno, niezadowolnionych osobno, wszystkich co do jednego, a *bumagę* do mnie. Ja wszystkich was podam... pod sąd! Ja was, łotry!

»Bumaga« wywarła wrażenie.

— My zadowoleni! — ponuro odezwał się głos jakiś z tłumu niezadowolonych, ale jakoś nie bardzo stanowczo.

— A, zadowoleni? Kto zadowolony? Kto zadowolony, niech wychodzi.

— Zadowoleni, zadowoleni, przyłączyło się kilka głosów.

— Zadowoleni! a więc to znaczy, że was podburzali? To znaczy, że byli podżegacze, *buntowszczyki*? Tem gorzej dla nich!

— Panie Boże, cóż to takiego! — rozległ się jakiś głos w tłumie.

— Kto, kto to krzyknął, kto? — zaryczał major — rzucając się w tę stronę, skąd głos dał się słyszeć. — To ty, Rastorgujew, tyś krzyknął? Do kordegardy!

Rastorgujew, otyły i wysoki parobczak wyszedł z tłumu i powoli podybał do kordegardy. Nie krzyknął on bynajmniej, ale ponieważ na niego wskazano, więc nie przeczył.

— Z sadła się wściekacie! — zawył w ślad za nim major. — Widzisz go, tłusta morda! Ja was tu wszystkich wyszukam! Wychodzić zadowoleni!

— Zadowoleni, *wasze wysokobłagorodje!* — posępnie odezwało się kilkadziesiąt głosów; reszta uporczywie milczała. Ale majorowi tylko tego potrzeba było. Dla niego samego, widocznie, najwygodniej było zakończyć sprawę jaknajprędzej i zakończyć jaką taką zgodą.

— A, teraz wszyscy zadowoleni; — odezwał się spiesznie. — Ja to wiedziałem... To *zaczynszczyki!* Między nimi widocznie są *zaczynszczyki!* — ciągnął dalej zwracając się do

Diatłowa: — trzeba to szczegółowo zbadać. A teraz... teraz czas na robotę. Bij w bęben!

Sam był obecny przy rozprowadzaniu partyj. Aresztanci w posępnem milczeniu rozchodzili się na roboty, radzi przynajmniej z tego, że prędzej z oczu zejść mieli. Ale zaraz po odejściu aresztantów major udał się do kordegardy i rozprawił się z »zaczynszczykami«, nie bardzo zresztą srogo. Spieszył się nawet. Mówiono mi potem, że jeden z nich prosił o przebaczenie, i major natychmiast mu przebaczył. Widać było, że major nie czuje się zupełnie spokojnym i że może nawet stchórzył. Pretensya jest to w każdym razie rzecz drażliwa, a choć skarga aresztantów właściwie nie mogła być nazwana pretensją, bo przedstawiano ją nie wyższej władzy, ale samemuż majorowi, przecież było to jakoś nieładnie. Szczególnie uderzało to, że wszyscy gromadnie powstali. Trzeba było w jakikolwiek sposób zatrzeć sprawę. Mniemanych podżegaczy wkrótce wypuszczono.

Od następnego dnia żywność się polepszyła, choć zresztą nie na długo. Major w pierwszych dniach potem częściej zaczął nawiedzać ostróg i częściej znajdował nieporządki. Nasz podoficer chodził zasmucony i zбитy z tropu, zdawało się, że nie może wyjść dotychczas z zadziwienia. Co się tyczy aresztantów, to długo jeszcze potem nie mogli się uspokoić, ale już nie burzyli się, jak dawniej, tylko w ich milczeniu widać było jakieś zaniepokojenie i troskę. Niektórzy zwiesili głowy, inni smutnie i niechętnie odzywali się o całej tej sprawie. Było wielu takich, którzy z pewnem rozjątrzeniem wyśmiewali się z siebie samych, jakby chcąc się ukarać za pretensję.

— Na, weź bracie i pokosztuj! — odzywa się jeden.

— Gdzie ta mysz, coby kotowi dzwonek przywiązała? — robi uwagę inny.

— Naszego brata bez dębiny nie przekonasz, to wiadomo. Dobrze jeszcze, że nie wszystkich wysiekł.

— A ty na drugi raz więcej znaj, a mniej paplaj, to lepiej będzie! — gniewnie ktoś strofuje.

— Zkądże ty uczysz, nauczycielu ?

— Wiadoma rzecz, uczę rozumu.

— A ktoś ty taki, żeś tak wyskoczył ?

— Ja, chwała Bogu, jeszczem dotychczas człowiek, ale ty kto jesteś ?

— Ogryzek sobaczy, oto kto ty jesteś.

— Toś ty sam.

— No, no, dosyć tego! Zaindyczyli się! — krzyczano ze wszystkich stron na kłócących się.

Tego dnia, w którym była pretensya, wieczorem, powróciwszy z roboty, spotkałem się za kazarmami z Pietrowem. On mię już szukał. Podeszedłszy do mnie, mruknął coś pod nosem, coś w rodzaju paru nieokreślonych wykrzykników, a potem zamilkł jakby roztargniony i zaczął machinalnie iść obok mnie.

Cała ta sprawa bardzo mi leżała na sercu i zdawało mi się, że Pietrow może mi ją nieco rozjaśnić.

— Powiedzcie Pietrow — spytałem go — czy wasi na nas nie gniewają się ?

— Kto gniewa się? — zapytał, jakby ocknąwszy się.

— Aresztanci na nas... na szlachtę.

— A za co się na was gniewać ?

— No, za to, żeśmy nie wyszli do pretensyi.

— A wam poco występować z pretensją? — spytał, jak gdyby siląc się mnie zrozumieć; — przecież wy macie swoją żywność.

— Ach mój Boże! Przecież i między wami są tacy, co jedzą swoje, a jednak wyszli. Więc i nam należało... jako towarzyszom.

— Czyż wy nam towarzysysz? — zapytał Pietrow zdziwiony.

Spojrzałem co prędzej na niego: stanowczo nie rozumiał mnie, nie pojmował, czego się dobijano. Ale ja za to pojąłem go w tej chwili doskonale. Teraz po raz pierwszy rozjaśniła mi się ostatecznie myśl, która już oddawna niejasno

przemykała mi po głowie i prześladowała mię, i nagle pojąłem to, czego dotychczas niepewnie domyślałem się. Zrozumiałem, że mnie nigdy nie uznają za towarzysza, choćbym był aresztantem, na wieki skazanym na katorgę, choćbym należał do osobnego oddziału. Szczególnie utkwiła mi w pamięci postać Pietrowa w chwili, kiedy mię pytał: »cóż wy nam za towarzysz?« W tem pytaniu słychać było doskonałą naiwność, najszczerze zadziwienie. Myślałem, czy niema w tych słowach jakiej ironii, złości, szyderstwa? Nic tam tego nie było ani trochę: poprostu nie towarzysz, i koniec. Ty idź swoją drogą, a my swoją; ty masz swoje sprawy, a my swoje.

I rzeczywiście myślałem, że po pretensyi oni nas poprostu zagryzą i żyć nam nie dadzą. Ale bynajmniej tak nie było; nie usłyszeliśmy najmniejszego wyrzutu, najmniejszej wzmianki w tym kierunku, ani trochę niechęć ku nam nie wzrosła. Tak samo, jak przedtem, tak i teraz, dogryzano nam potroszę przy sposobności i nie więcej. Zresztą nie gniewali się aresztanci i na wszystkich innych, którzy nie chcieli należeć do pretensyi i pozostali w kuchni, zarówno jak i na tych, którzy pierwsi krzyknęli, że są ze wszystkiego kontenci. Nikt nawet nie wspomniał o tem i tego szczególnie zrozumieć nie mogłem.

XIII.

T o w a r z y s z e .

Mnie naturalnie najwięcej ciągnęło do swoich, to jest do »szlachty«, szczególnie w początkach. Ale z trzech Rosyan szlachty, którzy byli u nas w ostrogu (Akima Akimycza, szpiega A-wa i tego, którego uważano niesłusznie za ojcobójcę) znałem się i rozmawiałem tylko z Akimem Akimyczem. Muszę się przyznać, że podchodziłem do Akima Akimycza, że tak powiem, z rozpaczą, w chwilach najgorszej nudy, kiedy już nie było sposobności z kim innym porozmawiać. Była to pod pewnym względem wyjątkowa postać w katordze, mianowicie zdawało się, że jemu jednemu tylko z całej katongi wszystko jedno, czy żyć w więzieniu czy na swobodzie. On się nawet urządził w ostrogu tak, jak gdyby się wybierał całe życie tam przepędzić: wszystko koło niego, poczynając od materaca, poduszki, naczyń, rozłożyło się tak porządnie, tak mocno było ustawione i na tak długo! Nic biwakowego, przejściowego, nie było w nim ani śladu. Wprawdzie wiele jeszcze lat wypadało mu przebyć w ostrogu, ale bodaj czy kiedykolwiek pomyślał on o wyjściu stamtąd. Ale jeśli pogodził się z rzeczywistością, to już nie z ochoty, tylko wskutek subordynacji, co zresztą dla niego znaczyło to samo. Był to dobry człowiek i nawet z początku pomagał mi radą, wyświadczał pewne usługi, ale niekiedy, wyznaję, napędzał mi niesłychane nudy, które jeszcze zwiększały ciężar, gniotący mi duszę.

A ja z nudów zawiązywałem z nim rozmowę. Pragnę, bywało, jakiegokolwiek żywego słowa, choćby żółciowego, niecierpliwego, chociażby gniewu jakiego: nakłębilibyśmy przynajmniej na nasze losy razem. A on milczy, klei swoje latarki, albo opowie o tem, jaka to u nich była rewja w takimto roku, i kto był naczelnikiem dywizyi, jak go zwano po imieniu i »otczestwu«, czy zadowolony był z przeglądu wojska, czy nie, jak strzelcom zmieniono sygnały i t. d. I wszystko to opowiedziane równym, statecznym głosem, rzekłbyś woda spada kropla po kropli. Nie zapalał się nawet wtedy, gdy opowiadał mi, jak za udział w pewnej sprawie wojennej na Kaukazie zaszczycony został »świętą Anną« na szpadzie. Tylko głos jego w tej chwili stawał się niezwykle poważnym i uroczystym; obniżał się nawet do pewnej tajemniczości przy wymawianiu »świętej Anny«, i przez parę minut następnych Akim Akimycz stawał się szczególnie poważnym i milczącym...

Bywały chwile w tym pierwszym roku, (i zawsze nagle to przychodziło) kiedy zacząłem prawie nienawidzić Akima Akimycza i w milczeniu przeklinałem los, który mnie umieścił razem z nim na narach, głowa przy głowie. Zwykle po godzinie jużem się strofował za to. Ale tak było tylko w pierwszym roku; potem się zupełnie pogodziłem w duszy z Akimem Akimyczem i wstydzilem się przeszłych głupstw. Na zewnątrz zaś, o ile pamięcią sięgam, nigdyśmy się ze sobą nie kłócili.

Oprócz tych trzech Rosyan, innych ze stanu szlacheckiego przybywało w moich czasach w ostrogu ośmiu ludzi ¹⁾. Z niektórymi z nich zawarłem ścisłą, a nawet przyjemną znajomość, ale nie ze wszystkimi. Najlepsi z nich byli to ludzie chorobliwie nastroszeni, odosabiający się i w najwyższym stopniu nietoleranci. Z dwoma przestałem potem rozmawiać. Ludzi wykształconych było wśród nich trzech tylko: Bogu-

¹⁾ Jak widać z różnych wskazówek, rozrzuconych po wspomnieniach, autor mówi tu o Polakach. (*Przypisek tłumacza*).

sławski, Mirecki i starzec Żukowski, który był niegdyś profesorem matematyki — starzec dobry, zacny, wielki dziwak, i pomimo wykształcenia, bardzo, jak mi się zdaje, ograniczony człowiek. Zupełnie inni byli Mirecki i Bogusławski. Z Mireckim odrazu ścisłą zawarłem znajomość; nigdy się z nim nie kłóciłem, szanowałem go, ale pokochać go, przywiązać się do niego nigdy nie mogłem. Był to człowiek głęboko niedowierzający i rozdrażniony, ale umiejący doskonale panować nad sobą. Otóż ta zbyt wielka umiejętność panowania nad sobą nie podobała mi się w nim; można było odgadnąć, że ten człowiek nigdy i przed nikim całej swej duszy nie otworzy. Być może zresztą, że się mylę. Była to natura silna i w wysokim stopniu szlachetna. Nadzwyczajna, poniekąd nawet jezuicka zręczność i ostrożność w obojętności z ludźmi, zdradzała w nim głęboki, utajony sceptycyzm. A przecież była to dusza cierpiąca właśnie wskutek owej dwoistości: sceptycyzmu i głębokiej, niczem niezachwianej wiary w pewne swoje ideały i ich ziszczenie. Pomimo jednak całej swej zręczności towarzyskiej, żył w zaciętej nieprzyjaźni z Bogusławskim i jego przyjacielem Tokarzewskim. Bogusławski był chorowity, trochę z usposobieniem do suchot, nerwowy i drażliwy, ale w gruncie rzeczy najlepszy człowiek, nawet wspaniałomyślny. Rozdrażnienie doprowadzało go niekiedy do nadzwyczajnej nietolerancji i kaprysów. Nie mogłem tego znosić i później rozstałem się z Bogusławskim, alem go nigdy nie przestawał kochać; a z Mireckim nie kłóciłem się, alem go nigdy nie polubił. Tak się zdarzyło, że zerwawszy stosunki z Bogusławskim, natychmiast musiałem zerwać znajomość i z Tokarzewskim, z tym samym młodzieńcem, o którym wspominałem w poprzednim rozdziale, mówiąc o naszej pretensji. Bardzo mi to było przykro. Tokarzewski, chociaż bez wyższego wykształcenia, był dobrym, mężnym, krótko mówiąc, dzielnym młodzieńcem. Przyczyną zerwania było to, że on tak kochał i cenił Bogusławskiego, że tych wszystkich, którzy choć cokolwiek stronili od Bogusławskiego, poczytywał prawie za swoich wrogów. Nawet

z Mireckim, zdaje się, że poróżnił się potem z powodu Bogusławskiego, choć długo starał się wytrwać w dobrym stosunku. Wszyscy oni byli zresztą moralnie cierpiący, żółciowi, rozdrażnieni, niedowierzający. Rzecz to łatwa do zrozumienia: im było bardzo ciężko, daleko ciężej, niż nam. Byli daleko od ojczystego kraju; niektórzy z nich przysłani na długie lata katorgi, na lat dziesięć, dwanaście, a co najważniejsza, z głębokiem uprzedzeniem patrzali na swoje otoczenie, widzieli w katorżnikach tylko zwierzęcość i nie mogli, nie chcieli w nich dojrzeć ani jednego dobrego rysu, nie ludzkiego. Ale i to rzecz zrozumiała: na to stanowisko los ich wprowadził siłą okoliczności. Rzecz jasna, że gniotła ich tęsknota. Dla Czerkiesów, Tatarów, dla żyda byli łaskawi i uprzejmi, ale ze wstrętem unikali reszty katorżników. Tylko jeden starodubowski starowiec zasłużył był sobie na ich pełny szacunek. Rzecz zresztą godna uwagi, że nikt z katorżników przez cały czas mego przebywania w ostrogu, nie wytykał im ani ich pochodzenia, ani wyznania, ani sposobu myślenia, co się zdarza u naszego ludu prostego w stosunku do cudzoziemców, szczególnie Niemców, choć bardzo rzadko. Zresztą, co się tyczy Niemców, to się z nich tylko śmieją; Niemiec dla rosyjskiego popólstwa przedstawia się jako coś niezmiernie komicznego. Z naszymi zaś Polakami katorżnicy obchodzili się nawet z uszanowaniem, daleko lepiej niż z nami ze szlachty rosyjskiej i wcale ich »nie zaczepiali«. Ale ci, jak się zdaje, nie chcieli nawet widzieć tego i brać na uwagę.

Zacząłem mówić o Tokarzewskim. On to, kiedy ich przeprowadzono z pierwszego miejsca wygnania do naszej fortecy, dźwigał na swych barkach Bogusławskiego niemal przez całą drogę, jak tylko Bogusławski, chory i słabowity, ustawał w półetapu. Posłani byli naprzód do U-gorska. Tam, powiadali, było im dobrze, to jest daleko lepiej, niż w naszej fortecy. Ale przechwycono ich korespondencyę, zupełnie zresztą niewinną, z innymi skazańcami w innym mieście i z tego powodu uznano za rzecz konieczną wysłać ich do naszej fortecy, bliżej

pod oczy wyższej władzy. Trzecim towarzyszem był Żukowski. Do czasu ich przybycia Mirecki był sam jeden w ostrogu. Toż to musiał on tęsknić w pierwszym roku swej katorgi!

Ten Żukowski, był to ów wiecznie modlący się Polak, o którym już wspominałem. Wszyscy nasi polityczni przestępcy, byli to ludzie młodzi, niektórzy nawet bardzo; jeden Żukowski miał lat przeszło pięćdziesiąt. Był to człowiek, naturalnie, uczciwy, ale nieco dziwaczny. Towarzysze jego, Bogusławski i Tokarzewski, bardzo go nie lubili, nawet nie rozmawiali z nim, utrzymując, że jest uparty i głupi. Nie wiem, ile prawdy było w ich twierdzeniu. W ostrogu, zarówno jak i wszędzie, gdzie ludzie gromadzą się nie z własnej ochoty, ale przymusowo, łatwiej, zdaje mi się, można pokłócić się a nawet wzajemnie znienawidzić, niż w życiu wolnem. Wiele okoliczności pobudza do tego. Zresztą Żukowski był rzeczywiście dość tępego umysłu i może nieprzyjemny. Wszyscy inni towarzysze jego nie żyli z nim w harmonii. Ja z nim się nigdy nie sprzeczałem, ale szczególnego zbliżenia między nami nie było. Swój przedmiot, matematykę, zdaje się, że znał. Pamiętam, jak silił się w łamanym języku rosyjskim objaśnić mi jakiś szczególny, przez siebie wymyślony systemat astronomiczny. Mówiono mi, że on to kiedyś wydrukował, ale w uczonym świecie pośmiano się tylko z niego. Całemi dniami modlił się na kłęczkach, czem zjednał sobie ogólny szacunek katorgi i cieszył się nim do samej śmierci. Umarł w naszym szpitalu, po ciężkiej chorobie, w moich oczach. Zresztą szacunek katorżników pozyskał przy samem wstąpieniu do ostroga, w skutek historyi, którą miał z naszym majorem. W drodze z U-gorska do naszej fortecy ich nie golono i oni tak obrośli, że kiedy ich przyprowadzono wprost do plac-majora, to ten wpadł we wściekły gniew z powodu takiego naruszenia subordynacyi, co zresztą nie było ani trochę ich winą.

— Jakże oni wyglądają! — zaryczał — to *brodiagi* (włóczęgi), rozbójnicy!

Żukowski, który jeszcze wtedy niedobrze rozumiał rosyjską mowę i sądził, że ich pytają: kto oni są? włóczęgi czy rozbójnicy? odpowiedział:

— My nie *brodiagi*, ale polityczni przestępcy.

— Ja-a-ak. Zuchwalstwo? Zuchwały! — zaryczał major; — do kordegardy! Sto różeg, natychmiast, w tej chwili!

Starca ukarano. Położył się pod różgi bez oporu, wsadził rękę między szczęki i wytrzymał karę bez najmniejszego krzyku lub jęku, ani drgnąwszy. Tymczasem Bogusławski i Tokarzewski już weszli do ostrogu, gdzie Mirecki oczekiwał ich u bramy i rzucił im się na szyję, choć przedtem nigdy ich nie widział. Oburzeni przyjęciem ze strony majora, opowiedzieli zaraz Mireckiemu, co się stało z Żukowskim. Pamiętam, jak Mirecki opowiadał mi o tem: »Traciłem przytomność — mówił — nie pojmowałem, co się ze mną dzieje i trząsałem się jak w febrze. Stanąwszy u bramy, czekałem na Żukowskiego, który miał przyjść wprost z kordegardy, gdzie go karano. Nagle otworzyła się furtka: Żukowski, nie patrząc na nikogo, z bladą twarzą i blademi, drżącemi wargami przeszedł przez tłum zgromadzonych na dziedzińcu katorżników, którzy już wiedzieli, że biją szlacheca, poszedł do kazarmy, wprost do miejsca dla siebie przeznaczonego i nie rzekłszy ani słowa ukląkł i zaczął się modlić. Katorżnicy byli zdziwieni, a nawet rozczuleni. Kiedym zobaczył tego siwego starca — mówił Mirecki — który zostawił w ojczyźnie żonę i dzieci, kiedym go zobaczył na klęczkach, haniebnie ukaranego i modlącego się, rzuciłem się za kazarmy i przez całe dwie godziny byłem jak nieprzytomny; szła mię ogarniał...« Od tej chwili katorżnicy zaczęli bardzo poważać Żukowskiego i okazywali mu zawsze uszanowanie. Podobało się im szczególnie to, że nie krzyczał pod różgami.

Trzeba jednakże powiedzieć całą prawdę; z tego przykładu nie można sądzić w ogóle o obchodzeniu się władz w Syberyi z zesłaną szlachtą, ktokolwiekby byli ci zesłani, Rosyanie czy Polacy. Ten przykład pokazuje tylko, że można natknąć

się na złego człowieka i naturalnie jeżeli ten zły człowiek będzie gdzieś niezależnym, starszym komendantem, to doła zesłanego, szczególnie w razie gdyby się nie podobał komendantowi, będzie bardzo źle zabezpieczoną. Ale należy przyznać, że najwyższa władza na Syberji, od której zależy ton i nastrój wszystkich komendantów, była dla szlachty zesłanej bardzo względną; niekiedy nawet — w porównaniu z innymi katorżnymi z ludu prostego — skłonna do pobłażania. Przyczyny bardzo zrozumiałe: naprzód ci wyżsi naczelnicy sami są szlachtą; powtóre zdarzało się jeszcze dawniej, że niektórzy ze szlachty nie kładli się pod różgi i rzucali się na wykonawców, z czego wynikały straszne rzeczy; a po trzecie, i to jak mi się zdaje przyczyna główna, już dawno, trzydzieści pięć lat temu, zjawilo się na Syberji naraz mnóstwo szlachty zesłanej¹⁾ i ci zesłani w przeciągu lat trzydziestu umieli się tak postawić i zarekomendować w całej Syberji, że władza w moich czasach już wskutek dawnego, tradycyjnego zwyczaju, mimowoli innemi oczami patrzyła na szlachtę — przestępców wiadomej kategorii, niż na wszystkich innych zesłanych. Za wyższą władzą idąc, i niżsi komendanci przyzwyczajili się patrzeć na to takiemiż oczami, rozumie się przejmując ten pogląd i ton z góry, poddając się jemu. Zresztą było wielu niższych komendantów ograniczonego umysłu, którzy krytykowali w duchu rozporządzenia wyższej władzy i bardzo, bardzo byliby radzi, gdyby im nikt nie przeszkadzał rządzić się po swojemu. Ale im niezupełnie na to pozwalano. Oto dlaczego jestem pewny, że tak było. Druga kategoria katongi, w której ja się znajdowałem, a która składała się z chłopskich aresztantów pod władzą wojenną, była nierównie cięższą od dwu innych kategorii: trzeciej (w fabrykach) i pierwszej (w kopalniach). Cięższą ona była nietylko dla szlachty, ale i dla

¹⁾ Autor po raz pierwszy drukował »Wspomnienia« w r. 1861; 35 lat przedtem był rok 1826, w którym zesłano wielu »Dekabrystów« do Syberji. (*Przypisek tłumacza*).

wszystkich aresztantów, mianowicie dlatego, że władza ta była wojskowa i całe urządzenie wojskowe, bardzo podobne do aresztanckich rot w Rosyi. Władza wojskowa surowsza, przepisy ściślejsze, zawsze w łańcuchach, zawsze pod konwojem, zawsze pod kluczem; a tego niema w tym stopniu w wielu innych kategoriach. Tak przynajmniej mówili wszyscy nasi aresztanci, a byli między nimi znawcy nielada. Wszyscy oni z radością przeszliby do pierwszej kategorii, która w ustawach uważaną była za najcięższą, i nawet często o tem roili. Przeciwnie o aresztanckich rotach wszyscy nasi, którzy tam byli, mówili z przestachem i zapewniali, że w całej Rosyi niema gorszego miejsca od robót aresztanckich po fortcach i że w Syberyi raj w porównaniu z tamtem życiem. Jeżeli zatem przy tak surowej dyscyplinie, jaka była w naszym ostrogu, przy władzy wojskowej, pod oczami samego generał-gubernatora, nakoniec wobec tej okoliczności, że niektóre postronne, ale urzędowe indywidua, czy to przez złość, czy ze służbowej gorliwości, gotowe były potajemnie donieść dokąd należało, że takiej to kategorii przestępcom tacy to niedobrze myślący komendanci pobłazają — jeżeli, mówę, w takim miejscu na przestępców-szlachtę patrzano nieco innemi oczami, niż na innych aresztantów, to tem względniej traktować ich musiano w pierwszej i trzeciej kategorii. Tak więc myślę, że z tego miejsca, gdzie sam byłem, mogę wnosić o całej Syberyi pod tym względem. Wszystkie wieści i opowiadania, które mię dochodziły od zesłanych pierwszej i trzeciej kategorii, potwierdzały ten mój wniosek. W rzeczy samej na wszystkich nas szlachtę w ostrogu naszym władza spoglądała uważniej, była ostrożniejszą z nami. Pobłazania pod względem roboty i utrzymania stanowczo nie było wcale; te same roboty, też kajdany, też zamki, jednym słowem to samo, co u wszystkich aresztantów. A nawet niełatwo było dać ulgę. Wiem, że w tem mieście, w niedawnej przeszłości tylu było donosicieli, tyle intryg, tylu kopiących pod sobą wzajem doły, że władza naturalnie bała się donosów. A jakież straszniejszy

mógł być w owych czasach donos nad ten, że łagodnie traktują wiadomej kategorii przestępców!¹⁾ Więc każdy lękał się i myśmy mieli życie takie, jak wszyscy katorżni, tylko pod względem kary cielesnej było trochę inaczej. Prawda, nas bardzo łatwo oćwiczyliby, gdybyśmy zasłużyli na to, to jest popełnili jakieś przestępstwo w ostrogu. Tego wymagał obowiązek służby i równość — wobec kary cielesnej. Ale tak, bez ważnego powodu, lekkomyślnie nie obiliby nas, a z prostymi aresztantami i tego rodzaju lekkomyślne postępowanie trafiało się, szczególnie ze strony niektórych podrzędnych naczelników, ochoczych do szerzenia postrachu przy każdej sposobności. Wiadomo nam było, że komendant, dowiedziawszy się o historii ze starym Żukowskim, bardzo się oburzył na majora i nakazał mu na przyszłość trzymać krócej ręce. Tak mi wszyscy opowiadali. Wiedzano też u nas, że sam generał-gubernator, który ufał naszemu majorowi i po części go lubił jako wykonawcę i człowieka z pewnemi zdolnościami, dowiedziawszy się o tej historii, robił mu także wymówki. I nasz major przyjął to do wiadomości. Jak mu się chciało, naprzykład, dobrać się do Mireckiego, którego nienawidził wskutek podszeptów A-wa, a przecież choć szukał pretekstu, choć go prześladował i prowokował, nie mógł go obić.

O nieszczęściu Żukowskiego wkrótce dowiedziało się całe miasto i opinia publiczna oświadczyła się przeciw majorowi; wielu robiło mu wymówki, niektórzy nawet w sposób nieprzyjemny. Opowiem teraz moje pierwsze spotkanie z placmajorem. Nas, to jest mnie i drugiego jeszcze zesłanego szlachcica, z którym razem wstąpiłem do katorgi, jeszcze w Tobolsku nastraszone opowiadaniem o nieprzyjemnym charakterze tego człowieka. Zesłańcy z przed dwudziestupięciu lat (dekabryści), którzy nas tu spotkali z głębokiem współczuciem i przez cały czas naszego zatrzymania się w Tobolsku mieli z nami stosunki, ostrzegali nas przed przyszłym naszym komendan-

¹⁾ To jest politycznych. (*Przypisek tłómacza*).

tem i obiecali zrobić wszystko, co mogą, przez ludzi znanych, aby nas ochronić od jego prześladowania. W istocie trzy córki generał-gubernatora, które przyjechały z Rosyi i gościły wówczas u ojca, otrzymały od nich listy i mówiły, zdaje się, za nami. Ale cóż on mógł zrobić? Powiedział tylko majorowi, aby był cokolwiek oględniejszym.

O godzinie trzeciej popołudniu ja i mój towarzysz przybyliśmy do tego miasta (Omska) i konwojowi natychmiast poprowadzili nas do naszego władcy. Staliśmy w przedpokoju, oczekując go, a tymczasem posłano po więziennego podoficera. Gdy się ten zjawił, wyszedł i plac-major. Nalana krwią, przyszczowata i gniewna twarz jego wywarła na nas przygniatające wrażenie: istny pajak, podbiegający ku biednej musze, która się dostała w jego pajęczynę.

— Jak się nazywasz? — zapytał mego towarzysza. Mówił prędko, dobitnie, urywanym głosem i widocznie chciał wyrzeć na nas efekt.

— Tak a tak.

— A ty? — ciągnął, zwracając się ku mnie i wymierzając na mnie swoje okulary.

— Tak a tak.

— Podoficer! Natychmiast wzięść ich do ostroga, ogolić w kordegardzie po cywilnemu, niezwłocznie, pół głowy; jutro też zaraz przekuć kajdany. A to co za szynele? skąd dostali? — spytał nagle, zwróciwszy uwagę na szare kapoty, z żółtymi, krągłymi naszywkami na plecach, które nam w Tobolsku wydano i w których stanęliśmy przed jego majestatem. — To nowa forma! To pewno jakaś nowa forma... Nowe jakies projekty... z Petersburga — mówił, z kolei nas obracając.

— Czy mają co z sobą? — spytał nagle żandarma, który nas przyprowadził.

— Mają odzież własną, Wasze wysokobłagorodje — odpowiedział żandarm, wyprostowawszy się w jednej chwili, nawet z pewnem drgnięciem. Wszyscy go znali, wszyscy o nim słyszeli, i bali się go.

— Wszystko odebrać. Oddać im tylko bieliznę i to tylko białą; kolorową, jeżeli jest, odebrać. Wszystko poza tem sprzedać z licytacyi. Pieniądze zapisać do przychodu. Aresztant niema własności — mówił dalej, surowo popatrzawszy na nas. — Pamiętajcież dobrze się prowadzić! Żebym nie słyszał! Jeżeli nie... ka-ra cie-le-sna! Za najmniejsze wykroczenie — r-r-ózi!

Nieprzywykły do takich przyjęć, przez cały ten wieczór byłem prawie chory. Wrażenie tego przyjęcia wzmogło się jeszcze wskutek tego, com ujrzał w ostrogu; ale o pierwszym wejściu mojem do ostrogu jużem opowiadał.

Tylko co powiedziałem, że nam nie śmiano pobłażać i nie pobłażano, żeśmy w porównaniu z innymi aresztantami nie mieli żadnej ulgi w pracy. Raz jednak próbowano to uczynić: — ja i Bogusławski przez całe trzy miesiące chodziliśmy do kancelaryi inżynierów w charakterze pisarzy. Ale zrobiono to eichaczem i zrobiła to władza inżynieryjna. Naturalnie, wszyscy inni, do kogo należało wiedzieć, wiedzieli zapewne o tem, ale udawali, że nie wiedzą. Działo się to jeszcze przy komendancie G-wie. Podpułkownik G-kow spadł nam jak z nieba, był u nas bardzo niedługo, jeżeli się nie mylę, nie więcej jak pół roku, a nawet jeszcze mniej, i odjechał do Rosyi, wywarłszy nadzwyczajne wrażenie na wszystkich aresztantach. Mało powiedzieć, że go aresztanci lubili, oni go ubóstwiali, jeżeli można użyć tego wyrazu. Nie wiem, w jaki sposób dokazał tego, ale wiem, że podbił sobie ich serca odrazu. »Prawdziwy ojciec, ojciec nie będzie lepszy!« — powtarzali co chwila, przez cały czas, kiedy zarządzał oddziałem inżynieryi. Hulaka, zdaje się, był straszliwy. Niewielkiego wzrostu, z zuchwałem, pewnem siebie spojrzeniem, z aresztantami był łaskawy, dochodził niemal do czułości i rzeczywiście lubił ich, jak ojciec. Dlaczego tak lubił aresztantów — nie umiem tego objaśnić, ale wiem, że nie mógł spotkać się z aresztantem, ażeby mu nie powiedzieć łaskawego, wesołego słowa, nie pośmiać się z nim, nie pożartować, a nie było

w tem ani odrobiny traktowania z góry, nie, coby wyglądało na łaskawość zwierzchnika. Umiał być z nimi jak towarzysz, jak człowiek równy. Pomimo jednak całego tego instynktowego demokratyzmu jego, aresztanci ani razu nie pozwolili sobie na jakąś poufałość, na brak uszanowania względem niego. Przeciwnie. Tylko twarz aresztanta rozkwitała, gdy spotykał się z komendantem i zdjawszy czapkę, patrzył już z uśmiechem na podchodzącego ku sobie naczelnika. A gdy ten przemówi — jak gdyby rublem obdarzył. Zdarzają się tacy popularni ludzie. Wyglądał na zucha, chodził prosto, żwawo. »Orzeł!« mówili o nim aresztanci. Ulżyć im losu, naturalnie, nie mógł: zawiadywał tylko inżynierskimi robotami, które i przy wszystkich innych komendantach szły swoim zwyczajnym, legalnym porządkiem. Tyle tylko, że bywało spotkawszy przypadkiem partyę na robocie, a widząc, że robota skończona, nie trzymał ich niepotrzebnie i puszczał przed uderzeniem w bęben. Ale podobała się jego ufność ku aresztantom, brak drobiazgowej drażliwości, zupełny brak form obrażających, zwykłych w stosunkach z podwładnymi. Myślę, że gdyby zgubił tysiąc rubli, a najpierwszy z naszych złodziei znalazł je, to byłby mu je odniósł. Mam głębokie przekonanie, że tak by się stało.

Z jak wielkiem współczuciem dowiedzieli się aresztanci, że ich orzeł-komendant pokłócił się na śmierć z naszym nienawistnym majorem. Stało się to zaraz pierwszego miesiąca po jego przybyciu. Nasz major służył kiedyś z nim razem. Spotkali się, po długim niewidzeniu, jak przyjaciele i zahulali razem. Ale nagle nastąpiło zerwanie, i G-w stał się śmiertelnym wrogiem majora. Mówiono nawet, że pobili się przy tem zerwaniu stosunków, co być mogło, bo major często się bijał. Gdy o tem posłyszeli aresztanci, radości ich nie było końca. »Czy to ośmiookiemu żyć w zgodzie z takim! Ten orzeł, a nasz«... i tu zwykle dodawano słówko, niestosowne do druku. Ogromnie się interesowali, kto kogo pobił. Gdyby wieść o tej bojce okazała się była nieprawdziwą (co mogło być), to zdaje

mi się, że naszym aresztantom byłoby to bardzo przykro. »Nie, to już pewna, że komendant był na wierzchu — mówili; — on mały, ale chwata, a tamten słyhać schował się przed nim pod łóżko«. Ale G-kow prędko odjechał, i aresztanci zapadli w dawny smutek. Prawda, że nasi naczelnicy inżynierijni wszyscy byli dobrzy: przy mnie zmieniło się ich trzech czy czterech; »a przecież — mówili aresztanci — nie znaleźć już takiego; orzeł był, orzeł i obrońca«.

Otóż ten G-kow bardzo lubił wszystkich nas szlachtę i przy końcu kazał mnie i Bogusławskiemu chodzić niekiedy do kancelaryi. Po jego odjeździe urządziło się to więcej prawidłowo. Wśród inżynierów byli ludzie (szczególnie jeden) który czuł dla nas wielką sympatyę. Chodziliśmy, przepisywaliśmy papiery, nawet pismo nasze zaczęło się doskonalić, gdy nagle nadszedł od wyższej władzy rozkaz, ażeby nas niezwłocznie zwrócić do dawnej pracy: ktoś już zdążył donieść! Zresztą dobrze się stało, bo kancelarya zaczęła się nam bardzo przykrzyć. Przez dwa lata potem prawie nierozłącznie chodziliśmy z Bogusławskim na roboty, najczęściej do warsztatu. Gawędziliśmy z sobą, rozmawiali o naszych nadziejach, przekonaniach. Dzielny to był człowiek; ale przekonania jego były niekiedy bardzo dziwne, pełne wyłączości. Bywa to, że u pewnego rodzaju ludzi, bardzo rozumnych, ustalają się pojęcia wręcz paradoksalne. Ale tyle się za nie wycierpiało, tak wielkim kosztem się je nabyło, że oderwać się od nich zbyt boleśnie, prawie niepodobna. Bogusławski z bolem przyjmował każdy zarzut z mej strony i zgryźliwie mi odpowiadał. Zresztą w wielu rzeczach, być może, miał on więcej odemnie słuszności, nie wiem tego; aleśmy się nakoniec rozłączyli i to mię bardzo bolało: przeżyliśmy już wiele razem.

Tymczasem Mirecki stawał się z latami coraz smutniejszy i posępniejszy. Smutek go pożerał. W początkach mego pobytu w ostrogu był bardziej towarzyski, dusza jego częściej i więcej objawiała się na zewnątrz. Trzeci rok już żył w katordze, gdy ja do niej wstępowałem. Z początku zajmowało

go bardzo wiele rzeczy, które przez te dwa lata stały się na świecie, a o których on nie miał wyobrażenia, siedząc w ostrogu; rozpytywał mnie, słuchał, oburzał się. Ale pod koniec, z latami wszystkie w nim uczucia zaczęły koncentrować się wewnątrz, w sercu. Żar pokrywał się popiołem, a nienawiść wciąż rosła. *Je hais ces brigands*, powtarzał mi często, z nienawiścią patrząc na katorżników, których ja już zdołałem lepiej poznać i żadne dowody, które przytaczałem na ich korzyść, nie działały na niego. Nie rozumiał, co mówię; czasami zresztą jakby w roztargnieniu zgadzał się, ale nazajutrz powtarzał znowu: *Je hais ces brigands*. Nawiasem dodam, żeśmy często z sobą rozmawiali po francusku i za to nas pewien dozorca przy robotach, żołnierz inżynieryjny Dranisznikow, przezwał felczerami. Mirecki ożywiał się tylko mówiąc o swojej matce. »Stara jest — mówił do mnie — chora, kocha mnie nadewszystko na świecie, a ja tu nie wiem nawet, czy żyje? Dość już było dla niej tego, że wiedziała, jak mnie pędzono »przez strój...« Mirecki nie był szlachcicem i przed zesłaniem ukarano go cielesnie. Wspominając o tem, zaciskał zęby i starał się w bok patrzeć.

W ostatnich czasach coraz częściej przechadzał się samotnie. Pewnego razu około południa wezwano go do komendanta. Komendant wyszedł do niego z wesołym uśmiechem.

— No, Mirecki, co ci się dziś w nocy śniło? — zapytał.

»Aż drgnąłem — opowiadał wróciwszy do nas Mirecki. — Jakby mi coś serce przeszyło«.

— Śniło mi się, że list od matki otrzymałem — odpowiedział.

— Lepsze rzeczy, lepsze! — zawołał komendant. — Jesteś wolny! Matka prosiła... prośba jej wysłuchana. Oto jej list, a oto dekret o tobie. Natychmiast wyjdiesz z ostrogu.

Wrócił do nas blady, jeszcze nie mogąc się opamiętać po otrzymanej wiadomości. Winszowaliśmy mu, a on nam ścisnął ręce swojemi drżącymi, chłodnymi z wrażenia dłońmi. Wielu aresztantów winszowało mu także i byli radzi jego szczęściu.

Wyszedł na posielenie i zamieszkał w naszym mieście. Wkrótce dano mu posadę. Z początku często przychodził do naszego ostrogu i udzielał nam rozmaitych nowin. Przedewszystkiem polityczne bardzo go zajmowały.

Z pozostałych czterech, to jest oprócz Mireckiego, Tokarzewskiego, Bogusławskiego i Żochowskiego, dwaj byli jeszcze bardzo młodymi ludźmi, przysłanymi na krótko. Mało mieli wykształcenia, ale byli zacni, prości, szczerzy. Trzeci, A-czukowski, zanadto był ograniczony i nic w sobie nie miał szczególnego, ale czwarty, B-m, człowiek już starszy, wywierał na nas wszystkich najprzykrzejsze wrażenie. Nie wiem, w jaki sposób dostał się między takich przestępców (politycznych) i sam on przeczył temu. Była to gruba, małomieszkańska dusza, z narowami i zasadami kramarza, który doszedł szachrajstwem do majątku. Nie miał wcale wykształcenia i nic go nie zajmowało, oprócz jego rzemiosła. Był to malarz pokojowy i to malarz nielada, wspaniały malarz. Prędko się władza dowiedziała o jego talencie i całe miasto zaczęło używać B-ma do malowania ścian i sufitów. W ciągu dwóch lat wymalował wszystkie kwatery rządowe, za co mu płacili mieszkańcy tych kwater i żył dostatnio. Ale najlepszą rzeczą to było, że razem z nim na robotę zaczęto posyłać i towarzyszy jego. Z tych, co chodzili z nim ciągle, dwóch nauczyło się od niego tego samego rzemiosła, i jeden z nich, Tokarzewski, zaczął malować nie gorzej od B-ma. Nasz plac-major, który mieszkał także w rządowym domu, z kolei wezwał do siebie B-ma i kazał mu wymalować wszystkie ściany i sufity. Tu już się B-m wysadził: nawet u generał-gubernatora nie było ścian tak pięknie wymalowanych. Dom był drewniany, jedno-piętrowy, stary i zewnątrz koszlawo wyglądał; wewnątrz za to pomalowano go jak pałac i major był w zachwycie... Zacierał ręce i mówił, że teraz musi się ożenić; »przy takim mieszkaniu nie można się nie żenić«, dodawał poważnie. Z B-ma był coraz więcej zadowolony, a dzięki jemu i z innych, którzy z nim pracowali. Malowanie ciągnęło się przez miesiąc. Przez

ten miesiąc major zupełnie zmienił opinię o wszystkich naszych (t. j. o politycznych przestępcach) i zaczął ich protegować. Doszło do tego, że pewnego razu wezwał do siebie z ostroga Żukowskiego.

— Żukowski, — powiedział do niego — skrzywdziłem ciebie. Kazałem cię obić daremnie, wiem o tem. Żałuję tego. Czy ty to rozumiesz? Ja, ja, ja żałuję tego!

Żukowski odpowiedział, że rozumie.

— Czy pojmujesz to, że ja, ja, twój naczelnik, wezwałem cię do siebie po to, aby cię przeprosić. Czy ty to uczuwasz? Któżes ty wobec mnie? Robak! Mniej niż robak, aresztant! A ja z łaski Bożej ¹⁾ major. Major! Rozumiesz?

Żukowski odpowiedział, że i to rozumie.

— Otóż teraz godzę się z tobą. Ale czy ty czujesz, czy uczuwasz to w całej pełni? Czyś zdolny pojąć to i odczuć? Wyobraź sobie tylko: ja, ja, major i t. d.

Sam Żukowski opowiadał mi tę scenę. Przecież więc i w tym pijanym, głupim i nieporządnym człowieku było jakieś ludzkie uczucie. Biorąc na uwagę jego wyobrażenia i poziom umysłowy, możnaby taki postępek nazwać prawie wspaniałomyślnym. Być może zresztą, że stan nietrzeźwy wiele się do tego przyczyniał.

Marzenie jego nie spełniło się: nie ożenił się, choć już był zupełnie zdecydowany na to, gdy skończono oporządzać jego mieszkanie. Zamiast na kobierzec ślubny dostał się pod sąd, poczem kazano mu się podać do dymisyi. Wtedy już i wszystkie stare grzechy wylazły. Był on, zdaje się, przedtem w tem mieście horodniczym... Cios spadł na niego niespodzianie. W ostrogu wieść o tem niezmiernie ucieszyła wszystkich. Toż było święto, uroczystość! Major, powiadają, beczał jak baba i oblewał się łzami. Ale nie było rady. Wziął

¹⁾ Wyrażenie dosłowne, którego zresztą w moich czasach używał nie sam major, ale i wielu innych mniejszych komendantów, szczególnie ci, co wyszli z warstw niższych. (*Przypisek autora*).

dymisyę, sprzedał parę koni, potem resztę mienia i popadł nawet w biedę. Spotykaliśmy go potem w cywilnym, wytartym surducie i w czapce z kokardką; gniewnie spoglądał na aresztantów. Ale cały urok zniknął ze zdjęciem munduru. W mundurze siał grozę, był bogiem; w surducie stał się nagle niczem i miał minę lokaja. Rzecz dziwna, czem jest mundur dla takich ludzi.

XIV.

Wyjście z katorgi.

Ostatni rok katorgi prawie tak samo jest mi pamiętny, jak pierwszy, szczególnie ostatnie chwile pobytu w ostrogu. Ale poco się wdawać w szczegóły. Powiem tylko, że pomimo, iż niecierpliwie oczekiwałem terminu kary więziennej, łatwiej mi było żyć w tym roku, aniżeli we wszystkich poprzednich latach więzienia. A naprzód miałem już wśród aresztantów wielu dobrych znajomych i przyjaciół, którzy stanowczo orzekli, że jestem dobry człowiek. Wielu z nich było mi oddanych i szczerze mię lubili. Pionier omal nie zapłakał odprowadzając mnie i mego towarzysza przy wyjściu z ostroga, i kiedyśmy potem przez cały jeszcze miesiąc mieszkali w tem mieście, w pewnym rządowym budynku, codzień prawie zachodził do nas, tak tylko, aby popatrzeć na nas. Były jednak indywidua surowe i nieuprzejme do końca, którym ciężko było przemówić do mnie choć słowo — Bóg wie dlaczego. Zdawało się, że między nami wznosi się jakaś przegroda.

W ostatnich czasach wogóle miałem więcej ulg, aniżeli przez cały czas katorgi. W mieście śród wojskowych znaleźli się moi znajomi, nawet dawni szkolni towarzysze. Wznowiłem stosunki z nimi. Przez nich mogłem mieć więcej pieniędzy, mogłem pisywać do rodziny, mogłem nawet miewać książki. Od kilku lat nie nie czytałem i trudno mi zdać sprawę z tego dziwnego, wzburzającego wrażenia, jakie wywarła na mnie

pierwsza książka przeczytana w ostrogu. Pamiętam, zacząłem czytać z wieczora, kiedy zamknięto kazarmę i czytałem przez całą noc do świtu. Był to zeszyt jakiegoś pisma peryodycznego. Zupełnie jakby wieść z tamtego świata przyleciała do mnie; minione życie jasno i wyraziście stanęło przedemną, i z tego co przeczytałem, starałem się odgadnąć, czym bardzo się cofnął od tego życia? Czy wiele oni tam przeżyli bezemnie? Co ich teraz porusza, jakimi kwestyami zajmują się? Czepiałem się słów, czytałem między wierszami, szukałem tajemnego znaczenia, aluzyj do przeszłości, odnajdowałem ślady tego, co przedtem, w moich czasach, poruszało ludzi i smutno mi było teraz przekonywać się, do jakiego stopnia byłem obcy w nowym życiu, jak stałem się strzępem odciętym. Trzeba było przywykać do nowych rzeczy, zaznajamiać się z nowym pokoleniem. Ze szczególną chciwością rzuciłem się na artykuł, pod którym znalazłem imię znajomego, bliskiego mi niegdyś człowieka... Ale już i nowe imiona rozbrzmiewały: zjawili się nowi działacze, i ja rwałem się, aby ich poznać, i zły byłem, że tak mało książek mieć mogę, że tak trudno dostać się do nich. Przedtem zaś, przy dawniejszym plac-majorze, niebezpiecznie było nosić książki do katorgi. W razie rewizyi byłoby niewątpliwie badanie: »Skąd książki? gdzieś je wziął? A więc masz stosunki?...« A cóż mogłem odpowiedzieć na takie pytania? I dlatego, żyjąc bez książek, mimowoli zagłębiałem się sam w sobie, zadawałem sobie pytania, usiłowałem rozwiązać je, i one męczyły mię niekiedy... Ale wszystkiego tego nie opowiedzieć!...

W zimie wstąpiłem do ostrogu, dlategoż zimą miałem wyjść na wolność, tego samego miesiąca i dnia, którego przybyłem. Z jaką niecierpliwością oczekiwałem zimy, z jaką rozkoszą patrzałem przy końcu lata na liście więdnące na drzewach, na trawę usychającą na stepie. Ale oto już przeszło lato, zawył wiatr jesienny; oto już pierwszy śnieg zaczął prosić... Nadeszła nakoniec zima dawno oczekiwana! Serce moje niekiedy zaczynało bić głucho i mocno, czując bliską

swobodę. Ale rzecz dziwna: im więcej czas upływał, im bliższym był termin wyzwolenia, tem coraz cierpliwszym się stawałem. W ostatnich dniach aż mię to zadziwiło i robiłem sobie wyrzuty: zdawało mi się, że zupełnie zubożetniałem. Wielu aresztantów, spotykając mię na dziedzińcu w czas wolny, zawiązywało rozmowę ze mną, wieszowali mi:

— Otóż już wyjdziecie, *batiuszka* Aleksander Pietrowicz, na *słobodę*, prędko, prędko. Zostawicie nas biedaków.

— A cóż, Martynow, a wy czy już prędko wyjdziecie? — pytam w odpowiedzi.

— Ja? No, co tam mówić! Siedm lat jeszcze się prze-męcę...

I westchnie, zatrzyma się, popatrzy roztargnionym wzrokiem, jakby zaglądając w przyszłość... Tak, wielu szczerze i radośnie mi wieszowało. Zdawało mi się, że wszyscy zaczęli uprzejmiej obchodzić się ze mną. K-czyński, Polak i szlachcic, spokojny i dobry młodzieniec, podobnie jak i ja, lubił w czas wolny chodzić dużo po dziedzińcu. Chciał on czystem powietrzem i ruchem ocalić zdrowie i zrównoważyć zły wpływ dusznych nocy w kazarmach. »Niecierpliwie oczekuję pańskiego wyjścia — powiedział mi z uśmiechem, spotkawszy się ze mną na przechadzce; — pan wyjdiesz i ja już wtedy będę wiedział, że równo rok jeszcze pozostanie mi do wyjścia«.

Nawiasem muszę dodać, że wskutek ciągłych rojeń i długiego odwyknienia, wolność w ostrogu u nas wydawała się czemś większem od rzeczywistej wolności, to jest tej, do której wzdychano. Aresztanci mieli przesadzone wyobrażenie o wolności, a rzecz to tak naturalna, tak właściwa każdemu więźniowi. Jakiś obdarty dienszczyk oficerski wydawał się nam niemal królem, niemal ideałem wolnego człowieka w porównaniu z aresztantami, dlatego tylko, że nie miał ogolonej głowy, chodził bez kajdan i bez konwoju.

W wigilię dnia ostatniego, o zmroku, obszedłem po raz ostatni cały nasz ostróg wkoło pod palami. Ile tysięcy

razy robiłem to samo koło w ciągu tych lat wszystkich? Tu za kazarmami błąkałem się w pierwszym roku mojej katongi sam, opuszczony, przybity na duchu. Pamiętam, jak liczyłem wtedy, ile tysięcy dni mam tu jeszcze przebyć. Boże! jak to dawno było! Oto tu w tym kącie żył nasz uwięziony orzeł; tu znów spotykał mię często Pietrow. On i teraz szukał mego towarzystwa. Podbiegnie ku mnie i jakby zgadując myśli moje, w milczeniu idzie koło mnie i rzekłbyś, dziwi się czemuś sam w sobie. Pożegnałem się w myśli z tymi poczerniałymi zrębami naszych kazarni. Jak niemile raziły wzrok mój w t e d y, w one pierwsze czasy. Zapewne i one przez ten czas postarzały, alem tego nie mógł zauważyć. I ileż to w tych ścianach zagrzebano bezowocnie młodości, ile wielkich sił zginęło tu daremnie! Bo trzeba już wszystko powiedzieć: ten lud więzienny, wszakże to byli ludzie niezwyčajni. Wszak to były może najzdolniejsze, najsilniejsze żywioły z całego ludu naszego. Ale zginęły bezowocnie potężne siły, zginęły nienormalnie, bezprawnie. A kto winien temu?

Otóż to, kto winien?

Nazajutrz rano, jeszcze przed wyjściem aresztantów na roboty, jak tylko świtać zaczynało, obszedłem wszystkie kazarmy, żeby się pożegnać ze wszystkimi aresztantami. Wiele silnych, spracowanych rąk przeciągnęło się ku mojej dłoni uprzejmie. Niektórzy ściskali ją zupełnie po koleżeńsku, ale takich było niewielu. Inni już dobrze rozumieli, że ja za chwilę będę zupełnie odmiennym od nich człowiekiem. Wiedzieli, że mam w mieście znajomości, że natychmiast stąd udam się do panów i zasiądę z tymi panami, jak równy. Rozumieli to i żegnali się ze mną wprawdzie uprzejmie i grzecznie, ale bynajmniej nie jak z towarzyszem, raczej jak z panem. Inni odwracali się odemnie i surowem milczeniem odpowiadali na moje pożegnanie; niektórzy nawet z nienawiścią spojrzeli na mnie.

Umilkł bęben, wszyscy ruszyli na roboty, a ja pozostałem w domu. Suszyłow dnia tego wstał bodaj czy nie wcz-

śniej od wszystkich i dokładał wszelkich starań, ażeby mógł mi jeszcze zrobić herbatę. Biedny Suszyłow! Zapłakał, gdy mu ofiarowałem swoje rzeczy znoszone, aresztanckie i trochę pieniędzy. »Mnie nie o to, nie o to chodzi! — mówił, wstrzymując drżące od płaczu wargi: — ale jak to ja was utracę, Aleksandrze Piotrowiczu? Przy kim się ja tu bez was zostanę!« Po raz ostatni pożegnałem się i z Akimem Akimyczem.

— Ot już i wam prędko! — powiedziałem do niego.

— Mnie tu długo, mnie tu bardzo długo jeszcze siedzieć — marmotał ściskając mi rękę. — Rzuciłem się mu na szyję i pocałowaliśmy się.

W dziesięć minut po wyjściu aresztantów, wyszliśmy i my z ostrogu, aby nigdy już do niego nie wrócić — ja i mój towarzysz, z którym tu przybyłem. Trzeba było iść naprzód do kuźni, aby nam zdjęto kajdany. Ale już konwojowy z bagnetem nie towarzyszył nam: poszliśmy z podoficerem. Rozkuli nas nasi aresztanci w warstacie inżynieryjnym. Czekałem dopóki nie rozkują towarzysza, a potem sam podszedłem do kowadła. Kowale obrócili mnie tyłem do siebie, podnieśli z tyłu moją nogę, położyli ją na kowadle... Było dużo krzątaniny, chcieli to zrobić jak najzręczniejsz, jak najlepiej.

— Zatyczkę, zatyczkę — mówię — obróć nasamprzód!... — komenderował starszy: — ustaw ją, tak, dobrze... A teraz bij młotem!...

Kajdany upadły. Podjąłem je... Chciało mi się potrzymać je trochę w ręku, popatrzeć na nie po raz ostatni. Dziwno mi było, że przed chwilą były na moich nogach.

— No, z Bogiem! z Bogiem! — odezwały się urwane, grube, ale jakby z czegoś zadowolone głosy aresztantów.

Tak, z Bogiem! Swoboda, nowe życie, zmartwychpowstanie... Co za szczęśliwa chwila!

— K O N I E C . —



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Rozdział	Strona
Wstęp. Kilka słów od tłumacza	5
I. Martwy dom	9
II. Pierwsze wrażenia	25
III. Pierwsze wrażenia	45
IV. Pierwsze wrażenia	62
V. Pierwszy miesiąc	81
VI. Pierwszy miesiąc	98
VII. Nowe znajomości. — Pietrow	115
VIII. Icek Bumstein. — Łaźnia parowa	130
IX. Przedstawienie amatorskie	139
X. Letnia pora	161
XI. Zwierzęta w katordze	178
XII. Pretensya	192
XIII. Towarzysze	203
XIV. Wyjście z katorgi	230

Biblioteka WSP Kielce



0182223